ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 12/615 1998

• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

R. PIPES – J. POMIANOWSKI:
ANALIZA IMPERIUM ROSYJSKIEGO

J. SAFUTA: **POLSKA NIE MA FACHOWEGO LOBBINGU W UNII EUROPEJSKIEJ**

A. MICEWSKI: **SYSTEM DWUPARTYJNY**

INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW ROCZNIKA „KULTURY" ZA ROK 1998

SPIS RZECZY

Analiza imperium rosyjskiego

Richard Pipes: *„Historia imperium rosyjskiego"* . . 3
Jerzy Pomianowski: *Rozprawka o metodzie* 8

ARCHIWUM POLITYCZNE

Stefan Abner: *Z nordyckiej perspektywy* 29
a) Grożąca katastrofa komputerowa 29
b) Zagrożenie polskiego lotnictwa wojskowego 32

SPRAWY GOSPODARCZE

Robert Kaczmarek: *Wychowanie do kapitalizmu (2)* . . 36
Karol Baumgarten: *Nagroda Nobla dla lewicowego ekonomisty* 46

SPRAWY I TROSKI

Jacek Safuta: *Polska nie ma fachowego lobbingu w Unii Europejskiej* 56

KRAJ

Andrzej Micewski: *System dwupartyjny?* 68
Krzysztof Wolicki: *Rachunki i polityka* 73
SMECZ: *Z ukosa* 83
Ewa Berberyusz: *Kartki ze skażonej strefy* 96

SĄSIEDZI

Andrzej Stach: *Monologi polsko-niemieckie* 104
Wacław Chlebowski: *Komitet konsultacyjny PSL ds. ziem zachodnich i północnych* 109
Włodzimierz Borodziej: *List do Redaktora* 114
Bohdan Górski: *List do Redaktora* 115

NOTATKI REDAKTORA 117

KRONIKA KULTURALNA

Andrzej Mencwel: *Instytut Kultury Polskiej* 120
Nina Taylor: *Mickiewicz w Londynie* 129
Andrzej Biernacki: *Trzydziestolecie śmierci Stanisława Pigonia* 134
Stanisław Pigoń: *Położenie materialne i samopomoc młodzieży akademickiej krakowskiej 1942-45* 136
Ziemowit Jurajski: *Z wizytą u „Bara"* 140

CI, CO ODESZLI

Julia Hartwig: *Wspominając Zbigniewa Herberta* 142
Leopold Unger: *Christian Jelen* 151

●

– *Wydarzenia miesiąca* 154

●

A. Albrecht, A. Krzeczunowicz, A. Urbańczyk: *Listy do Redakcji* 157
– *Odpowiedzi Redakcji* 159
– *Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury" za rok 1998* 161

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień/Décembre 1998

INSTYTUT LITERACKI

REDAKCJA „KULTURY" SKŁADA SWOIM PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

DO PRENUMERATORÓW „KULTURY"

Wiemy doskonale, że bardzo wielu naszych prenumeratorów – z różnych krajów świata – otrzymało wrześniową *Kulturę* w połowie listopada, często wraz z numerem październikowym. Odpowiadaliśmy na setki listów i reklamacji telefonicznych, wysyłaliśmy wrześniowy numer po raz drugi i bez przerwy reklamowaliśmy całą sprawę na naszej poczcie, przedstawiając im wykazy reklamujących osób. Niestety, nie dostaliśmy żadnej konkretnej odpowiedzi. Przypuszczamy, że poczta się częściowo prywatyzuje i że powstał jakiś galimatias, z którego nie umieją wyskoczyć.

Przez szereg lat dopłata lotnicza do wysyłki *Kultury* wynosiła – do Ameryki 8 dol. rocznie, do Azji 10 dol. W pewnym momencie poczta poleciła nam zastąpienie nalepki par avion nalepką SAL. Musieliśmy się do tego zastosować, nie wiedzieliśy jednak, że SAL (taryfa stosowana tylko do periodyków) znaczy, że przysyłka odejdzie lotniczo, jeżeli będzie miejsce w samolocie, jeżeli nie – albo będzie czekała na miejscu, albo odejdzie pocztą zwykłą.

Jesteśmy tu całkowicie bezsilni. Jeżeli chce się wysyłać pismo lotniczo, to dopłata musi być taka jak do listu, czyli – ponieważ jeden egzemplarz *Kultury* waży około 200 g (pojedynczy) – dopłata wynosiłaby ponad 5 dol. każdorazowo, tj., ponad 50 dol. rocznie...

Może to wszystko się jakoś ułoży, prosimy naszych Czytelników o wyrozumiałość, spotkało nas to po 50 latach wydawania *Kultury* we Francji.

REDAKCJA

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, ON (Kanada) – po raz 29-ty	**F. 635,00**
Aleksander Frejszmidt, Toronto, ON (Kanada) – po raz 10-ty	**F. 400,00**
Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce, Nowy Jork – po raz 2-gi – dol. 100,00 (nadesłała wiceprezes Danuta Cisek) . .	**F. 550,00**
Jadwiga Maurer, Lawrence, KS (USA) – zamiast kwiatów na grób Przyjaciółki moich Rodziców, Haliny Zielińskiej, zmarłej 25 lipca 1998 r. w Rapperswilu – dol. 50,00	**F. 274,00**
Ilse Maybach, Heilbronn (Niemcy) – po raz 35-ty	**F. 712,32**

Ciąg dalszy WPŁAT na str. 160

Analiza imperium rosyjskiego

Rosja jest ciągle najważniejszym problemem dla świata i dla Polski. Historii imperium rosyjskiego była poświęcona ostatnia książka Michała Hellera. Omówił ją znany sowietolog Richard Pipes. Drukujemy poniżej to omówienie, wraz z odpowiedzią i komentarzem Jerzego Pomianowskiego.

„HISTORIA IMPERIUM ROSYJSKIEGO"

Przed ukazaniem się pokaźnego dzieła obejmującego dzieje Rosji od najwcześniejszych czasów do Rewolucji Lutowej 1917 roku[1] Michał Heller znany był przede wszystkim jako historyk Związku Sowieckiego. Poprzednie jego książki, niektóre po francusku, inne po rosyjsku, w liczbie ośmiu, dotyczą albo tematyki łagrowej w literaturze sowieckiej, albo poszczególnych postaci: Gorbaczowa, Sołżenicyna i powieściopisarza Andrieja Płatonowa. Najszerzej znana jest książka z roku 1982 napisana wspólnie z Aleksandrem Niekriczem pt. „L'Utopie au pouvoir: l'histoire de l'URSS de 1917 à nos jour"; obecna zaś, wydana równocześnie po

1. Michel Heller, „Istorija rossijskoj impierii", Moskwa, MIK 1997. „Histoire de la Russie et de son empire" (Historia Rosji i jej imperium). Paris, Plon, 1997.

rosyjsku, stanowi niejako wprowadzenie do wyżej wymienionej i słusznie wysoko cenionej pracy.

Ponieważ autor, niestety, od niedawna nie żyje, można jedynie zgadywać, co go natchnęło do zwrotu ku przeszłości i naszkicowania złożonej tysiącletniej historii Rosji. Dziedziny tej przy tym nie wzbogacił własnymi oryginalnymi badaniami, zdając się na klasyczne źródła wtórne. Wybór tematu można prawdopodobnie tłumaczyć chęcią dostarczenia postkomunistycznym władcom Rosji przewodnika politycznego. Wskazywałaby na to obecność w toku narracji okolicznościowych uwag, podkreślających w dziejach Rosji odgórne, czyli przez władze kierowane, pochodzenie wszelkich inicjatyw reformatorskich. Opisując wielkie reformy Aleksandra II w połowie XIX wieku, autor zwraca uwagę na fakt, że już w tamtej epoce weszły do słownictwa politycznego pojęcia Gorbaczowa: *pieriestrojka* i *głasnost'*. Następnie dodaje jak gdyby pod adresem nowych władców Rosji: „Analogia ta przekonująco wykazuje, iż w ZSSR, podobnie jak w Rosji, możliwe są głęboko idące przemiany".

Odczytałem tę przelotną uwagę jako ostrzeżenie pod adresem Borysa Jelcyna, aby na siłę pchał program reformatorski, jako że w całej swojej historii Rosja posuwała się naprzód wyłącznie z inicjatywy rządzących.

Otóż taki polityczny cel wyjaśnia, dlaczego cała książka kładzie niemal wyłączny nacisk na politykę odgórną. Jest to niezwykle staroświecki rodzaj historii skupionej na działaniu carów i ich doradców, wraz z wyprawami zbrojnymi, pomijającej kwestie gospodarcze i społeczne. O poddaństwie chłopów jest oczywiście mowa, ale brak wyjaśnienia, jaką ono odegrało rolę tak w rozwoju kraju, jak i w kształtowaniu się jego kultury politycznej. W granicach jednego akapitu rozprawia się autor z wydanym w 1785 r. przez Katarzynę II statutem szlacheckim, który po raz pierwszy ustanowił warstwę społeczną, obdarzoną trwałymi prawami obywatelskimi, z prawem do własności ziemskiej włącznie. Natomiast błahym szczegółom zabójstwa Pawła I poświęca trzy pełne stronice. Pęd do uprzemysławiania z lat 1890-tych jest co prawda opisany, ale wyłącznie pod kątem wpływu jaki wywarł na międzynarodowy status Rosji, z pominięciem objawów związanych z pojawieniem się mieszczaństwa przemysłowego i

klasy robotniczej. Równie krótko rozprawia się autor z prądami umysłowymi, kładąc większy nacisk na literaturę niż na to, co Rosjanie nazywali *obszczestwiennoje dwiżenije* czyli opinią publiczną. Tak więc Piotr Struwe, jeden z najbardziej wpływowych intelektualistów ostatnich lat caratu, otrzymał zaledwie jedną wzmiankę, to samo dotyczy wybitnego radykalnego krytyka literackiego, Wisariona Bielinskiego. Nazwisko przywódcy mienszewików, Martowa, nie pojawia się w skorowidzu, a Plechanow, pierwszy rosyjski socjaldemokrata, wspomniany jest jeden raz, i to krótko.

Rozmieszczenie materiału jest również dowolne. Uderza brak obszernej dyskusji na temat Nowogrodu, owego średniowiecznego miasta-państwa, które aż do zdobycia go przez Moskwę z końcem XV w. współzawodniczyło z państwem moskiewskim pod względem obszaru i bogactwa. W Nowogrodzie rozwinęły się instytucje polityczne rywalizujące z powodzeniem z istniejącymi współcześnie w zachodnich skupiskach miejskich, funkcjonując jak na owe czasy w sposób nadzwyczajnie demokratyczny. Może autor uznał ten temat za niezręczny, bowiem nie pasuje do jego tezy o „reformach odgórnych". Jaskrawe to pominięcie, jako że dzieje niezawisłego Nowogrodu wykazują, że Rosjanie są stanowczo zdolni do samorządu i nie muszą we własnych żywotnych sprawach liczyć na swoich władców.

Zadziwia również streszczenie okresu sześciu dziesięcioleci poprzedzających Rewolucję 1917 w ramach 181 stronic, czyli 20% całości, na domiar, stronice te zostały zgrupowane pod osobliwym nagłówkiem: „Car oswobodziciel: epoka wielkich reform". Przecież ostatnie lata caratu są właśnie tym okresem, w którym powstały siły i idee zmierzające ku rewolucji. Udział Rosji w pierwszej wojnie światowej zajmuje zaledwie 6 stronic, co z kolei wyznacza tylko jedno zdanie „Blokowi postępowemu", owemu konwenktylowi wyłonionemu z Dumy, który w dużej mierze przyczynił się do Rewolucji Lutowej. Tęże Rewolucję zbywa autor na jednej stronicy.

Ostatni rozdział, „Konkluzja: od imperium do imperium", ani nie porównuje obu ustrojów, ani ich sobie wzajemnie nie przeciwstawia; natomiast wysuwa mieszaninę rozproszonych myśli o wojnie w Afganistanie, o rozpadzie imperium sowieckiego, o przyszłości Rosji.

Ponieważ wiedza M. Hellera pochodzi głównie z drugiej ręki, a książkę napisał pospiesznie (od marca 1992 do listopada 1995), siłą rzeczy uzależnił swoje sądy w dużej mierze od opinii wcześniejszych badaczy: po pierwsze, od najwyższego autorytetu w tej dziedzinie, W.O. Kluczewskiego, którego często cytuje, ale i od mniej miarodajnego Mikołaja Kostomarowa oraz bardzo archaicznego Mikołaja Karamzina. Jednakże nie brak też odniesień do Lwa Gumilowa, ekscentrycznego eseisty, do popularnego historyka Natana Eidelmana, autora książki „'Rewolucja swierchu' w Rossii" („Rewolucja odgórna' w Rosji") i, co najbardziej zdumiewające, do Aleksandra Sołżenicyna, który, bez względu na ocenę jego odwagi cywilnej i dokonań literackich, pozostaje w dziedzinie historii Rosji przed 1917 rokiem szeregowym dyletantem.

Do pracy o takim zakresie i w takim szybkim tempie wykonanej wkradły się nieuniknione błędy. Piotra Wielkiego „Nowy porządek stopni czyli rang"[2] jest błędnie opisany. Święte Przymierze pomieszane jest z Poczwórnym Przymierzem. Liczba Niemców w cesarskiej służbie Rosji jest mocno przeceniona; Barclay de Tolly, Szkot z pochodzenia, figuruje jako Niemiec. Rozwiązanie drugiej Dumy nie było gwałtem wobec Manifestu październikowego.

Narracja jest żywa, pełna ciekawych anegdot, wizerunków wybitnych postaci i opisów głównych wydarzeń. M. Heller jest inteligentnym, oczytanym człowiekiem i pełnym werwy pisarzem. Zalety te wszakże nie są w stanie uchronić książki od popadnięcia w historiograficzny anachronizm cechujący opowieści o królach i bitwach, niezadowalające dla większości współczesnych czytelników.

Dziwną właściwością tej pracy jest brak zawartej w niej tezy; znając miarodajne prace Hellera poświęcone Rosji po 1917 r., można by oczekiwać, że pokaże w jaki sposób przeszłość Rosji doprowadziła do Rewolucji i wpłynęła na porewolucyjny ustrój kraju. Tymczasem nie ma o tym w ogóle mowy. Na obwolucie wydawca utrzymuje, że „w przeciwieństwie do większości historyków Heller widzi w systemie sowieckim jedynie awatar tysiącletniej historii Rosji". Nie

2. Tak brzmi polski przekład tytułu tego dokumentu w pracy Leona Rogalskiego z 1851 r. pt. „Piotr Wielki i wiek jego"; późniejsze przekłady są zbyt unowocześnione (przyp. tłum.).

takie jednak wrażenie daje lektura tekstu tej pracy, który wielokrotnie zwraca uwagę na analogie między carską a sowiecką Rosją pod względem oparcia się jednej i drugiej na samodzierżawiu, policji i wojsku oraz ich nieprzejednanej zaborczości. Pośród stałych czynników całej historii Rosji autor wymienia wrogość wobec Zachodu i autokrację. Odnotowuje bez dalszych komentarzy, że dwaj władcy, których naród rosyjski zachował w najczulszej pamięci, to właśnie ci, którzy najwięcej jego krwi rozlali, a więc Iwan IV Groźny i Stalin.

Jedną ze stałych cech historii Rosji uwypuklonych przez Hellera jest burzliwy charakter jej rozwoju, polegającego na długich okresach bezruchu, przerywanych wybuchami reformatorskiej gorliwości. W trakcie rozważań dotyczących epoki Piotra dokonuje osobliwego uogólnienia mającego w sposób oczywisty na celu zastosowanie współczesne: „Doświadczenia Piotra potwierdza pogląd, że w historii Rosji okresy zastoju nie pokrywają się z jej rozwojem, skoro, wydobywając się z zastoju, Rosja jednym skokiem 'dogania i przegania' kraje, które ją wyprzedziły. A potem, przyswajając sobie to, czego jej było brak, a czego potrzebowała do zbudowania swej potęgi, Rosja nadal żyje własnym życiem".

Twierdzenie to nasuwa dwojakie wątpliwości. Po pierwsze, oblicza ono stan zdrowia kraju w kategoriach „potęgi" – przypuszczalnie męstwa wojskowego. O ile prawdą jest, że władcy Rosji, carscy jak i komunistyczni, posługiwali się tym kryterium, o tyle jest ono błędne: w przeciągu samego XX wieku dwa razy doprowadziło ono Rosję do haniebnego i kosztownego upadku. Po drugie: długotrwały model zastój/krótka reforma przeszkodził Rosji w budowie politycznych i społecznych infrastruktur, zaś jedynie one zapewniają państwu stabilność i odporność na katastrofy; jedynie one stwarzają potęgę.

Książka wywołuje więc rozczarowanie. Choć nie brak jej ciekawych momentów, nie jest zadowalająca ani dla czytelników zachodnich, którzy dysponują lepszymi źródłami w tej dziedzinie, ani dla tych Rosjan, którzy, nawet jeśli odwrócili się plecami do marksizmu, wiedzą, że historia jest czymś więcej niż opowieść o carach, dworzanach i generałach.

Richard PIPES

(Z angielskiego tłum. Olga Scherer)

ROZPRAWKA O METODZIE

Uwagi Richarda Pipesa o „Historii imperium rosyjskiego" Michała Hellera wydają się mieć wszystkie cechy godne naśladowania: są przejrzyste i pełne kompetencji. Niemniej, naznaczone są skazą, która obniża wartość krytycznych wniosków amerykańskiego historyka. Jest on autorem „Rosji carów", dzieła znakomitego, a jednocześnie rozpatrującego dzieje imperium w sposób daleki od konwencji: nie jest to linearna opowieść o kolejnych etapach tych dziejów, lecz rozdzielcza analiza ewolucji i krzepnięcia poszczególnych warstw i stanów, instytucji, mechanizmów gospodarczych i struktur administracyjnych, które złożyły się na kształt Rosji. Otóż tę metodę oglądu i wykładu Pipes uważa widocznie za uniwersalną i z tego punktu widzenia krytykuje dzieło Hellera, opisujące dzieje Rosji chronologicznie, po porządku, więc z pozoru tradycyjnie, tyle, że – bagatela – dające czytelnikowi pogląd zgoła odmienny od znanych dotąd wersji. Sądząc zatem Hellera, prof. Pipes broni w istocie wyłączności własnej metody. Jest to intencja zrozumiała, ale jakby nie na miejscu, bo różnica między metodami obu historyków jest oczywista, co sprawia, że te obie książki są właściwie niewspółmierne. W rezultacie mamy do czynienia z rodzajem sporu między alpinistą a mineralogiem na temat drogi z Morskiego Oka na Rysy. Pierwszy twierdzi, że droga wiedzie przez Dolinę Czarnego Stawu, drugi – że przez krzemionki, skalenie i granity.

●

Zarzuty, jakie Hellerowi stawia Pipes, są w dużej części słuszne, gdy chodzi o szczegóły. Można by do nich dodać lapsusy takie, jak twierdzenie, że Ukraina (i to w połowie XIX wieku) rozdarta była na trzy części między Rosję, Austrię i... Prusy. Tłumaczy się to, rzecz jasna, przedwczesną śmiercią autora, który nie zdołał dopilnować korekty – i niedbalstwem

moskiewskiego wydawnictwa.

Inne z tych zarzutów grzeszą brakiem podstaw. Tak jest np. z wytykaniem Hellerowi, że „liczba Niemców w carskiej służbie Rosji jest mocno przesadzona". Aby przekonać się, że było zgoła inaczej, wystarczy sięgnąć po statystykę, którą przytoczył Tomas Garrigue Masaryk w swoim studium „Russland und Europa" (Jena, 1913). Niecelny wydaje się też zarzut lekceważenia kwestii chłopskiej i sprawy własności gruntów dla rozwoju kraju. Heller po prostu woli zwracać uwagę na te cechy procesu, które zaważyły na fatalnych przesądach o Rosji, bytujących dotychczas i w samym kraju, i na Zachodzie. Podkreśla na przykład, że rosyjska *obszczina,* wspólnota wiejska, odkryta została jako cecha nie tylko typowa, lecz także d o d a t n i a przez podróżnika Augusta Haxthausena w 1847, co podchwycili miejscowi słowianofile i dopiero wtedy „zobaczyli w niej dowód, że Rosja ma swój jedyny w swoim rodzaju charakter, przepojony duchem wspólnoty i równości. Okcydentaliści – poczynając od Herzena – ujrzeli w tej instytucji dowód socjalistycznych skłonności u rosyjskiego chłopa". Heller dowodzi, że polityka agrarna Stołypina, a zwłaszcza ustawa o prawie chłopów do i n d y w i d u a l n e g o władania i obrotu ziemią, uchwalona przez Dumę w 1910, sprawiła, że dwa miliony gospodarzy wyrwało się z opłotków *obszczyny,* a trzy i pół miliona małorolnych dobrowolnie wyjechało za Ural; aż do tej chwili Rosja wolała kolonizację karną, w trybie deportacji. Heller jednym tchem dodaje, że w 1991 roku Starodubcew, deputat Dumy z partii agrarnej (tj. korporacji dyrektorów sowchozów i kołchozów), tak streścił jej program: „Ziemia nie może być niczyją prywatną własnością. Ziemią nie wolno kupczyć".

Ciekawe, że Pipes dochodzi do podobnie krytycznych wniosków o tejże *obszczinie* drogą badania jej – ostygłego już w trakcie dziejów – kształtu, wymuszonego przez biedę i władzę, jest to zresztą rozbiór mistrzowski, jak lekcja anatomii doktora Tulpa.

Pewne zdziwienie budzi także jedna z ważniejszych obiekcji Pipesa – ta, że Heller, pisząc „historię imperium", chciał dać nowym władcom Rosji do ręki rodzaj p r z e w o d n i k a politycznego, co ma dowodzić, że wierzy on tylko w reformy odgórne. Zastanawia ta przygana w ustach człowieka, który

został doradcą politycznym prezydenta Stanów Zjednoczonych właśnie jako historyk tj. znawca (i dostawca) przykładów z przeszłości, mogących podeprzeć bieżące decyzje. Podobnie jak ci, którym radził, musiał sam wierzyć, że badanie historii może nam i na przyszłość się przydać, jeżeli mamy przewodnika – lub przewodnik. „Rosja carów" kończy się zresztą westchnieniem, które wyczerpuje sprawę: „Gdyby bolszewiccy przywódcy byli oczytani bardziej w historii, niż w polemicznych traktatach, może zdołaliby przewidzieć takie skutki."

W wywodzie Pipesa ta obiekcja łączy się z inną, już zasadniczą dla całej kontrowersji. Amerykański historyk cytuje z naganą wnioski Hellera z analizy reform Aleksandra II. Heller broni w tym fragmencie (podobnie jak w wielu innych) poglądu, że w Rosji były i są w ogóle możliwe „głęboko idące przemiany". Richard Pipes natomiast w sugestywnym swoim dziele prowadzi czytelnika do wniosku, że bieg dziejów Rosji jest przesądzony, bo zdeterminowany przez masywne, nieznane gdzie indziej zależności materialne, które uczyniły z Rosjan własność ich władców. Pozbawili oni stopniowo wszystkie klasy prawa posiadania, co zmusiło poddanych do liczenia tylko na łaskę władzy. Wedle Pipesa, dzieje Rosji dlatego są „walką grup interesów między sobą, nigdy przeciwko państwu". Główną cechę ustroju Rosji widzi w tym, że był on p a t r y m o n i a l n y. Broni tej tezy elokwentnie, cytując wynalazczo i ściśle multum dekretów, ukazów, a nade wszystko – faktów, świadczących o trwałych skutkach tej polityki i dowodząc, że była konsekwentnie stosowana przez obie dynastie i wszystkie reżymy, włączając sowiecki.

Na dobrą sprawę „Rosja carów", dzieło zawołanego antykomunisty, jest wzorowym wcieleniem ducha i zasad materializmu historycznego, jego przykładem udanym, co wydawało się kwadraturą koła po znanych doświadczeniach. Nikt z dziejopisów marksistowskich nie zdołał sporządzić tak błyskotliwego i przykonywającego rejestru czynników materialnych, zwłaszcza czynnika w ł a s n o ś c i, wpływających na bieg dziejów kraju. Powiada Pipes:

„Samodzierżawie, realizując zasadę patrimonium tj. traktując terytorium państwa jako swoją własność, a jego mieszkańców jako swoje sługi, przeciwdziałało powstaniu autonomicznych ośrodków bogactwa i władzy". I dalej: „Historyczny kierunek ewolucji Rosji w okresie carskim był diametralnie różny od przyjętego w Anglii i USA, skłaniając się niezmiennie ku centralizmowi i biurokracji". Istniał tylko jeden sposób zapobiegania zmianom, sposób, który profesor Pipes uważa za sprawdzony i dla Rosji nieuchronny. Jaki to sposób – mówi sam tytuł ostatniego rozdziału „Rosji carów": Ku państwu policyjnemu.

Pipes nie posuwa się do czarnowidztwa, jakie bije z dzieła Jana Kucharzewskiego „Od białego caratu do czerwonego" i zdaje się widzieć jakąś szansę dla przemian, reform i nawet swobód w Rosji. Jak to spróbujemy wykazać, szansy tej nie określa precyzyjnie, a nadto – całkiem podobnie jak Heller – wskazuje, że wysiłki w tym celu były przedsiębrane przez światlejsze czynniki oficjalne, bądź przez elitę inteligencką. Zawsze więc przychodzić miały z góry.

Co więcej – Pipes w swoim dziele wymownie dowodzi, że te oktrojowane próby sensownych reform (zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku) były niweczone przez dęty radykalizm inteligenckich ideologów postępu i przez bezmyślną łapczywość zawiedzionego przez nich plebsu. Sugeruje w końcu, że do upadku caratu przyczyniła się głównie czcza kapitulacja owego państwa policyjnego przed siłami rewolucyjnej konspiracji (w istocie siły te były nieliczne i przeżarte przez Ochranę).

Czy to się komu podoba, czy nie – tę wizję dziejów Rosji cechuje determinizm: ustrój patrymonialny wyżłobił koleiny, którymi los społeczeństwa potoczył się także po rewolucji – i trudno, aby nie toczył się dalej.

Nie sposób tu powstrzymać się od przypomnienia – co chyba Pipesa rozbawi – takich słów z jego książki: „Brak humanistycznej tradycji i teologii laickiej uczynił inteligencję szczególnie podatną na wyjaśnienia deterministyczne."

●

Pipes nie znajduje idei przewodniej w książce Hellera, tymczasem widać ją tam jak na dłoni: Heller za naczelny wyróżnik dziejów Rosji uważa dążność do rozszerzania granic

państwa za wszelką cenę, tj. niezależnie od praktycznych potrzeb; toż wystarczało jej zawsze wewnętrznego *lebensraumu*. Pipes twierdzi, że Heller jest naśladowcą Kluczewskiego, czyli tego klasycznego dziejopisa, który utrzymywał, że „terytorialny rozrost Rosji jest historyczną koniecznością". Autor „Historii imperium rosyjskiego" napisał swoją książkę i tak właśnie ją nazwał, aby uzasadnić tezę przeciwstawną. Chciał wykazać, że *elefantiasis* była chorobą, która Rosję miała zgubić. Uważał, że nie przywilejem, lecz fatum Rosji była bezprzykładna łatwość ekspansji. Na wschodzie, za Uralem, mieszkały plemiona, już bezbronne po upadku Ordy. Na zachodzie była Rzeczpospolita, obezwładniona przez nierząd polityczny, niezdolna nawet do osłonięcia się od wschodu Ukrainą, odpychająca tę tarczę.

Natura nie znosi próżni; natura imperium nie znosi cudzej próżni.

Heller, pisząc o wojnie rosyjsko-japońskiej, cytuje dziennik Sergiusza Witte: „Nie dosyć, że mamy już Polaków, Finów, Niemców, Łotyszów, Gruzinów, Ormian, Tatarów, itd., itp. – zachciało się nam jeszcze przyłączyć tereny zamieszkałe przez Mongołów, Chińczyków, Koreańczyków. To dlatego wybuchła ta wojna, co wstrząsnęła rosyjskim imperium..."

Na osobliwą uwagę zasługują wypowiedzi Hellera o znanym piśmie Bakunina do Mikołaja I. Rewolucjonistę – wydanego Rosji przez Szwajcarów, uwięzionego już w twierdzy Pietropawłowskiej – i jego władczego korespondenta łączy, zdaniem Hellera, pewne wspólne założenie: „Najważniejszy tu był ten aspekt ideowy, który dotyczył polityki zagranicznej. Idee te miały styl zaczepno-odporny... Zakładając, że Rosja jest zjawiskiem wyjątkowym i jedynym – dochodzi się do wniosku, że obrona tej wyjątkowości jest koniecznością, a najlepszą formą obrony jest, jak wiadomo, atak". Uderza tu akcent, położony na rezonerski, doktrynerski charakter motywów, które rządziły polityką zagraniczną Rosji.

Nieograniczona władza pozwala na tryumf każdej idei, która władcy strzeli do łba – od budowy kolei Moskwa-Petersburg w linii ściśle prostej, do krzyżowania gruszki z wierzbą i osiedlania Żydów w Birobidżanie. Tak jest, losy tego ogromnego kraju zależały nie tylko od gospodarczych

prawidłowości. Rola jednostki w historii Rosji też bywała nieco większa, niż gdzie indziej. Heller daje do zrozumienia bez żadnego smrodku dydaktycznego, że historia Imperium i jego zaborów to przede wszytkim *gesta tyrannorum* – i że rosyjski lud brał w nich udział raczej bierny, a w każdym razie – nie sprawczy.

W świetle tych okoliczności, zarzut Richarda Pipesa, że Heller uprawia „niezwykle staroświecki rodzaj historii, skupionej na działaniach carów i ich doradców" traci zarówno część racji, jak demokratyczny wdzięk. Staroświecka metoda brania pod uwagę tzw. woluntaryzmu samodzierżców, uchroniła pracę Hellera także od determinizmu. Los Rosji nie jest, jego zdaniem, wytyczony ani przesądzony. Owszem, utrudnia to życie prorokom.

Heller wskazuje na organiczną ułomność imperializmu w rosyjskim wydaniu: brak mu było godziwej wymówki. Prawosławie i panslawizm – to były motywy kulawe, potykające się o granice narodowe, wyznaniowe, historyczne. Dopiero komunizm, przypomina Heller, dał agresji usprawiedliwienie uniwersalne i pociągające: internacjonalizm. Ale kompromitacja na polu cywilizacji i niewydolność realnego socjalizmu odebrały wszelkie widoki ekspansji pod tym sztandarem. Idea wywietrzała, została tylko goła, sowiecka *elefantiasis*.

●

Pipes wcale nie pomija roli ekspansjonizmu w dziejach Rosji, ale nie uważa go za ich dominantę ani cechę szczególną. Istotnie, imperializmu nie wymyślili Rosjanie. Autor „Rosji carów" widzi, owszem, że imperializm tutejszy był osobliwy, przyczyny tego zjawiska objaśnia wszelako bez zwykłej przenikliwości. Aby wskazać przyczyny, Pipes proponuje dwie hipotezy, przyznajmy, dość chwiejne.

Twierdzi po pierwsze, że „władcy Moskwy pragnęli posiąść nie tylko autokratyczną władzę, ale i to, co określiliśmy mianem jedynowładztwa, stąd też instynktownie kojarzyli suwerenne panowanie ze zdobywaniem nowych ziem". Zwraca tu uwagę i niespodziewane odwołanie do instynktu władców, i przypisywanie tylko władcom rosyjskim takich ambicji; skądinąd – Wilhelmowi Zdobywcy zazdrościła

przydomku większość panujących. Po drugie – bodźcem do podbojów miałaby być „ciągła pogoń mieszkańców Rosji za niezagospodarowanymi zasobami, zwłaszcza gruntami pod uprawy". Twierdzeniu temu przeczą proste fakty. Istotnie, rolnictwo rosyjskie miało charakter ekstensywny: gdy grunta, przeważnie mało urodzajne, wycieńczyła już trójpolówka, trzeba było karczować las, albo szukać ugorów. Ale u tegoż dziedzica! Pipes przypomina, że już w 1603 r. zniesiono na Rusi „Juriew dień", kiedy to umarzano chłopu długi i pozwalano wynieść się het-precz. Odtąd mógł tylko uciekać od pana w tajgę, do Kozaków, albo i za granicę, jak sekciarze – filiponi. Nikt również nie widział głodnych ziemi rosyjskich osadników we wsiach Priwislanskiego Kraja, a nawet Litwy; nie po to Moskwa je zagarnęła.

Nie byli w istocie tak bardzo ziemi głodni. Wbrew rozpowszechnionej legendzie, wbrew mitowi, który stał się paliwem rewolucji – ani brak gruntów pod uprawy, ani niechęć ziemian do parcelacji, nie były realnym powodem dotkliwej chłopskiej biedy i buntów. Kiedy po przewrocie październikowym rozdzielono wszystkie ziemiańskie majątki – włościanie centralnych guberni dostali po 0,1 dziesięciny, a chłopi spod Saratowa po 0,5 dziesięciny ziemi ornej. Tego też dowiedzieć się można z książki Michaiła Hellera.

Wydaje się, że profesor Pipes jest o krok od rozwikłania zagadki, kiedy powiada, że „zawsze można usprawiedliwić nowe podboje koniecznością obrony starych (...) Logiczną tego konsekwencją powinno być dążenie do podporządkowania świata, inaczej bowiem żadne państwo nie może powiedzieć o sobie, iż jest wolne od groźby napaści z zewnątrz". Ale są to słowa podszyte ironią racjonalisty; autor tę logiczną konsekwencję wyraźnie uważa za absurdalną, niedorzeczną i niewykonalną.

Otóż wolno sądzić, że władcy Rosji traktowali tę perspektywę z rosnącą powagą. Nie instynkt im to podpowiadał, nie zagrożenia zewnętrzne i nie praktyczne potrzeby. Pipes słusznie przypomina, że już w wieku XVIII Rosja osiągnęła wszystkie geopolityczne warunki pomyślnego bytu państwowego. Pokusą do dalszej ekspansji Rosji carów był brak przeszkód, ogrom i pozór bezkonkurencyjnej potęgi, ale dopiero komunizm miał dać tej pokusie szczytną legitymację

i światowy rozmach. Skorzystał z tej podniety – i w rezultacie doprowadził Rosję nieomal do zguby, a świat – na próg atomowej zagłady. To było zaledwie wczoraj – a dziś już rwą się w Rosji do władzy ci, którzy chcą zawrócić Wołgę kijem.

●

Rozumie się, że „Rosja carów" napisana była także po to, aby obalić tezę o nierdzennym, nierosyjskim, narzuconym z zewnątrz charakterze komunistycznego ustroju. Pipes chce jeszcze raz dowieść – co prawda w całkiem nowy sposób – że „między rosyjską przeszłością, a sowiecką teraźniejszością zachodzi stosunek kontynuacji i dziedziczenia" – jak pisze w przedmowie Jarosław Bratkiewicz, bardzo sprawny tłumacz dzieła (wydanego przez „Krąg" w 1990). Spór na ten temat wrzał w minionych latach i publikacja dzieła Pipesa tylko go zaogniła. Do najsurowszych krytyków należał Aleksander Sołżenicyn, twierdzący, że tradycja rosyjska jest samoswoja, z komunizmem nic wspólnego nie ma, zaś Richard Pipes uwzględnił w dziejach Rosji jedynie czynniki materialne, pominął rolę religii, sztuki, myśli, a zresztą – zwyczajnie Rosji źle życzy; to ostatnie mija się z prawdą, co łatwo teraz stwierdzić.

I oto dziś inna kontrowersja wysuwa się na czoło, inny spór z Pipesem się rysuje i książka Michaiła Hellera innej oceny wymaga niż ta, którą dał harwardzki uczony.

Teraz chodzi o możliwość zmiany tych cech ustroju Rosji, które okazały się fatalne i dla jej obywateli, i dla sąsiadów. Chodzi o szansę trwałej zmiany chorobliwego reżymu – i mniejsza już, czy był on samorodny, czy zaszczepiony. Dość, że przyjął się, przejawił skłonność do reinkarnacji i – co ważne – do przerzutów. A właśnie zdarzyła się historyczna sposobność metamorfozy, a nawet dwie: – albo na drodze tej niebezpiecznej skłonności postawić solidny znak ostrzegawczy – albo czekać na jej stopniowy zanik pod wpływem perswazji i na widok efektów rozwoju własnej gospodarki.

Wolno przypuszczać, że ów zanik stanie się realny tylko przy istnieniu owego wyraźnego znaku. Tak jest, przestroga sama nie poradzi, nie zastąpi wewnętrznych, rosyjskich

przemian, ale jakiś wpływ na ich kierunek będzie miała. Powinna być tak dobrze widoczna, aby ci politycy rosyjscy, którzy chcą powrotu *ancien regime*'u upewnili się, że nieosiągalny jest jego główny cel: rozpychanie się na mapie, ów prymitywny sposób zwiększania zasięgu wpływów. To właśnie, co Heller uważał za dominantę dziejów Imperium.

Zwykle uważa się NATO za rodzaj tamy dla ekspansji. W istocie zaś jest materialną bazą, na której trzeba dopiero zbudować polityczny aparat do zapobiegania konfliktom. Tylko tyle i aż tyle.

Ale ów polityczny aparat nie może sprowadzać się do takiego układu NATO–Rosja, który dawałby jej prawo do praktycznego udaremniania obrony nowych członków Paktu przed możliwą napaścią. Jak w ciąży, tak też w NATO nie można być tylko troszeczkę. Najlepszym sposobem zapobiegania konfliktom jest przekonanie partnera, że w roli n a p a s t n i k a nie ma szans. Inna sprawa, że musi zobaczyć, jak korzystne jest granie i n n e j roli.

Wiadomo, że prof. Pipes zalicza się do otwartych przeciwników poszerzania NATO. Posłuch jego perswazjom zapewnia zarówno zasadność rad, jakich udzielał w trakcie zimnej wojny Ronaldowi Reaganowi, jak autorytet historyka. Ale ten ostatni wzgląd powinien być brany pod uwagę z dużą ostrożnością, jeśli porówna się przesłanie jego „Rosji carów" z głównym argumentem, jakim walczy z planem włączenia do NATO krajów byłego Obozu, w tym Polski. Argument ten – w rozmowie z Jerzym Surdykowskim (*Wprost* z 22 lutego 98) – tak zabrzmiał: „Jeżeli nawet Rosja pogodzi się z poszerzeniem NATO jako z faktem dokonanym, to nie pogodzi się z tym duchowo, a frustrację Rosjan wykorzystają przeciwnicy demokracji i Europy (...) Nie drażnijcie Moskwy, pozwólcie jej spokojnie dokończyć reformy, nie ułatwiajcie nacjonalistom przejęcia władzy..."

Zauważmy, że teza ta odwołuje się nie do materialnych zależności, lecz do uczuć i nastrojów jako czynnika polityki, nadto zaś opiera się na przekonaniu, że losy reform i losy demokracji – to znaczy l u d o w ł a d z t w a – są w Rosji wzajemnie zależne i powiązane. Ta kwestia warta jest sama przez się zastanowienia. Nie sposób jednak zastanawiać się nad meritum sprawy, zanim nie dowiemy się na czym opiera

Pipes swoje rachuby na owe szanse reform i demokracji w Rosji, a w konsekwencji – swój sprzeciw wobec rozszerzenia NATO. Sęk w tym, że podstaw do takich nadziei i sprzeciwów nie znajdzie we własnej książce.

●

Polski publicysta ma powód i prawo do rozpatrywania kwestii rosyjskiej przede wszystkim w aspekcie interesów Polski i jej niepodległości. Mimo to – i mimo praktycznej niemożności poznania i ogarnięcia całego ogromu zagadnień, które wyłoniły się spod całunu ZSSR – jakaś drobna ich część, nie tylko Polski dotycząca, musi być tknięta przy okazji omówienia tak ważnych dzieł i poglądów.

Piszący te słowa chce przeto zastrzec się, że nie lekceważy znaczenia nastrojów w polityce, ani frustracji Rosjan, że nie sądzi, aby demokracja tak pasowała do Rosji jak siodło do krowy, nie uważa też udziału w NATO za panaceum dla Polski – choćby dlatego, że nie wystarczy jej mieć spokój tylko od zachodniej ściany. Jednocześnie uważa znalezienie w Rosji alternatywy dla państwa policyjnego i zaborczego za problem gardłowy dla Polski, dla świata, dla Rosji samej. Sądzi, że możliwa jest i ta alternatywa, i przyjazne stosunki między Polską a Rosją – pod warunkiem uszanowania przez oba te państwa niepodległości Ukrainy, Białorusi i Litwy.

Kto tak stawia sprawę, słyszy często od Rosjan, że chce budować nowy kordon sanitarny i izolować Rosję. Powtarzają ten koncept nawet ludzie tak szlachetni i znakomici jak Sołżenicyn. Otóż – przy najgorszych chęciach, nie sposób izolować kraju, nawet małego, w epoce satelitów, internetu, transportu powietrznego, globalizacji wiedzy i rynków. Ostatnią – i nieudaną – próbą w tej materii była stalinowska blokada Berlina. Rosja może izolować się tylko sama. Już to przerabiała – ze skutkiem wiadomym i do dziś odczuwalnym, choćby w dziedzinie postępu technicznego. Na kompleks izolacji jest tylko jedno lekarstwo: panowanie nad światem. Nic mniejszego nie wystarczy, ani Sewastopol, ani nawet Cieśniny. Ale to też przerabialiśmy.

Nam tu nie o żaden kordon chodzi, lecz o realną rękojmię odrzucenia przez Rosjan pokusy ekspansji terytorialnej –

i przejścia w zamian do gospodarki intensywnej. Tu nie poradzą cudze przestrogi, konieczna jest zmiana całej strategii państwowej, co równa się przełożeniu zwrotnicy na torach ustroju. Otóż – gdyby ktoś chciał swoje nadzieje na szansę ustrojowej alternatywy w Rosji opierać na książkach Richarda Pipesa, to musiałby zwątpić w jej realność. Mógłby także dojść do wniosku, że demokratyczna droga do takiej alternatywy trudniejsza jest w Rosji do przetarcia, niż w jakimkolwiek innym europejskim kraju.

Tymczasem Pipes w swoich enuncjacjach na temat rozszerzenia NATO podkreśla znaczenie właśnie tej drogi – i główną przeszkodę dla niej widzi w nadziei państw, wpędzonych niegdyś do Obozu, że uda im się dziś uchronić przed recydywą tego losu.

●

Jest zabiegiem aż nazbyt łatwym wskazanie teraz na aktualne i ogólnie znane okoliczności polityczne, które odbierają praktyczne racje sprzeciwom prof. Pipesa wobec rozszerzenia NATO. Kryzys finansowy i gospodarczy w Rosji, rosnąca rola zdesperowanej armii, walki diadochów, ale nade wszystko – rwanie się stronnictwa sowieckiego do pełnej władzy – każą widzieć w NATO sąsiadom Rosji coś więcej, niż ostoję dla nich.

W chwili, gdy pisane są te zdania, wchodzą do rządu Primakowa komuniści. Kto uważa, że doświadczenie czegoś ich nauczyło, ten się nie myli, ale nie zna zwykle istoty tych nauk. Pustą skorupę po marksizmie pracowicie wypełnili odpadami mocarstwowych i pogromowych idei, sklejonych chęcią odwetu. Jest to, nie oszukujmy się, program chwytliwy i łatwy w użyciu. Jak się zdaje, jeszcze tylko Lebied' może przeszkodzić w realizacji tych planów.

Nacjonal-bolszewicka większość Dumy trzykrotnie już odrzuciła projekt ustawy o zakazie propagandy faszystowskiej; jak pisze Krystyna Kurczab-Redlich *(Polityka,* 19 X 98) – „Deputowani uznali tę ustawę za szkodliwą, narzuconą przez międzynarodowe ośrodki syjonizmu". Wątpliwe, aby deputowanym zależało tu na wolności głoszenia korporacjonizmu albo koncepcji Juliusa Evoli; troszczyli się raczej o ochronę

ideowego dziedzictwa spółki Ribbentrop–Mołotow.

Skoro wracają do władzy w Rosji te siły, które prowadziły zimną wojnę z Zachodem, wydaje się celowe przypomnienie, że w tamtych warunkach Richard Pipes nie sądził, aby potencjalnych agresorów dało się udobruchać i nie radził ich głaskać (co miało niezłe skutki). Dziś warunki są odmienne o tyle, że odwetowców nie stać na gwiezdne wojny. Nie łudźmy się jednak – aby właśnie ich „nie drażnić" trzeba by co najmniej odtworzyć Obóz.

Poszerzenie NATO nie jest aktem agresji; jak dotąd, była to jednak organizacja defensywna; przyznał to niedawno niezły znawca przedmiotu, generał Lebied'. Nie warto jednak ukrywać, że chodzi o akt prewencji. Prewencji, w stosunku do rekonkwisty, do agresji – którą otwarcie obiecują nacjonal-bolszewicy; wystarczy poczytać ich pisma – *Zawtra, Sowietskaja Rossija, Elementy.* Tymczasem zaś Władimir Łukin, prezes komisji spraw zagranicznych Dumy – i to z ramienia liberalnej partii „Jabłoko" – bez cienia żenady powtarza argumenty swoich politycznych przeciwników, prawiąc Polakom, w ich stolicy, Warszawie (dokąd przybył 23 X 98), że przystąpienie ich do NATO zagraża Rosji, że jest wręcz aktem agresji. Swoją wypowiedź kończy Łukin wyrzutem, że „Polska podjęła się misji wbijania szpilek w Rosję przy każdej okazji..." Chodziło mu zapewne o – znane ze wschodniej przypowieści – szpilki jeża, które lis uznał za narzędzia agresji, gdy próbował jeżowi dobrać się do skóry.

Okaże się prędzej, czy później, że istnienie, zwartość i zasięg Sojuszu Atlantyckiego jest dla samej Rosji nadzieją, iż nie ośmieli się tam skorzystać z wolnej ręki stronnictwo powrotu na starą, sowiecką drogę ekspansji, zaborów i dywersji, drogę, która doprowadziła ZSSR do zapaści.

●

Wszelako tezie profesora Pipesa odbiera dziś zasadność inne, bardzo prozaiczne zjawisko: nie lęk przed NATO hamuje w Rosji reformy, przeszkadza procesom demokratycznym i toruje drogę patriotom sowieckiego chowu. Rosjan dziś co innego gnębi, co innego obchodzi i co innego przeraża. Czy Polska jest, czy nie jest członkiem NATO – mało

ich wzrusza, bo czują się zagrożeni nie z zewnątrz, ale na wewnętrznym froncie, który przebiega między ich domem, a sklepem, bankiem i nowym ustrojem, który ich zawiódł. To dlatego a nie dla żadnych innych przyczyn, będą szukać ratunku pod starym adresem.

Nie znajdą tam żadnych nowych pomysłów na wyjście z zapaści gospodarczej. Raz – dlatego, że narodowi socjaliści (którzy teraz pod starym adresem mieszkają) zamiast nowych konceptów mają dla nich tylko obietnicę powrotu do dawnej potęgi dawnym sposobem. Dwa – dlatego, że Rosjanie przeważnie nie chcą już słyszeć o nowych pomysłach.

Weteran zimnej wojny, twórca i honorowy dyrektor moskiewskiego Instytutu Badań Ameryki Północnej, Arbatow, oświadczył na powitanie prezydenta USA, spieszącego do Moskwy na wypomóżkę Jelcynowi:

„Clinton nic nie rozumie, nawołując do reform. Rosjanom słowo 'reformy' kojarzy się z katastrofą ekonomiczną, jaką przeżywają... Kryzys wywołała tak zwana kuracja wstrząsowa Gajdara i jego popleczników; cofnęła nasz kraj do epoki wczesnego kapitalizmu z czasów Dickensa... Kilka lat kuracji wstrząsowej wyrządziło naszej gospodarce większe szkody, niż pół wieku wyścigu zbrojeń..."

Profesor Pipes wie najlepiej, gdzie Arbatow mija się z prawdą.

Rosja przeżyła nie kurację wstrząsową, lecz wstrząs bez kuracji. Nie miała własnego Balcerowicza, nie pojawił się zwłaszcza nowy Stołypin. Chłop rosyjski nie wyłazi z nory swojej kołchoźnej *obszczyny*, nie bierze ziemi, bo nie uchwalono mu prawa *kupczenia* nią. W rezultacie grynderzy i geszefciarze pełnią obowiązki klasy średniej, bez której nie ma mowy o społecznym poparciu dla przemian. Nieliczną jeszcze, przedsiębiorczą inteligencję powalił kryzys rubla. Oligarchom wystarczy zawłaszczenie państwowych rezerw.

Pakiet niezbędnych reform zablokowała wiadoma większość w Dumie. Gajdarowi nie dała czasu, Czernomyrdina do czasu tolerowała, bo reformy rozmydlił i wreszcie wymusiła dymisję Kirijenki z Niemcowem – tym samym, który dowiódł w guberni niżegorodzkiej, że wolny rynek opłaca się także Rosji. Znów oddano zegarek do naprawy tym, którzy go zepsuli.

Zachód nie wsparł w porę reformatorów, bo drążyła go obawa, że – skutkiem uspołecznienia państwowej własności i państwowej władzy – po sławetny guzik atomowy wyciągnie się wiele palców, wygodniej wszak mieć do czynienia z jednym. To był priorytet, czyli największe zmartwienie. Usiłowano je zmiejszyć kredytami dla jedynowładcy, nie bardzo dbając, czy idą na podpieranie ruiny, czy też na budowanie od podstaw alternatywy dla imperialnych pokus. Gdyby Zachód inwestował w Rosji, świadom wagi tego właśnie celu – nie byłoby zmartwienia z guzikiem i palcem. Nie ten cel miano jednak na oku, tylko klonowanie w Rosji brytyjskiego parlamentu. Kredyty wpadały więc w czarną dziurę systemu, przypominającego kapitalizm, owszem, ale z czasów Marksa. Tu Arbatow ma rację, ale stawia skutek na miejscu przyczyny. Krach finansowy odebrał Rosjanom ich biedne ruble, za to obdarzył pewnością, że kapitalizm, to ustawiczne kryzysy – tak, jak uczył ich tyle lat ten sam Arbatow.

Już ten pobieżny przegląd znanych wydarzeń prowadzi do wniosku, że w podobnych warunkach najmniej prawdopodobna jest w Rosji kontynuacja reform, a nadto – że przez dłuższy czas ich zwolennicy nie mogą liczyć na poparcie wyborców. Ale uwaga! – antagoniści reform mają teraz przewagę wcale nie jako „przeciwnicy demokracji i Europy". Odwrotnie, są dziś pewni, że demokracja jest ich szansą: liczą na większość w wyborach. Liczą też na Europę, bo sądzą, że przypomni sobie dawne sympatie lewica, rządząca już w głównych krajach kontynentu – a *in pectore* niechętna militarnej obecności USA.

Jednym słowem – ci, których Pipes nie radzi w Rosji drażnić, liczą w swoim kraju na poparcie mas nie jako przeciwnicy poszerzenia NATO, ale jako wrogowie reform, globalizacji i gospodarczego liberalizmu. Nie tylko Arbatow twierdzi, że „liberalizm" jest obok „reform" najbardziej pomiatanym w Rosji terminem.

●

Gdyby cały nasz przewód miał na celu tylko wykazanie sprzeczności i braku konsekwencji między dziełami Richarda Pipesa, a jego aktualną pozycją i rachubami, byłby aktem

nielojalności zarówno wobec znakomitego autora, jak cierpliwego czytelnika.

Autor mógłby wskazać, że jego pozycja uległa ostatnio zmianie: w dyskusji telewizyjnej z polskimi publicystami nie akcentował swoich radykalnych poglądów na sprawę poszerzenia NATO i oznajmił, że do kryzysu, trapiącego Rosję, lepiej w ogóle się nie wtrącać, ani nie spieszyć z radami, pożyczkami i aktami filantropii politycznej.

Czytelnik powie, że tym, co naprawdę go interesuje, jest odpowiedź na pytanie czy r z e c z y w i ś c i e losy Rosji muszą potoczyć się dawnym torem? Wiele mniej obchodzi go krytyka o p i n i i na ten temat. Dodałby chyba, że w ostatniej, telewizyjnej deklaracji profesora Pipesa uderza go nie tyle ton rozsądnej przezorności, ile nuta bezradności.

Mam nadzieję, że profesor otrząśnie się z tej konfuzji, ale obawiam się, że zadowoli go rola jasnowidza, zechce wrócić do dawnych swoich tez i zwątpi nawet w możliwość przesunięcia zwrotnicy na torach dziejowych Rosji. To prawda, że w tej chwili możliwości te wydają się nikłe. Piszący te słowa nie jest jednak czarnowidzem i widzi podstawę do odrzucenia utartego stosunku do rosyjskiej przyszłości. Znajduje tę podstawę w dziełach samego Pipesa. Metoda, przez niego stosowana, a raczej pewien jej ukryty defekt, pozwalają dojść do wniosków odmiennych od tych, które z „Rosji carów" zdają się jednak wynikać.

●

Richard Pipes w innej swojej pracy („Survival is Not Enough. Soviet Realities and America's Future", N.Y., 1984) twierdzi, że również „kultura polityczna, ukształtowana przez historyczne doświadczenie tego, czy innego narodu, wnika w jego krwiobieg i poddaje się zmianom równie opornie i powoli, jak język i obyczaje". Z tym można by się zgodzić, gdyby nasz uczony nie zastosował tej reguły do zjawiska, które jest z nią na bakier. Powiada bowiem dalej: „Losy wszelkich rewolucji pokazują, jak wielki wpływ na ich przebieg i rezultaty ma tradycja. Losy marksizmu w Rosji stanowią doskonałą ilustrację tej prawidłowości (...) Ta sama socjalistyczna ideologia, która poczęła utożsamiać się z totalitaryzmem w Rosji, nie doprowadziła do identycznych skutków na Zachodzie, co nasuwałoby wniosek, że decydującym czynnikiem jest tu nie idea, lecz gleba na którą ona pada."

Myślę, że mieszkańcy naszej części Europy – nie tylko Polacy, lecz także Czesi, Węgrzy, Niemcy z Saksonii – zdziwiliby się czytając, po pierwsze, że ich gleba jest inna niż np. w Austrii czy Bawarii (z którymi to krajami to i owo długo ich łączyło), a po drugie – że skutki sowieckiej ideologii tak bardzo różniły się u nich od efektów realnego socjalizmu w Rosji. Tak, różniły się stopniem, ale nie kierunkiem procesu. Na ów kierunek lokalna tradycja miała wpływ niemal czysto zdobniczy i, co ważniejsze, planowo zanikający. Tyle, że Centrali nie starczyło sił i czasu, by wykonać plan do końca.

Ale również przykład Centrali formuły prof. Pipesa nie potwierdza.

Otóż – wedle koncepcji Pipesa cały kamienny ciężar historycznych mechanizmów ustrojowych, stosunków własnościowych, zależności urzędowych, słowem – cała masa upadłościowa starej Rosji, przeniesiona została do ZSSR siłą t r a d y c j i, czyli na skrzydłach świadomości historycznej, bytującej niewzruszenie w duszach społeczeństwa. To ona, owa świadomość, nie zaś siła dekretów, zakazów i nakazów, praw i planów, decydowała pono, że porządki sowieckie były takie, nie inne.

Istotnie – zwykłe, materialne drogi i kanały przekazu doświadczenia ustrojowego zostały przez rewolucję zniszczone, zrujnowane, zatarte z wielką energią i staraniem. Sądy przysięgłych ustąpiły miejsca tajnym trójkom OSO. Kodeksy praw zastąpiono praktyką sprawiedliwości klasowej i terroru rewolucyjnego. Zniknęły same pojęcia własności, dziedziczenia, posiadania, dzierżawienia. Strażnicy i znawcy owych mechanizmów, kodeksów, przepisów, porządków, katastrów zajęli pierwsze miejsca na listach wrogów ludu. Zaorano miedze. Przesiedlono gwałtem całe klasy i narody. Odwrócono siłą społeczną drabinę – i jeśli nawet uznać to postawienie jej z głowy na nogi, to nie sposób już mówić o schedzie i kontynuacji. Ani o drodze historii, drodze bitej, ale za to wytyczonej raz na zawsze.

Jeśli liczne składniki tej schedy pojawiły się w ZSSR pod nowymi imionami, to niech nikt nie mówi, że stało się to z

woli ludu i pod jego spontanicznym naciskiem. Wszystko – od przywrócenia pagonów na mundurach, aż po przykucie chłopów do kołchozu przez sekwestr dokumentów – było zaplanowane i narzucone przez władzę. Wszystko, co zostało tak patriotycznie przywrócone, służyć miało w końcu temu, co uważamy za cechę główną ustroju: ułatwianiu ekspansji terytorialnej. Cała reszta restaurowanych staroci służyła do kamuflażu, czyli *pokazuchy*, a reżymowym poetom do patriotycznych pień.

Wszelako – jeśli wierzyć Pipesowi – cała ta góra instytucji, zakazów, nakazów i struktur społecznych (włącznie z aparatem represji i dziesiątkami milionów jego ofiar), została uznana przez obywateli b. RSFSR za zespół zjawisk naturalnych niejako z poślizgu. Dlaczego? A dlatego, że ponoć dawno wnikła w ich krwiobieg, że tkwi w ich głowach, że Rosjanie od wieków wiedzą, jaka była ich historia i dokąd musi ich zaprowadzić.

Tymczasem są dowody, że ten stan rzeczy większość współczesnych Rosjan uznała za naturalny, owszem, ale dopiero po długiej i dręczącej musztrze. Czechow twierdził, że zając nauczy się draski zapalać, jeżeli go długo bić.

●

Nieodżałowany Kazimierz Dziewanowski w ostatnim swoim szkicu „Wielka Rosja i ulica Kielecka" pisał: „Wersja historii znana Rosjanom została głęboko zniekształcona przez ponad 70 lat indoktrynacji komunistycznej." *Krótki kurs* nie był wcale krótki.

W samej rzeczy, nie ma kraju, w którym własna historia podlegałaby takiej mistyfikacji jak w sowieckiej Rosji, nigdzie też w XX wieku nie zmieniano tak często jej urzędowych i akademickich wersji. Tylko za życia Stalina kilkakrotnie wywracano na nice oceny tak ważnych postaci jak Piotr Wielki, Katarzyna, Suworow i tak znamiennych epizodów, jak przybycie Waregów na Ruś, Wielka Smuta, bunt Pugaczowa, akcje zbrojne Narodnej Woli, nie mówiąc już o Październiku i dziejach WKP(b); toż zniknęła z nich cała lista jej filarów z Trockim na czele. Poeta Demian Biednyj musiał kajać się za swoich „Trzech bohaterów", bo znaleziono, że

drwił z mitycznych, staroruskich osiłków, a był rok 1938 i patriotyzm podległ rehabilitacji. Eisenstein, między pierwszą a drugą serią swego filmu o Iwanie Groźnym, zdołał protagonistę przekształcić z tyrana mimo woli, ścinającego łby tylko z przykrej konieczności – w herosa, dumnego ze swego krwawego mozołu; przyjaciel reżysera, Józef Juzowski, wyjaśnił mu, że Stalin ani myśli się kajać i nie żąda dowodów, że nie chciał, ale musiał.

Schronem dla tradycji, tak ważnym w Polsce, nie była w ZSSR religia i cerkiew. Pomińmy prześladowania, grabież jej zasobów, pogrom hierarchii, a później – penetrację jej szeregów przez Organy. O tym, co stało się z ciałem tego Kościoła – z wiernymi, wszystko mówi jedno opowiadanie Sołżenicyna. Nie do zapomnienia jest w tej „Procesji wielkanocnej" obraz gromady dziewuch i kawalerczaków, z niedopałkiem przyklejonym do pijanej wargi, przypatrujących się z drwiną i nudą stadku spłoszonych staruch, ciągnących wokół cerkiewki w ślad za lękliwym popem.

Nie sądzę, aby profesor Pipes mógł znaleźć w szkole sowieckiej potwierdzenie swoich poglądów na rolę tradycji w kulturze politycznej sowieckiej Rosji. Wszystkie zmiany kursu i dyrektyw propagandowych odbijały się przede wszystkim na treści podręczników historii i politgramoty. Nie znajdzie, rzecz jasna, potwierdzenia w dorobku tzw. środków masowego przekazu. Przekazywały tylko dyrektywy Ministerstwa Prawdy, a korzystały z monopolu.

●

Pierwsze zdanie „Historii imperium rosyjskiego" Hellera brzmi tak: „Nadzwyczajna kruchość naszych poglądów na przeszłość bije w oczy".

Poglądy te są nie tylko kruche. Są chwiejne i względne; jak tu trzymać się tradycji, skoro przez tyle lat kazano w niej widzieć raz po raz co innego? Rosjanie mają pewną i sprawdzoną świadomość jedynie współczesnego ucisku.

Jeżeli więc charakter ustroju ma zależeć od nawyków pamięci i świadomości historycznej narodu, to metody profesora Pipesa nie da sie zastosować do dzisiejszej Rosji. Tradycja została przerąbana, sfałszowana i nadużyta, pamięć za-

ćmiona. Jeżeli zaś ktoś powie, że to również dowód szczególnej, rosyjskiej podatności na rozkazy, typowa cecha rosyjskiej gleby – to niechże przyjrzy się Niemcom z dawnej NRD. Nie 70, ale 45 lat wystarczyło, aby Ossi i Wessi różnili się jak dwa obce plemiona. Nie azjatycka gleba, nie odmienna historia sprawiły, że ci ze wschodu okazali się – jakby powiedział Richard Pipes – niezdolni do okiełznania władzy politycznej, bo przekonano ich, że osiągnąć coś mogą tylko współdziałając z nią posłusznie, oraz że naturalnym sposobem bycia jest bierne oczekiwanie zarówno na kary, jak skąpe ale pewne dary z jej ciężkiej ręki. Sławna niemiecka staranność zmalała, a z nią – wydajność pracy. Zachodnie biliony marek idą na zaspokajanie pasożytniczych roszczeń. Cóż to jest, jeśli nie skutek indoktrynacji i efekt wprowadzenia mechanizmów ustrojowych, dawniej temu społeczeństwu nieznanych? Cóż to jest, jeśli nie dowód koronny? Czy do Rosjan wcale się nie odnosi?

●

Kontrowersje nasze dotyczą nie tylko przeszłości. Pipes widzi jej ciągłą obecność w Rosji i przypomnijmy, że uważa ją za czynnik decydujący. Jedynym prawdziwym i poważnym grzechem tego świetnego znawcy dziejów Rosji jest fatalizm.

Metoda jego szwankuje przez paradoksalny nadmiar logiki. Tak starannie i obficie dobrał historyczne przesłanki do swoich twierdzeń, że same one proszą się o konsekwentne wyciąganie tylko takich wniosków, jakie podpowiedziały. Ale – jak twierdził akademik Pawłow – logiczne rozumowanie świadczy niewątpliwie o zdrowiu umysłowym, nie zaś o tym, że ma się rację. Logiczne wnioski z minionych dziejów Rosji nie mogą uchodzić za samowystarczalne; nie uwzględniają nowych i nieprzewidzianych zjawisk, które po drodze wdały się w cały ten proces. Tu wystarczy wymienić tylko dwa czynniki, których więź dopiero ostatnio wyszła na jaw. Pierwszy – to praktyczne zniknięcie w Rosji analfabetyzmu, drugi – to pojawienie się wreszcie jawnej i (odpukajmy) bezkarnej opinii publicznej.

Pipes ma w części rację: istnieje w Rosji warstwa, która przeniosła w swojej świadomości jakieś ślady prawidłowości,

wypracowanych w dawnej Rosji. Ale nie tylko urzędowe i reżym wspierające! Pipes bardzo jasno definiuje dla swoich amerykańskich czytelników, kim byli ci ludzie: to rosyjscy inteligenci. Podkreśla, że chodziło o ludzi różnego stanu, gotowych do poświęcenia się sprawom publicznym, a zarazem niezwiązanych żadnym interesem z jakąkolwiek warstwą czy klasą (co, jego zdaniem, nie wiązało ich z realnymi interesami mas), ani z władzą – co czyniło z nich jedyną grupę zdolną do sprzeciwu i do proponowania racjonalnych reform.

Kto twierdzi, że inteligencja, jako osobna wartwa, nie istnieje, że nie ma już przyszłości, ten nie zna Rosji i roli – błogosławionej lub złowrogiej – jaką w jej dziejach grały grupy nieliczne, ale świadome swoich celów.

Aleksander Sołżenicyn z całą pasją i słusznością nazwał sowieckich p.o. inteligentów „wykształceńcami". Z tym wszystkim – jest to jedyna, nie całkiem zatomizowana przez reżym grupa, która przeniosła przez sowiecki Synaj znajomość książek dawnych i nowych, zamiłowanie do ich czytania i wracania do nich, a także – do przepisywania na maszynie „Erica" ich zakazanych edycji, czy rękopiśmiennych szkiców. Na początku było słowo – na początku końca bolszewizmu. To *głasnost'* zwróciła Rosjanom prawo do własnego zdania.

Nie chcę przez to powiedzieć, że cała nadzieja w tej gromadzie wykształceńców. Trzeba tylko tu przypomnieć, że – po pierwsze – to z ich grona wyszedł i Sacharow, i sam Sołżenicyn, obaj kształceni na tzw. wąskich specjalistów. Ważne jest to zwłaszcza, że nie do grona szlachetnych straceńców i wołających na puszczy sprowadza się teraz ta warstwa. Tak, inteligenci zostali nie tylko zdziesiątkowani, lecz jeszcze okaleczeni duchowo, podobnie jak inni obywatele ZSSR. Jest tylko to, co zostało na składzie. Ale nie jest ich mało i lepiej wiedzą niż koledzy z Zachodu, czym kończy się rezygnacja z własnej cechy szczególnej: zdolności do sprzeciwu, czy po prostu – do krytycznego myślenia. Nie ma bez tej cechy żadnej zmiany w nauce, w nauczaniu, w technice – tej nawet, która służy państwu takiemu, jakie woleliby zmienić.

Dlatego od tych ludzi wszędzie, a na pewno już w Rosji, zależy dziś miejsce państwa w pierwszym, drugim czy czwartym świecie. Jeśli restauracja sowieckich porządków się

powiedzie, to – jako że te same przyczyny prowadzą do tych samych skutków – dojść będzie musiało do nowej próby zniewolenia, a może i zgilotynowania tej warstwy, najbardziej dla totalnej władzy niewygodnej, ale też najpotrzebniejszej. Nic nie dały (więc nic też nie dadzą) wysiłki odgrodzenia jej od reszty społeczeństwa i świata. Wszelkie próby zatkania rosyjskiej inteligencji uszu i gęby, przedsiębrane przez ekipę jakiegoś Zjuganowa, będą aktem samobójstwa nie systemu tylko, lecz państwa. Resztę sprawi odbudowa owej świadomości historycznej, o której – na kredyt – pisał Pipes. Sądzę, że przyczyni się do niej powszechna lektura książki Hellera. Już dlatego, że opowiada Rosjanom ich dzieje po porządku, sposobem na pewno zrozumiałym dla ludzi, głodnych rzetelności i prostoty, wśród zgiełku, jakim ich ogłuszono. A także dlatego, że Misza Heller był wzorem, pięknym przykładem rosyjskiego inteligenta, zdolnego i do trzeźwości, i do ofiarnego przejęcia się losem swoich ziomków. W Rosji – mimo wszystko – tacy ludzie wciąż się rodzą na kamieniu – i wciąż budzą podziw, radość, a też chęć naśladownictwa.

Tyle na temat spraw, o których tylko Rosjanie myśleć, radzić i spierać się powinni. Nasz sąd tu niewiele pomoże. Tylko, że Hellera znaliśmy my także i winniśmy mu solidarną, wdzięczną pamięć.

Co zaś do kwestii, które bliżej nas samych obchodzą, to liczę, że profesor Pipes znajdzie wspólny język z profesorem Brzezińskim i zechce zgodzić się z jego znaną opinią, mimo że ten ostatni doradzał nie republikanom, lecz demokratom: warunkiem demokratyzacji Rosji jest jej rezygnacja z marzeń o imperium.

Niech nam wolno tu będzie dodać swoiste *ceterum censeo*: Rosji nie wolno niczego odbierać – oprócz pokusy ekspansji, okazji do nowych zaborów.

Jerzy POMIANOWSKI

Archiwum polityczne

Z nordyckiej perspektywy

GROŻĄCA KATASTROFA KOMPUTEROWA

Chwilowo, tylko cztery państwa Unii Europejskiej: Wielka Brytania, Holandia, Dania i Szwecja są w stanie uniknąć możliwej katastrofy komputerowej dnia 1 stycznia 2000.

Powyższą, pesymistyczną ocenę sformułował w szwedzkich mediach Anders Johanson, wysoki urzędnik SAFAD (*The Swedish Agency for Administrative Development*). Można zakładać, iż Anders Johanson wie, co mówi, gdyż w końcu września 1998 uczestniczył on w poświęconej temu problemowi międzynarodowej konferencji na szczeblu Unii.

Być może w tym miejscu konieczne jest pewne, choćby bardzo uproszczone, wyjaśnienie. Większość czytelników *Kultury* wie oczywiście, iż w wewnętrznym zapisie komputerowym każda data to dla oszczędności nie osiem, a tylko sześć cyfr, np. 21 grudnia 1998 odpowiada liczbie 981221. Aczkolwiek jednak wydaje się to wprost niewiarygodne, prawdą jest, iż przy konstrukcjach starszego sprzętu nie myślano, że kiedyś nadejdzie dzień 1 stycznia roku 2000. Być może nie było czasu na myślenie, gdyż – jak to sformułował jeden z amerykańskich informatyków – „w tej branży wymagano przecież jak najszybszego projektowania sprzętu coraz tańszego". Prawdopodobnie zakładano też – mylnie, jak dziś wiadomo – że w roku 2000 starsze *chips* już nie będą w użyciu. W każdym razie pierwszy dzień trzeciego tysiąclecia, czyli w zapisie sześciocyfrowym 000101, może się okazać

przysłowiowym sądnym dniem dla wielu komputerów – odczytując to jako 1 stycznia 1900. Jak to ujął jeden z informatycznych konsultantów szwedzkiego businessu, Alvar Kihl, dla komputerowych instalacji wielu firm, przejście roku 1999 w 2000 może się okazać równoznaczne z atakiem bomby pulsacyjnej HPM[1].

Oczywiście cały problem jest od lat znany i omawiany był wpierw w prasie branżowej, a później także codziennej. Od dłuższego już czasu po zachodnich firmach chodzą „komputerszczycy" różnego szczebla, zatrudnieni w ramach tzw. Project 2000. Zwłaszcza wielkie koncerny, całkowicie zależne od swoich dostawców, podwykonawców i zewnętrznych firm usługowych, wymagały od wszystkich firm-kooperantów podpisania tzw. *compliance letters*, gwarantujących, iż ich systemy komputerowe zostały sprawdzone i przygotowane na „sądny dzień". Równocześnie we wszystkich wielkich firmach powstały specjalne komórki, których pracownicy rozjeżdżają się po świecie i sprawdzają realną wartość owych podpisanych gwarancji. Różnie z tym zresztą bywa: gdy przedstawiciel wielkiego, szwedzkiego koncernu farmaceutycznego Astra sprawdził na Filipinach trzech kooperantów: producenta opakowań, bank i dystrybutora leków, okazało się, że ich przygotowanie do „sądnego dnia" miało miejsce tylko na papierze podpisanych gwarancji. Problem ma także dodatkowy wymiar psychologiczny; np. ponieważ przelewanie na konta poborów i emerytur wykonują komputery, banki – chcąc uniknąć masowych wypłat gotówki w grudniu 1999 – już teraz rozsyłają broszury, w których zapewniają swoich klientów, iż problem znają, nad nim pracują, opanują go na pewno (jest to zresztą zgodne z prawdą, przynajmniej w wypadku wielkich banków).

1. *Bomba* HPM (High Power Microwave) nie jest żadną bombą, ale specjalnym nadajnikiem zdolnym do całkowitego rozregulowania komputerów i innych urządzeń elektronicznych. Szwedzka Placówka Badawcza Sił Obrony (FOA) dysponuje nawet taką małą bombą HPM, mniej lub bardziej legalnie kupioną w Rosji; jest ona wielkości walizki i działa tylko w promieniu 10 m. Wiadomo jednak, że urządzenie tego typu mieszczące się w furgonetce działa już na odległość 400-500 m. Możliwa jest oczywiście konstrukcja urządzeń jeszcze większej mocy, instalowanych w rakietach, które przez sam przelot nad terytorium przeciwnika niszczyłyby jego sieci informatyczne. W badaniach nad tego typu bronią Rosjanie byli szczególnie zaawansowani już w latach 80-tych; Amerykanów mniej ona interesowała, gdyż ówczesny Związek Sowiecki był skomputeryzowany w stopniu znikomym. Ochrona jakiegoś obiektu przed *bombą* HPM wymaga jego całkowitego ekranowania, co w szerszej skali jest bardzo trudne.

Mówiąc ogólnie, sektor prywatny – a w każdym razie jego wielkie firmy – jest lepiej przygotowany do „sądnego dnia" niż sektor publiczny. Krytyczne uwagi Andersa Johansona dotyczyły też głównie sektora publicznego oraz organizacji ponadnarodowych, wykazujących niebezpieczną tendencję zakładania, iż „jakoś to będzie". Przykładowo UCPTE (Union pour la Coordination de la Production et du Transport d'Electricité) beztrosko wierzyła, iż problem „sądnego dnia" zostanie jakoś rozwiązany przez osławione „siły rynkowe". Jednak Komisja Europejska nie podzieliła tego optymizmu, wychodząc z założenia, iż zaopatrzenie w energię elektryczną jest kwestią zbyt ważną, aby można ją było złożyć jedynie na barki Rynku, który ostatnio zawiódł w tylu innych sprawach.

Mówiąc o wrześniowej, międzynarodowej konferencji, Anders Johanson skonstatował: – „Potwierdziła ona informacje, które otrzymywałem wcześniej z innych źródeł, iż w wielu państwach Unii nie ma ogólnokrajowej instancji, kontrolującej przygotowanie najważniejszych ogniw sektora publicznego do milenijnego przełomu" (*Computer Sweden*, 30 X 1998). Na konferencji okazało się, że tylko cztery państwa Unii: Wielka Brytania, Holandia, Dania i Szwecja poważnie przygotowują się do „sądnego dnia"; stosunkowo nieźle są też w tych przygotowaniach zaawansowane Niemcy, które ostatnio zaczęły nadrabiać zaległości. Komisja zaleciła więc przyjęcie duńsko-szwedzkiego modelu przygotowań. W każdym kraju Unii powinien powstać organ centralny, zbierający weryfikowalne informacje o przygotowaniu do millenium z następujących sektorów: urzędy centralne i władze lokalne, telekomunikacja, sektor finansów, energetyka (elektryczność, gaz i energia jądrowa) i zaopatrzenie w wodę, transport powietrzny, kolejowy i wodny. Ponadto zobowiązano państwa Unii do odpowiedzi na ankietę precyzującą dotychczasowy stan przygotowań (termin składania owych ankiet upłynął 30 października 1998 i w chwili pisania tych

słów, w początku listopada, jej wyniki nie są jeszcze znane).

Aczkolwiek Szwecja znalazła się w czwórce państw najbardziej zaawansowanych w przygotowaniach do millenijnego przełomu, minister gospodarki w nowym szwedzkim rządzie, Björn Rosengren uważa, iż jeżeli jego kraj ma wejść w trzecie tysiąclecie bez poważnych zaburzeń funkcjonalnych w szeregu sektorach, wykonać trzeba jeszcze wiele pracy (*Computer Sweden*, 4 XI 1998). Dlatego minister Rosengren sam objął przewodnictwo centralnego organu nadzorczego *2000-delegationen*, którego pierwsze posiedzenie odbędzie się 16 listopada 1998. Szczególny nacisk ma być położony na sprawdzenie stanu przygotowań w wojsku, szwedzkich elektrowniach jądrowych i w słabszych pionach budżetowych (służba zdrowia, policja). Czasu nie zostało już tak wiele.

Gwoli ścisłości nadmieńmy, iż w Europie Zachodniej nie brak ekspertów, którzy twierdzą, iż zakłóceń dostaw, różnych awarii i chaosu administracyjnego jednak nie uda się zupełnie uniknąć; np. Ed Yardeni, główny ekonomista Deutsche Bank Securities – a więc urzędnik dobrze poinformowany – zakłada, że „sądny dzień" na pewno negatywnie odbije się na stanie światowej gospodarki.

W Polsce ma się tym zająć powołana zaledwie we wrześniu br. (*sic*!) Rada Informatyczna przy Premierze ale prawie nikt nie chce wierzyć w jej zapewnienia o wadze problemu.

ZAGROŻENIE POLSKIEGO LOTNICTWA WOJSKOWEGO

Czy polskie lotnictwo wojskowe wyposażone będzie w szwedzkie samoloty, które nie nadają się nawet do służby patrolowej nad Kosowem?

W numerze 594 *Kultury* ukazał się mój list, pisany w styczniu 1997, a przestrzegający przed pomysłem *leasing'u* szwedzkich, używanych samolotów Viggen. Przypominałem w nim, iż Saab 37 Viggen jest sprzętem mocno przestarzałym i zawodnym. Prototyp samolotu Viggen wzbił się w powietrze już dość dawno temu, bo w roku 1967, a do uzbrojenia

szwedzkich sił powietrznych wszedł trzy lata później. W latach 1971-90 lotnictwo szwedzkie otrzymało 329 samolotów Viggen (produkowanych w pięciu wersjach zadaniowych), z których poważnym awariom uległo 45 maszyn – jest to procent bardzo wysoki. Pomimo wielkich starań koncernu Saab i szwedzkiego rządu, Viggen nigdy nie stał się sukcesem eksportowym. W liście swoim wyraziłem zdziwienie, iż ktoś chciał uszczęśliwić polskich lotników sprzętem, którego szwedzkie siły powietrzne pozbywają się właśnie z wielką ulgą na rzecz nowocześniejszego samolotu wielozadaniowego JAS 39 Gripen.

Oczywiście listy publikowane w *Kulturze* nie mają dla decydentów tego znaczenia, co nader konkretne działania osób zajmujących się lobbingiem szwedzkiego przemysłu zbrojeniowego w Polsce. Przestrogi moje okazały się więc daremne: polscy piloci latają także na samolotach Viggen, gdyż próbny *leasing* doszedł do skutku – traktowany był naturalnie tylko jako oswojenie się ze szwedzkim sprzętem przed ewentualnym zakupem nowocześniejszego JAS 39 Gripen. Jednak ostatnio zaczęły po Szwecji krążyć wieści, pochodzące z tzw. kół dobrze poinformowanych, iż władze polskie noszą się z zamiarem „modernizacji" swojego lotnictwa wojskowego nie w oparciu o nowoczesne samoloty francuskie, amerykańskie czy szwedzkie (JAS 39 Gripen), ale przez zakup większej ilości wysłużonych maszyn Saab 37 Viggen.

Gdy zapadła decyzja o przyjęciu naszego kraju do NATO, władze polskie ze znacznie mniejszym entuzjazmem zaczęły podchodzić do planów modernizacji polskiego wojska. Powiedzmy szczerze, iż jest to zrozumiałe: nikt nam chwilowo nie zagraża, a Polska jeszcze przez długi okres będzie państwem biednym. Nie ulega jednak wątpliwości, że prędzej czy później będziemy zmuszeni do unowocześnienia, także materiałowego, własnych sił zbrojnych. Jeżeli w lotnictwie ma ono rzeczywiście polegać na zakupie wysłużonych i zawodnych samolotów Viggen, jest to wręcz tragiczne.

Dnia 27 października 1998 szwedzkie Ministerstwo Obrony zostało poinformowane przez kwaterę główną, iż szwedzkie samoloty nie będą mogły uczestniczyć w lotach patrolowo-rozpoznawczych nad Kosowem; szwedzki generał-major Johan Hederstedt przyznał lakonicznie w mediach, iż nie jest to możliwe ze względów technicznych.

Przypomnijmy, że w Kosowie międzynarodowi obserwatorzy lądowi (w tym 80 Szwedów) mają korzystać z rozpoznawczej pomocy, a także osłony lotnictwa Paktu. Byłoby chyba pożądane, aby decydenci z polskiego MON zechcieli się zastanowić, dlaczego to szwedzkie samoloty – ze szczególnie przystosowanym do zwiadu i rozpoznania fotograficznego Saab SF37 Viggen włącznie – nie nadają się do usankcjonowanej przez ONZ misji Paktu w Kosowie? Niestety, można zakładać, iż decydenci MON nie mają czasu na takie rozważania, gdyż zbyt są zajęci innymi sprawami, chociażby opracowywaniem pretekstów do zerwania kotraktu z firmą Raphael na dostawy rakiet dla śmigłowca Huzar. Odpowiedź na powyższe pytanie może jednak interesować czytelników *Kultury*. Jest ona zresztą bardzo prosta. W swojej misji obserwacyjnej nie chce NATO ryzykować utraty twarzy (czyli utraty samolotów), a sprzęt szwedzki nie spełnia standardów Paktu, gdyż jest zbyt łatwy do zestrzelenia, a ponadto pozbawiony możliwości współdziałania z siłami lądowymi. Jak to dość drastycznie ujął jeden ze szwedzkich dzienników, poziom strat, z jakim byłby gotowy pogodzić się sztab szwedzki, nie jest możliwy do zaakceptowania przez sztab NATO (*Sv.D.* 29 X 98).

Od siebie dodam, iż wyjaśnienie jest bardziej skomplikowane niż w interpretacji *Svenska Dagbladet*, która jednak reprezentuje interesy kół pragnących pokaźnych wydatków na szwedzkie zbrojenia.

Nie jest oczywiście przypadkiem, iż przemysł szwedzki wyspecjalizował się tylko w produkcji pewnych typów uzbrojenia i że w środowisku fachowców tak wysoko cenione są szwedzkie łodzie podwodne (Korea Południowa ma właśnie zamiar zamówić ich 9 sztuk), wojskowy samolot transportowy Hercules, artyleria firmy Bofors.

W czasach zimnej wojny, można było znajdować się pod ochronnym parasolem NATO, nie będąc formalnie członkiem Paktu „niestety należy się obawiać, że dziś nie jest wykluczona sytuacja odwrotna". Po roku 1945 Szwecja w rzeczywistości nie była państwem neutralnym i na Kremlu o tym doskonale wiedziano. Gunnar Jarring, szwedzki ambasador w Moskwie w latach 1964-73, powiedział cztery lata temu przed państwową komisją badania polityki neutralności, że w Związku Sowieckim zawsze traktowano szwedzkie deklaracje

niezaangażowania wyłącznie jako retoryczną figurę, grę dla galerii, pozbawioną właściwego znaczenia. Nawet gdy Olof Palme w towarzystwie ambasadora Wietnamu Północnego demonstrował przed ambasadą USA, nie przerwano wspólnych działań szwedzkiego wywiadu z służbami państw-członków NATO; szczególnie intensywna była współpraca szwedzkiej placówki nasłuchowo-deszyfrażowej FRA z analogiczną placówką brytyjską GCHQ i europejską centralą wywiadu amerykańskiego lotnictwa w Wiesbaden. Zakładano, iż w wypadku sowieckiej inwazji, szwedzkie siły zbrojne prowadzą działalność defensywną, starając się zadać przeciwnikowi jak największe straty i czekając na pomoc NATO. Na wypadek gdyby siły Paktu Północnoatlantyckiego okazały się zbyt powolne, lub siły inwazyjne zbyt szybkie, opracowano szczegółowe plany ewakuacyjne oraz przygotowano w całym kraju tajne magazyny i rozbudowaną sieć ruchu oporu, a w Wielkiej Brytanii – rezerwową kwaterę szwedzkiego Naczelnego Wodza, sztabu obrony etc. Z tej defensywnej doktryny wojennej wynikały oczywiście zadania stawiane szwedzkiemu lotnictwu; jego głównym celem miało być atakowanie sił inwazyjnych: w powietrzu, a zwłaszcza na Bałtyku, natomiast nie przewidywano jego bezpośredniego współdziałania ze szwedzkimi jednostkami lądowymi lub działań nad terytorium przeciwnika. Dlatego właśnie samoloty Viggen łatwo mogłyby być zestrzelone nad Kosowem. Należy się chyba jednak dobrze zastanowić, czy ten Viggen – samolot mocno przestarzały, zawodny i pozbawiony nowoczesnego systemu obrony przed bronią przeciwlotniczą – byłby stosownym wyposażeniem dla polskiego lotnictwa wojskowego.

Jeżeli Afryka Południowa kupi szwedzkie samoloty JAS 39 Gripen za 15 miliardów SEK, to Szwecja gwarantuje jej tzw. *offset* (inwestycje i zakupy rewanżowe) wartości 40 miliardów SEK (*sic*!!!). Dlaczego podobnej umowy nie mogliśmy wynegocjować? Dlaczego dawać się tak tumanić przez Polaków pracujących jako lobbiści dla szwedzkiej zbrojeniówki? Czy rzeczywiście w Polsce łatwiej kupić polityków niż w Afryce Południowej?

Stefan ABNER

Sprawy gospodarcze

Wychowanie do kapitalizmu (2)

CI FACHOWCY, KTÓRZY NAMI RZĄDZĄ

Rozważając rozległe wpływy liberalizmu w społeczeństwie o tradycjach katolickich i narodowych warto nie tracić z oczu słabego u nas materialnego zaplecza tej ideologii. Rynku w Polsce wciąż za mało, a ten co jest, jest taki jak władza państwowa: pełen sprzeczności i mrocznych sfer, pewny swych praw, lecz niekoniecznie obowiązków, poszerzający zakres własnej swobody dzięki historycznej koniunkturze, lecz najgłębiej przekonany, że dzięki własnym zaletom. Najbardziej widoczną z tych zalet jest krótkoterminowa zaradność finansowa. Ogromna chłonność rynku nadaje mu jak dotąd charakter rynku raczej producenta, niż konsumenta, zapewniając wysokie zyski, ale niekoniecznie jakość i różnorodność oferty.

Rynek wykazuje swą dwuznaczną zaradność finansową także poprzez kumoterstwo z państwem, uprawiając wyczerpującą grę wzajemnego kiwania się, wykorzystywania niejasnego prawa, politycznych rozgrywek i ociężałości administracji dla wygrania przetargu, uzyskania przywileju, oszukania urzędu albo, przeciwnie, obrony przed jego zachłannością i niesprawnością. Tak obrasta we władzę wspólnota ludzi, którym na widok miliona albo złoconego fotela oczy zarastają bielmem na wszystko inne, sitwa polityki i kapitału, rozdzierana żywiołową niechęcią urzędników i przedsiębiorców, lecz powiązana siecią korzystnych współzależności, wspólnego wtajemniczenia w arkana podziału narodowych dóbr, koncesji i władzy. Koncentracja kapitału, która bywa warunkiem koniecznym przetrwania w obliczu konkurencji, następuje wówczas bez udziału selekcji pozytywnej, która kosztem trudnych dostosowań technicznych i organizacyjnych promuje wydajność, jakość i innowacje. Powstały w ten sposób rynek może nawet wspierać się na grupach potężnych finansowo, lecz słabych pod względem struktury i bezpieczeństwa gospodarczego.

W utrwalaniu symbiozy pozornego rynku i neoliberalnego państwa najbardziej przydaje się umiejętność wybiórczego stosowania zasad rynku i haseł sprawiedliwości społecznej, używanych dla usprawiedliwiania nadużyć, egoizmu i krótkowzroczności, do ochrony interesów klanowych, albo jako parawan nieudolności polityków. To właśnie pretekst zasad rynkowych uzasadnia wszechwładzę monetaryzmu i wskaźników makroekonomicznych, wciskanych społeczeństwu jako polityka gospodarcza; to pozór przezorności finansowej zniekształcił podstawy demokracji w niedorzecznych zapisach konstytucyjnych o finansach państwa; to pretekst troskliwości gospodarczej tłumaczyć ma szkodliwą i nieskuteczną ideę podatku liniowego.

Ani jednak państwo jak z Nikodema Dyzmy, ani fasadowy rynek nie opisują jeszcze sytuacji społeczeństwa, które po upadku policyjnych barier wykazało praktyczną wartość swej zaradności gospodarczej.

Ruchliwość

Zmysłu ryzyka i inicjatywy Polacy nie odkryli dopiero z chwilą ustąpienia państwa policyjnego, wszak nie bez kozery wznieśli byli i utrzymywali najweselszy barak w obozie. W odróżnieniu do sąsiadów, polskie społeczeństwo przygotowało się stosunkowo wcześnie do zmiany ustroju. Okrzepnięte struktury Kościoła i Solidarności, prywatne w 80% rolnictwo, stale odradzające się przyczółki prywatnego handlu i rzemiosła, grabież majątku gospodarczego przez nomenklaturę w latach osiemdziesiątych, której towarzyszyła łatwość uzyskania pozwoleń na zakładanie nowych firm, a wreszcie radość milionów ludzi z odzyskania niepodległości i duma z własnego

w tym udziału silnie sprzyjały podejmowaniu ryzyka gospodarczego i ponoszeniu ciężarów reform ustrojowych.

Liczenie na własne siły stało się naturą wielu Polaków, przez krótki tylko okres żywiących złudzenia o drugim planie Marshalla. W szczególności wielu zorientowało się, że pieniądze są dostępne w innej formie, poprzez granty i dotacje na konkretne projekty, które odtąd rozkwitły pełną gamą ofert integracyjnych. Korzystne położenie w sercu kontynentu, perspektywy rozwojowe regionu, pokój społeczny, tradycje indywidualnej wolności i względnej zaradności gospodarczej, a przede wszystkim ruchliwość handlowa kilku milionów pełnowymiarowych lub okazjonalnych przedsiębiorców prywatnych zapewniły rozruch gospodarki, stwarzając warunki do szybkiego przekształcenia kraju zacofanego o kilkadziesiąt lat w stosunku do czołowych partnerów rynku. Zakres zmian jednak, ich jakość oraz wzajemna synchronizacja, cierpią z powodu słabości polityki i niskiej orientacji wyborców co do wartości proponowanych reform. Winę ponoszą politycy i dziennikarze, z zapałem uprawiający debaty niedorzeczne.

Niedorzeczność

Niedorzeczność dała się poznać już przy narodzinach III Rzeczpospolitej jako owoc lekceważenia przez opozycję sytuacji globalnego rynku i stanu gospodarki krajowej. Tępionym przez ubecję przyszłym władcom kraju nie brakowało sił i przekonań by kwestionować prawa i umiejętności czerwonych do rządzenia, ale zapytani o gospodarczą alternatywę na ogół wpadali w zakłopotanie.

Ignorowanie tych spraw stanowiło historyczny błąd opozycji z czasów Gierka, nieświadomej tego, że począwszy od deregulacji monetarnej w 1972 roku polityka na całym świecie stopniowo ustępowała miejsca gospodarce, potężnie inspirując ustrojową ewolucję rozległych obszarów planety, w tym także i obozu sowieckiego. Usuwając gospodarkę z perspektywy swego działania, opozycja stworzyła więc wokół siebie pustkę. Miejsce tej pustki wypełnił cały wachlarz złudzeń i lęków, co na początek ustrojowych zmian przyniosło

w gospodarce bezkrytyczny przeszczep norm anglosaskiego liberalizmu, a w polityce – histerię opatrznościową Wałęsy na miejsce kampanii wyborczej do kontraktowego Sejmu. Tak zainstalowano na scenie politycznej III Rzeczpospolitej pośpiech w roli programu na każdą okazję.

Pośpiech jako oferta programowa rychło urósł do rangi narodowej racji stanu, podsycając niedorzeczny spór o tempo zmian, który całkowicie wyparł dyskusję o zgraniu tych zmian ze sobą. Tymczasem to właśnie synchronizacja reform stanowiła i stanowi nadal główny problem reformatorów we wszystkich krajach postkomunistycznych, gdzie trudno wskazać na zasadnicze różnice pomiędzy programami – wszędzie chodzi z grubsza o to samo – natomiast moment włączenia różnych impulsów i ich zgranie ze sobą, całkowicie zależy od lokalnej specyfiki. Tytułem do chwały polskich reformatorów był od samego początku radykalizm programów, nigdy ich integralność; o kruchych podstawach tej dwuznacznej chwały przekonamy się biorąc pod uwagę, że Węgry były bardziej „radykalne" od Polski w procesach upadłościowych, Czechy bardziej od obu „radykalne" w masowej prywatyzacji, Rosja zaś skuteczniejsza od Rzeczpospolitej w kontroli bilansu płatniczego, a do ubiegłego roku także i w kontroli inflacji za pomocą radykalnej formy popiwka, jakim było niepłacenie w ogóle pensji w sektorze państwowym. We wszystkich przypadkach za „radykalizm" reform gospodarka zaangażowanych krajów płaciła wysoką cenę destabilizacji, kryzysu albo zapaści.

Niedorzecznością wielkiej miary są w Rzeczpospolitej dogmaty o nadrzędnym znaczeniu wskaźników inflacji i wzrostu, bez względu na to, co się za nimi kryje. Tworzą one ideologiczną zasłonę dla zaniedbywania zmian strukturalnych i prowadzenia polityki rozproszonych celów. Gęstwina ustaw i przepisów wykonawczych, niekiedy niespójnych albo sprzecznych, a najczęściej po prostu szybkozmiennych, odzwierciedla krzątaninę władz ustawodawczych i wykonawczych wokół szczegółowych problemów politycznych, zwykle własnych problemów wyborczych. Natomiast prowadzenie wewnętrznie spójnej polityki przemian utrudnione jest przez niestabilność rządów, sytuację partyjnej mgławicy na scenie wyborczej, wyjałowienie refleksji ustrojowej przez kilka

„jedynie słusznych zasad" oraz przez obyczaj ustawodawczego paroksyzmu, to jest powierzchownej reakcji na zewnętrzne objawy problemu.

Nie przypominam sobie, by ktoś próbował ujmować sprawy w szerszym kontekście, na przykład łącząc budżet polityki wiejskiej z programem zagospodarowania terytorium i rozwojem miast, albo reformę edukacji z technologicznym modelem gospodarki. Widzenie pojedynczych problemów w odosobnieniu od pełniejszego tła zagadnień prowadzi do błędnych decyzji, wśród których szczególne miejsce zajmują konstytucyjne gwarancje równowagi budżetu i monety. Jak dotąd, niskoinflacyjny rozwój, jaki zainstalował się w krajach rozwiniętych, zapewnia bezkarność tym całkowicie koniunkturalnym dyrektywom, ale dadzą one znać o sobie z całym potencjałem konstytucyjnego kryzysu, kiedy tylko koniec europejskiej koniunktury przytłumi polski wzrost gospodarczy, a wzrost kosztów kredytu zagranicznych wierzycieli przeniesie ogólne zadłużenie skarbu poza założenia patetycznych formuł ustawy zasadniczej.

Dialogi zastępcze

Uprawiana u nas niedorzeczność kwalifikowana polega na tym, że w zasadzie mówi się prawdę i niby na temat, ale w istocie obok przedmiotu sporu, dzięki czemu wszyscy mają zajęcie i panuje pozór ożywionej debaty – rzeczowego przygotowywania decyzji politycznej. Lato 1998 przyniosło swoją dolę takich dyskusji zastępczych, pomiędzy którymi szczególne miejsce budził spór o ilość województw, polemika na temat podatku liniowego (płaskiego) i kłótnia o wieś.

W dyskusji o reformie administracyjnej nie sposób było się oprzeć wrażeniu, że kością niezgody był podział stanowisk, a nie warunki terytorialnej samorządności. Ale zdecydowanie najgłębszym dysonansem pobrzmiewał w drugiej połowie roku spór o reformę podatkową.

Zasada równej dla wszystkich stopy podatkowej, z podniesieniem dolnego poziomu opodatkowania, oznaczałaby przyduszenie klas średnich i uwolnienie kapitału, co tłumaczyć można wolą ministra finansów przyciągnięcia międzynarodowych finansów zaniepokojonych kryzysem finansowym wschodniej Azji, Rosji i Ameryki Południowej. Wprawdzie zgłaszano także szereg innych argumentów, jeden bardziej zdumiewający od drugiego, lecz pośpiech, z jakim minister chciał przeprowadzić reformę wskazuje na to, że prawdziwym detonatorem podatkowego niewypału Leszka Balcerowicza stał się właśnie błysk koniunkturalnego złota na odległych giełdach. Chodzi tu o spekulację wysokiego lotu, ponieważ za podatkowe uwolnienie kapitału zapłacono by spadkiem spożycia wewnętrznego i destabilizacją tych warstw społeczeństwa, których ruchliwość nakręca polski rozwój, natomiast powodzenie operacji byłoby bardzo problematyczne; zagraniczny kapitał i tak bardzo już ceni warunki socjalne i podatkowe w Polsce, i mnożenie zachęt podatkowych niewiele zmieni w preferencjach kapitału, odstraszanego zupełnie innymi niedostatkami polskiej oferty.

Tematu tego ani Balcerowicz, ani jego zwolennicy nie rozwijali za bardzo, wskazując jedynie na potrzebę przyciągnięcia zagranicznego kapitału. Poparcie dla idei podatku liniowego zapewnić miały tezy bliższe troskom obywatela, takim jak obciążenia podatkowe i groźba bezrobocia. Podatki kapitału trzeba więc obniżyć dlatego, że progresywnych podatków kapitał po prostu nie płaci, a jak się zażąda mniej, to zapłaci, w następstwie czego ubogim zostanie zdjęty z barków ciężar utrzymywania państwa. Trzeba je obniżyć również dla wzmocnienia konkurencyjności polskich firm, które zainwestują uwolnione zyski i zatrudnią nowych pracowników.

Argument o zmniejszeniu obciążeń ubogich przez obniżenie podatków bogatym wydaje się szyty bardzo grubymi nićmi, a jednak nie wywołał sprzeciwu, co więcej, podzielało go wielu ludzi, a niektórzy pociągnęli jego logikę znacznie dalej. Zabawna była wypowiedź wysokiego urzędnika ceł, z wielką powagą zamieszczona w *Rzeczpospolitej*, że obniżenie podatku dla kapitału obniży przemyt, bo będzie się on mniej opłacał. W jaki sposób? Urzędnik ceł wskazał na opłacalność moralną. Przemytnik bowiem zobaczy niższe opodatkowanie uczciwego zysku i porzuci drogę niecnoty, w następstwie czego wzrosną wpływy skarbu państwa, na czym wszyscy zyskają.

Argument zwiększenia konkurencyjności firm krajowych byłby do przyjęcia, lecz tylko z całą rezerwą dla finansowej inspiracji rynku, typowej dla Leszka Balcerowicza; zgłaszając ten argument należałoby mianowicie rozważyć, kto zapłaci za administracyjną obniżkę kosztów własnych polskich firm. Przede wszystkim zaś trzeba by go skonfrontować z jego antytezą, to jest przyciągnięciem inwestycji zagranicznych, co było pierwszą intencją podatku liniowego. Ulgi bowiem dla kapitału zagranicznego trudno uznać za troskę o konkurencyjność firm krajowych.

Wszystko to nadawało się do pożytecznej dyskusji, zamiast dyskusji jednak mieliśmy do czynienia z monologami. Politycy i dziennikarze zabierali głos z nieskrywanie stronniczych pozycji, każdy z nich zgłaszał swoją rację, starannie wyizolowaną od rozległego tła swych własnych skutków i ograniczeń. W rezultacie zamiast przećwiczenia zmysłu obywatelskiego w konfrontacji polityki rodzinnej i polityki gospodarczego wzrostu, do których dyskutanci odwoływali się z uderzającą bezradnością, obudzono ducha partykularyzmu, otwierając licytację antypodatkowych roszczeń różnych grup nacisku.

Koalicyjnych oponentów Leszka Balcerowicza najlepiej inspirowała okazja przyłożenia ministrowi finansów za nielojalny, w istocie niesłychany tryb postawienia sprawy na forum publicznym. Wyrażali się przy tym dyskretnie i z widoczną obawą przed narażeniem się na zarzut obskurantyzmu; wszak wiadomo, że inicjatywy ministra zawsze idą w dobrą stronę, może tylko trochę forma szwankuje, profesorska raczej niż polityczna.

Wobec interesownej racjonalizacji płaskiego pomysłu Balcerowicza, jakiej dziennikarze najbardziej wpływowych środków przekazu podjęli się bez ociągania, normalny człowiek zupełnie głupieje, zwłaszcza gdy widzi, że jego oczywistą stratę przedstawia mu się jako korzyść. Naturalną reakcją wyborców było odwrócenie się od partii Balcerowicza w wyborach samorządowych. Wszelako związek pomiędzy wartością politycznego projektu i reakcją wyborców nie zawsze daje się łatwo zauważyć. Fałszywe brzmienie dyskusji zastępczych może bowiem umknąć uwadze obywateli w warunkach, gdy takie zasady jak interes społeczny,

sprawiedliwość społeczna, czy interes kraju, na dłuższą metę należą do zespołu prawideł wstydliwych, zgłaszanych półgębkiem i od razu zgromionych przez postawę jedynie słuszną jako „antyrozwojowe, antyinwestycyjne i antybudżetowe".

Z takiego też powodu dramatyzuje się problem wsi. Latem 98 rolnicy wystawili ministrowi finansów kozę, żeby raczej ją doił niż ich. Na to kilku popularnych dziennikarzy wykazało, że, wprost przeciwnie, to chłopi doją ministra finansów, bo zamiast zniknąć z dnia na dzień, ustąpić miejsca zwycięskiemu rynkowi, ciągną kolosalne dotacje z budżetu. Nie znalazłem ani jednej refleksji, co zrobić z polską wsią; wszak nie chodzi o to, by wieś się wyludniła dla zasady, lecz żeby była racjonalnym składnikiem struktury kraju i społeczeństwa, a zbędni rolnicy znaleźli swe miejsce gdzie indziej. Tymczasem w Polsce, gdzie po latach monetarno-finansowego prania mózgu perspektywa finansowa wyparła strukturalną, możliwy jest już tylko spór zastępczy: kto kogo doi.

Możliwy jest także wywód o nieodpowiedzialności rolników i o spisku na Balcerowicza, jak w *Polityce*, gdzie po lipcowej manifestacji chłopów utalentowana reporterka doniosła o łamaniu prawa, pazerności wsi, dwuznaczności moralnej chłopskich przywódców, a przede wszystkim o krzywdzie, jaka się dzieje ministrowi finansów.

Wielkie gazety i stacje telewizyjne obnoszą kolory politycznych koligacji, lecz nie zawodowego powołania; najłatwiej znaleźć zwolenników „obozu Unii", czyli Leszka Balcerowicza, najtrudniej – niezależność intelektualną, rzeczowość i krytycyzm wobec mitów. Wszelako można tu zauważyć pewne oznaki zmiany na lepsze.

I tak w ubiegłym roku wyczytałem w *Życiu Gospodarczym*, że gdy chodzi o kryteria zjednoczeniowe to liczy się nie tyle złotówka, co stan gospodarki. Temat podjął szef rządowego biura prognoz Jerzy Kropiwnicki, lecz nie znalazł poparcia, po części z powodów programowych, ale w dużym stopniu z powodu własnej arogancji, która zdaje się być chorobą ministrów.

Publicystka *Życia Gospodarczego* wyprzedziła urzędowych strażników monety i finansów, których dopiero w

następnym roku malejący wzrost i spadek inflacji odwiodły od bezwarunkowej zasady rygoru monetarnego. Pani Gronkiewicz zaczęła więc wspominać, że „nie będziemy bronić złotówki do upadłego", a Leszek Balcerowicz opowiadał już nie tyle o inflacji, co o wolności: „kto za koncesjami, musi wyjaśnić w imię czego należałoby ograniczyć wolność" – powiedział latem 1998. Dla ścisłości należałoby tu wyjaśnić, że minister mówił tu o wolności inwestowania, która tak się ma do wolności, jak w czasach PRL demokracja socjalistyczna do demokracji.

Nie oczekując wiele od polityków, można sobie zadać pytanie: dlaczego tak kiepską formę wykazują dziennikarze? Niewiedza bowiem i podstawowe braki warsztatowe mogą się u nas objawić w dowolnym miejscu nie budząc żadnych emocji, do czego dochodzi postawa bezwarunkowo pozytywna w stosunku do dogmatów radykalnego rynku, co utrudnia rzeczową ocenę realiów tego rynku.

Do pewnego stopnia chodzi tu o dyspozycyjność części środowiska: jak w całym obszarze realnego rynku dziennikarze porzucili klamki salonów politycznych, by przylgnąć do władzy finansowej i zgodnym chórem głosić bezwarunkową pochwałę kapitału, inicjatywy i zysku.

Dużą rolę odgrywa także zniecierpliwienie wobec wolnego tempa przemian strukturalnych i rozkwitu rewindykacji różnych grup nacisku żyjących z redystrybucji, co w środowiskach sprywatyzowanych silnie dowartościowuje zalety wolnej inicjatywy. Jej niedoskonałości nie pomniejszają znaczenia samej zasady, tym bardziej, że cwaniactwo rynkowe zajęło dziś miejsce cenionego ongiś obyczaju „radzenia sobie" w czasach komuny.

Rozważając ideologiczny optymizm dziennikarzy trzeba więc wziąć pod uwagę właściwe tej profesji marzenie o wywieraniu wpływu na wydarzenia. W dzisiejszych czasach nabiera to formy zawodowego imperatywu i na poły moralnej obligacji przyspieszania rynkowych zmian.

Wiele jednak wskazuje na to, że główną przyczyną niskiej jakości pracy środowiska jest po prostu nieznajomość świata i zawodowa łatwizna. Dodajmy tutaj, że powierzchowność zaangażowania łatwo znaleźć także w innych kręgach polskich elit, nie tylko u dziennikarzy politycznych. Także w elitach

Kościoła, który swoim zwyczajem silnie angażuje się w politykę i albo demagogicznie nagłaśnia społeczne niepokoje, jak Radio Maryja, albo głosi równie niedorzeczną apoteozę zmian, za które trzeba dziękować Bogu (o. Zięba OP w marcu, prymas Glemp w październiku).

Na fali gospodarczego wzrostu

Polska nie stanowi zapewne wyjątkowej przystani dla miernot, nawet jeśli zmiana ustroju sprzyjała błyskawicznym karierom ludzi przypadkowych, o nieciekawej przeszłości i słabych umiejętnościach. Niedorzeczność dyskusji politycznych powoduje jednak, że weryfikacja elit odbywa się w oparciu o kryteria subiektywne i drugorzędne. W rezultacie przypadek historii, jakim jest sytuacja ludzi nie na swoich miejscach, krzepnie w regułę sprawowania władzy.

Elitarną miernotę nadal żywi gospodarczy wzrost i przychylność historyczna, dokładnie tak, jak prominentów Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, których ponad poziomem wody utrzymywała, obok obcych wojsk, ekspansja ustrojowa i ekstensywna eksploatacja zasobów. Kilka lat temu nadejście rynku uratowało prominentów PRL przed historycznym trybunałem. Dzisiejszych przywódców zweryfikować może pierwszy wielki kryzys III Rzeczpospolitej. Najprawdopodobniej wyjdą oni zeń obronną ręką, jak to bywa w zwyczaju polskich elit, lecz być może zostaną zmuszeni do zmiany celownika, dopuszczając szersze horyzonty niż te zakreślone przez czar operacji finansowych i gotowe recepty ideologii.

Robert KACZMAREK

Nagroda Nobla dla lewicowego ekonomisty

Mówiąc ściśle, nie ma Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, gdyż wynalazca dynamitu nie przewidział takiego legatu w swoim testamencie. Istnieje tylko nagroda w dziedzinie nauk ekonomicznych ufundowana ku pamięci Alfreda Nobla przez szwedzki bank centralny – przyznawana jest od roku 1969 w identycznej wysokości co „prawdziwa Nagroda Nobla" (w roku bieżącym – 7,6 milionów SEK).

Tegoroczną nagrodę ku pamięci Alfreda Nobla otrzymał Amartya Kumar Sen i fakt ten oceniono jako rehabilitację za to, iż w roku ubiegłym przyznano ją ideologom finansowych spekulacji, którzy później doprowadzili do kollapsu jednego z największych amerykańskich *hedge fund*'ów LTCM (Long-Term Capital Management). Myron S. Scholes i Robert C. Merton otrzymali zeszłorocznego Nobla ekonomicznego za swój wkład w teorię wyceny opcji (*the theory of options proncig*), a zwłaszcza za matematyczne modele pozwalające podobno obliczyć ryzyko w przyszłości. Merton i Scholes zostali – w glorii swej nagrody – współudziałowcami oraz współdecydentami w LTCM i spiralę „spekulacji przyszłością" rozkręcono do niewiarygodnych rozmiarów. Dn. 24 września 1998 Federal Reserve (amerykański bank centralny) wezwał na specjalne spotkanie 16 największych wierzycieli LTCM; poinformowano ich, że tenże *hedge fund* jest praktycznym bankrutem i aby uniknąć oficjalnej upadłości – która miałaby bardzo przykre konsekwencje dla rynku finansowego USA (a więc i świata) – owych 16 wierzycieli musi we własnym interesie natychmiast wpompować w LTCM dodatkowe 3,5 miliardy USD.

Afera LTCM wstrząsnęła nie tylko światem finansowym, ale także komitetem nagrody szwedzkiego banku centralnego; jego dwóch najważniejszych członków-profesorów ekonomii, przewodniczący Bertil Näslund i sekretarz naukowy Torsten Persson, przyznało – choć pośrednio i dość oględnie – że

komitet przecenił matematyczny aparat oceny ryzyka amerykańskich profesorów-spekulantów.

Laureatami „Nobla ekonomicznego" są (z 6 zaledwie wyjątkami, głównie nordyckimi) Anglosasi, z nieuchronną nadreprezentacją amerykańską: na 42 dotychczasowych laureatów aż 27 było Amerykanami. Mówiąc inaczej, aby dostać tę nagrodę, należało być Amerykaninem (ewentualnie Brytyjczykiem) i w ostatniej przynajmniej dekadzie reprezentować neoliberalną szkołę z Chicago, ewentualnie Harvard University lub MIT (Massachusetts Institute of Technology). Tegoroczny laureat, choć urodzony w indyjskim Bengalu, kulturowo jest też Anglosasem: wykształcił się w Anglii i pracuje w sławnym Trinity College w Cambridge; wykładał zresztą także na Uniwersytecie Harvarda. Znamienność tegorocznej Nobel Memorial Prize polega więc na czymś innym – na tym, że po raz pierwszy od wielu lat nagrodzono ekonomistę, który nie zajmuje się modelami zwiększania zysku przedsiębiorstw, przyczynami wzrostu wartości ich akcji czy rozwojem rynków finansowych, ale który bada procesy na styku gospodarki i polityki. W dodatku, co podkreśla oficjalne uzasadnienie, analizy profesora Sena nie są pozbawione wymiaru etycznego, od którego obecności zdążyliśmy się już odzwyczaić we współczesnej nauce.

Prawdopodobnie trauma z dzieciństwa, widok głodu w Bengalu w roku 1942, była powodem, iż Amartya Sen szczególnie zajmował się przyczynami klęsk głodowych. W swojej najgłośniejszej pracy „Poverty and Famines. An Essay on Entitlement and Deprivation" (1981) oraz w późniejszych publikacjach wykazał prof. Sen przekonująco, że w naszym stuleciu żadna z katastrof głodu nie wynikała z rzeczywistego braku żywności, ale z decyzji politycznych i (lub) uwarunkowań społecznych. Praktyczne znaczenie ma też jego „indeks ubóstwa", pozwalający mierzyć zróżnicowanie warunków życia w ramach jakiejś jednej, pozornie homogenicznej, grupy. *Welfare* to dla Sena nie rozdzielanie pieniężnych zasiłków czy frazesy o równaniu dochodów, ale maksymalizowana równość faktycznych możliwości działania obywateli (co oznacza równy dostęp do wykształcenia, kredytów bankowych etc.)

Amartya Sen jest też twórcą bardziej kompleksowych niż PKB/*capita* wskaźników zamożności społeczeństw. Aczkolwiek w każdym podręczniku ekonomii przestrzega się, że przyrost produktu krajowego brutto nie musi być wcale równoznaczny ze wzrostem dobrobytu obywateli, gdyż wskaźnik ten nadaje wartość pozytywną każdej gospodarczej aktywności (produkcyjnej, nieprodukcyjnej, a nawet destrukcyjnej) istnieje niewątpliwie zahipnotyzowanie ekonomistów tą liczbą. Nawet każdy uczeń gimnazjum, przynajmniej w Europie Zachodniej, wie, że PKB jest dość topornym instrumentem opisu rzeczywistości gospodarczej (np. wielka katastrofa środowiskowa na Alasce w marcu 1989 zwiększyła produkt krajowy brutto USA o 2 miliardy USD, gdyż tyle wyniosły koszty akcji ratunkowej), a jednak ekonomiści bardzo niechętnie posługują się innymi wskaźnikami. Przyczyny tej niechęci są także (choć nie tylko) polityczne. Wykorzystywany przez Organizację Narodów Zjednoczonych HDI (Human Development Index) – którego prof. Sen jest współautorem – oparty jest o dziesiętną skalę od 0 do 1 i uwzględnia nie tylko dochód netto w gospodarstwie domowym na osobę, ale także długość życia i poziom edukacji społeczeństwa. Według produktu krajowego brutto *per capita*, z poprawką na różną siłę nabywczą, ranking 10 najbogatszych krajów świata przedstawiał się (w USD) następująco:

1. Luxemburg	34 004	6. Hongkong	22 950
2. Brunei	31 165	7. Singapur	22 604
3. USA	26 977	8. Norwegia	22 427
4. Szwajcaria	24 881	9. Dania	21 983
5. Kuwejt	23 846	10. Japonia	21 930

Natomiast ranking 10 państw o najwyższej stopie życiowej na świecie według wskaźnika HDI wyglądał w tym samym roku (1995) już inaczej:

1. Kanada	0,960	6. Finlandia	0,942
2. Francja	0,946	7. Holandia	0,941
3. Norwegia	0,944	8. Japonia	0,940
4. USA	0,943	9. Nowa Zelandia	0,939
5. Islandia	0,942	10. Szwecja	0,936

W popularnym artykule nie będziemy nużyć czytelnika dalszymi zestawieniami i porównaniami. Nadmieńmy tylko, że w rankingu według wskaźnika HDI aż 73 kraje świata (z USA włącznie) uzyskują wynik gorszy niż w rankingu tradycyjnym, co w praktyce oznacza, iż rządom tych krajów nie udało się skorelować wzrostu gospodarczego z poziomem życia obywateli. Należy też zaznaczyć, iż HDI nie jest wcale jedynym nowym indeksem mierzącym dobrobyt obywateli w sposób bardziej kompleksowy.

Jak to ujął James G. Speth, dyrektor Programu Rozwojowego Narodów Zjednoczonych UNDP, tegoroczny laureat Amartya Sen należy do tych ekonomistów, których interesuje jakość życia. Jak wiemy, nie da się jej mierzyć nawet czymś tak bardzo wymiernym jak ilość gotówki na kontach, gdyż stan zdrowia, dostęp do bezpłatnej edukacji czy dofinansowywanej, nowoczesnej opieki zdrowotnej, możliwość znalezienia pracy czy uzyskania kredytu na własną działalność gospodarczą, a wreszcie dostęp do czystej wody i powietrza, są dla tej jakości równie ważne.

Nie należy jednak ukrywać, że ten obecny w pracach A.K. Sena oraz podkreślany w uzasadnieniu komitetu naukowego nagrody wymiar etyczny (*an ethical dimension*) drażnić musi tych, którzy gospodarkę postrzegają tylko jako grę egoizmów, z nieuchronną dominacją silniejszej żądzy posiadania, a ekonomiczną mądrość każdego rządu widzą w kwietyzmie. Nie wątpię, iż w polskim Centrum im. Adama Smitha prof. Amartya Sen uznawany jest za komunistę, a i na Wall Street nie brakuje takich, którzy tegorocznego laureata oceniają jako staromodnego zwolennika niewydarzonej polityki społecznej. Rzecznikiem tego poglądu jest najwyraźniej Robert L. Pollock, który w *The Wall Street Journal* (15 X 1998) zamieścił wręcz bezprecedensowy w swej napastliwości artykuł „A More Worthy Nobel Laureate: Nobody". Mr. Pollock zauważa w nim, iż przywykliśmy już do tego, że pokojową Nagrodę Nobla dostają terroryści (jak Yasser Arafat), a Nagrodę literacką – marksiści (prawie każdy z laureatów). Jednak komitet Nagrody w dziedzinie ekonomii zachowywał – zdaniem R.L. Pollocka – pewien styl, nagradzając godnych tego uczonych,

jak chociażby Milton Friedman, Friedrich Hayek i inni oryginalni myśliciele. W roku bieżącym komitet ów styl utracił, nagradzając kogoś, kto jedynie dostarcza nader wątpliwych argumentów temu establishmentowi lewicowców, jacy niestety zdominowali świat akademicki i organizacje międzynarodowe. Dalsze wywody R.L. Pollocka utrzymane są w tej samej poetyce, którą znamy też dobrze z polskiej prasy.

Oburzenie publicysty *The Wall Street Journal* jest szczególnie zabawne, gdy się pamięta, że w szwedzkim komitecie naukowym Nagrody przeważają właśnie zwolennicy neoliberałów i monetarystów, co zresztą – jak już wspomniałem – miało w ostatnich czasach wyraźne odbicie w sylwetkach laureatów ekonomicznego Nobla. Dlaczego więc w tym roku wybrano ekonomistę innej orientacji?

Nagrody Nobla nie są przyznawane w izolacji od społecznych trendów. Na werdykt tegoroczny wpłynęła nie tylko „wpadka" laureatów z roku ubiegłego, ale także szereg innych czynników.

Do czasu można było wierzyć neoliberałom, iż państwo powinno tylko uporządkować swoje finanse i dbać, aby nikt nie zakłócał świętego układu producent-sprzedawca-konsument („trzeba umieć nic nie robić, bo wszystko załatwi niewidzialna ręka rynku"). Można było głosić tezę, iż w epoce globalizacji państwem trzeba zarządzać niczym wielką korporacją czy wręcz twierdzić, że korporacje mogą przejąć rolę państwa; popularna była – a może jest nadal – teza, że kiedyś struktury feudalne przekształciły się w państwa narodowe, a teraz państwa narodowe muszą przekształcić się w korporacje, tak dalece od państwa sprawniejsze i wydajniejsze. Wszystko to było możliwe, dopóki działały jakieś globalne mechanizmy, korzystne przynajmniej dla dysponentów kapitału. Dziś jednak już nawet szef amerykańskiego banku centralnego, Alan Greenspan – którego o lewicowość posądzać nie można – przyznał ze smutkiem, że w ostatnim czasie mechanizmy rynkowe całkowicie zawiodły (cyt. wg tygodnika *Affärsvärlden* z 14 X 1998). Nie przypuszczałem, iż w szwedzkim, neoliberalnym dzienniku businessu *Dagens Industri* kiedykolwiek znajdę taki artykuł, jaki ukazał się 2 października 1998 pod tytułem: „Czas ściągnąć cugle rynkowi!"

Gdy Georges Soros – *the man who moves the market* – odwiedził Szwecję w połowie czerwca 1998 i twierdził z naciskiem, że dla „demokratycznych społeczeństw fundamentalizm rynkowy jest dziś równie groźny jak kiedyś był komunizm" (*DI*, 12 VI 1998), słowa jego przyjęto z pewnym sceptycyzmem. Sytuacja już była wtedy trudna, ale nie była groźna. Trzy miesiące później już nawet Jeffrey Sachs postulował większą ekspansję monetarną i krytykował zstępującą spiralę, narzuconą krajom rozwijającym się przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy – Sachs mówił tak, jak gdyby słuchał podszeptów ducha Keynesa, podobno obłożonego ostateczną anatemą. Do polityków państw europejskich, którzy jeszcze niedawno mieli „tylko nie przeszkadzać", zaczęto nagle kierować postulat „Zróbcie coś!" Także szwedzka prasa branżowa nieustannie stawiała te same pytania: Co się właściwie stało? Dlaczego rynek oszalał? Jak to możliwe, że myliło się tylu ekspertów i analityków, wspartych komputerami i matematycznym modelowaniem? Czołowi szwedzcy ekonomiści – ci sami, którzy decydują o przyznawaniu „ekonomicznego Nobla" – stwierdzali uczciwie, iż chwilowo nie rozumieją, w jaki sposób dewaluacja w peryferyjnym skądinąd kraju, w Tajlandii, mogła wywołać kryzys, który wpierw rzucił na kolana Japonię, a potem niczym pożar stepu przeszedł z Azji do Rosji oraz innych krajów i spowodował, że giełdy zaczęły przypominać huśtawkę diabelskiego młyna.

Jest oczywiście prawdą, że dziś rynki różnych krajów reagują błyskawicznie, gdyż świat bardzo zmalał – dla porównania przypomnę, że nowojorski krach jesienią 1929 do Europy dotarł dopiero w maju 1931 (kollaps wiedeńskiego Credit-Anstalt). Prawdopodobnie też na niezrozumiałe skoki rynkowe wpływ ma nadmierne dziś poczucie bezpieczeństwa profesjonalistów. Komputerowe modele ryzyka nie są oczywiście bezwartościowe, jednak pewność mogłyby one gwarantować tylko w imaginacyjnym świecie Fukuyamy, zakładającym pełnię szczęścia w powszechnie akceptowanym systemie liberalizmu *made in* USA. Nie trzeba też zapominać o ważnym czynniku psychologicznym. W świecie finansów wszyscy korzystają z tych samych serwisów agencyjnych, czytają te same gazety i mniej więcej te same wewnętrzne

biuletyny i analizy. Duża ilość koniecznych do przerobienia danych daje złudne poczucie świetnego poinformowania – poczucie wsparte dodatkowo równie złudnym zabezpieczeniem modeli matematycznych, które przecież są „naukowe". Mówiąc w dużym uproszczeniu, modele te zakładają, iż rynek składa się z wielkiej ilości aktorów, dobrze poinformowanych oraz podejmujących samodzielne oraz racjonalne decyzje. Natomiast w rzeczywistości o wszystkim decyduje mała liczba wielkich firm finansowych, w których wszyscy dysponują podobnymi danymi i stosują podobne modele. Nic więc dziwnego, że gdy zdarza się coś nieprzewidzianego, obserwujemy stare zjawisko „owczego pędu", dodatkowo wzmocnione tym, iż mniejsi inwestorzy naśladują wielkich.

Ponadto swoisty „efekt wzmocnienia" zapewnia zjawisko pewnego odseparowania się świata finansów od świata realnego. Handel tymi wszystkimi *futures, options, swaps, collars* etc. dotyczy przyszłości, bo handluje się wartością walut, akcji i obligacji za jakiś czas. W tej sytuacji przewidywanie tego, co inni zrobią, ma przynajmniej takie samo znaczenie, jak obiektywne fakty ekonomiczne.

Można jednak też przypuszczać, iż osobliwości rynkowych szaleństw, które na pewno nie były ostatnimi, wynikają ze spekulacyjnego charakteru dzisiejszej gospodarki oraz związanej z nim doktryny ekonomicznej. Ponieważ na spekulacjach finansowych zarabiało się tak łatwo i tak dużo, wszyscy oczywiście chcieli to czynić. Firmy rdzennie przemysłowe, jak General Electric czy ABB, zafundowały sobie własne przedsiębiorstwa finansowe i też włączyły się do gry. Za rzeczywisty znak czasu można uznać fakt, iż Siemens zarabiał więcej na finansowych spekulacjach niż na swojej produkcji przemysłowej. Gdy więc zaczął się kryzys w Azji, rozpoczęła się „ucieczka od jakości" tak masowa i rozpaczliwa, że na Zachodzie dotknęła papiery uważane za zupełnie pewne. Podstawowy aksjomat obowiązującej doktryny ekonomicznej głosił, że największym wrogiem jest psująca pieniądz inflacja. Aby jej uniknąć, należy wprowadzić drakońską kontrolę podaży pieniądza. W Europie Zachodniej ten aksjomat doktrynalny podbudowany został niewątpliwą koniecznością ostrej dyscypliny budżetowej przed tworzeniem EMU i wprowadzeniem euro, bez której to wspólnej i konkurencyjnej

wobec dolara waluty Unia Europejska mogłaby tylko aspirować do roli największej, trochę uprzywilejowanej kolonii USA.

Tu jednak wkraczamy na trzeci, ogromny obszar problemów, które niewątpliwie miał też na uwadze komitet „ekonomicznego Nobla". W zasadzie żaden z rządów w państwach tradycyjnego *welfare state*'u nie znalazł sposobu na r ó w n o c z e s n e utrzymywanie niskiej inflacji i niskiego bezrobocia. Potrafiono tylko sięgać po paliatywy lub manipulować statystyką. Przykładem pierwszej taktyki może być Holandia (gdy uwzględnimy ludzi przeniesionych w oficjalnym wieku produkcyjnym na przedwczesne emerytury, nader hojnie przyznawane renty chorobowe etc., okaże się, że holenderskie bezrobocie wynosi 23%); w taktyce drugiej wyspecjalizowała się Szwecja, którą Unia Europejska oskarżyła niedawno o fałszowanie liczb bezrobocia (w rzeczywistości pełne bezrobocie w Szwecji wynosi 14%). Mówi się często – i mylnie! – że bezrobocie stanowi głównie problem psychologiczny, a nie ekonomiczny. Zwolennicy tej tezy powołują się na obliczenia, że państwa zachodnie stać na bezrobocie rzędu 20%; co więcej – że taniej byłoby utrzymywać tę część roboczej populacji na permanentnych zasiłkach niż przyznawać im fikcyjne renty, organizować kosztowne i zupełnie zbędne „roboty publiczne" oraz posyłać na setki niepotrzebnych kursów. Obliczenia te chyba są prawdziwe. Bezrobocie na pewno jest wielkim problemem psychologicznym, gdyż większość ludzi po prostu nie wie, czym wypełnić sobie wolny czas, ale jego kosztów nie wolno widzieć tylko w kategoriach nieuchronnych dewiacji socjalnych. W ferworze debaty zapomina się bowiem, iż producenci towarów i usług żyją z konsumentów, a od osobnika żyjącego z zasiłku trudno wymagać wysokiej i rosnącej konsumpcji. Redukcje personelu, ten osławiony *downsizing* czy zmuszanie ludzi do *just-in-time* – zatrudnienia (siedzą w domu i czekają na telefon) niewątpliwie zwiększały zyski firm, co na rynku było premiowane wzrostem wartości ich akcji. Nie trzeba jednak specjalnej inteligencji, aby wiedzieć, że wszystko to możliwe jest do czasu spadku popytu (w Tajlandii usiłowano go stymulować hojnymi kredytami i wiadomo, jak to się skończyło). Pamiętajmy ponadto, iż wynikiem nieodwracalnej

globalizacji gospodarczej jest nie tylko permanentny stres ekonomiczny, wynikający po prostu z obawy, że producenci mogą znaleźć obszar bardziej atrakcyjny od naszego kraju pod względem niższych płac czy podatków, pokorniejszej siły roboczej, lepszych możliwości zysku etc. Dodatkowym efektem globalizacji jest fakt, że wzrost produktu krajowego brutto może, ale nie musi, pociągać za sobą wzrost zatrudnienia; istnieje wszak *jobless growth*, już wcale dobrze opisany.

Zapomniany w Polsce Abramowski twierdził, że ustrój zależy od „sumienia przeciętnego człowieka". Otóż w Europie Zachodniej ten przeciętny człowiek nie zaakceptuje ewolucji w kierunku modelu 20-80: 20% pracuje, zarabia i konsumuje, 80% – jest „socjalnym problemem", ale jakoś tam żyje w myśl ukochanej dewizy neoliberałów, że „głodne wilki polują najlepiej". W USA można publicznie twierdzić, że jest za dużo „zbędnych ludzi" i że dylematem przyszłego stulecia będzie *to have lunch or to be lunch*. W Europie, która jest obszarem innych tradycji, coś takiego można mówić tylko na zamkniętych naradach w sztabach koncernów.

Komitet „Nobla ekonomicznego" niewątpliwie wyciągnął też wnioski z powstania „Czerwonej Europy" (unowocześniona lewica sprawuje władzę w 13 z 15 państw Unii Europejskiej), a może przede wszystkim z ostatniej lekcji szwedzkich wyborów. W prasie polskiej Szwecja przedstawiana jest fałszywie jako kraj rozbuchanego socjalizmu; w rzeczywistości to właśnie Szwecję stawia się Niemcom i Francji za wzór skutecznego ograniczania *welfare state*'u. Zwłaszcza w opracowaniach anglosaskich mogliśmy czytać zasłużone pochwały szwedzkich socjaldemokratów, którzy obniżyli inflację nawet poniżej dopuszczalnego przez bank centralny poziomu 2%, budżetowy deficyt przekształcili w nadwyżkę, ograniczyli podwyżki i tak już niskich płac, a w dodatku rządzą bez strajków i innych zakłóceń. Ale też we wrześniowych wyborach szwedzcy socjaldemokraci i dwie inne z tzw. partii historycznych uzyskali najgorszy wynik od roku 1921, kiedy to wprowadzono w Szwecji powszechne prawo głosowania. Na pewno jest pewnym paradoksem, że gdy Związek Sowiecki hojnie zasilał finansowo szwedzkich komunistów, z ledwością przekraczali oni 4-procentowy próg

wejścia do parlamentu, a gdy dziś mogą liczyć tylko na siebie, zdobyli 12% głosów. Ale jeszcze większym paradoksem jest, że za zwycięzców wrześniowych wyborów w Szwecji trzeba uznać dwie partie ideologicznie sobie przeciwstawne: właśnie komunistów i chrześcijańskich demokratów, a więc partię protestanckiego fundamentalizmu, założoną przez pastorów Kościoła zielonoświątkowców (zdobyła ona 11,8% głosów); dzieli je wszystko, a łączy tylko jedno – obie partie są partiami buntu przeciwko rzekomej nieuchronności neoliberalnego modelu gospodarczego, obie nie godzą się na zwiększanie obszarów ubóstwa.

Potwornie zbiurokratyzowany moloch europejskich *welfare states* i zakrzepła w ideologicznej inercji europejska lewica na pewno potrzebowali neoliberalnej kuracji wstrząsowej. Politycznie była ona zresztą ułatwiona przez krach Związku Sowieckiego i związaną z nim eliminację komunistycznego zagrożenia. Teraz jednak ideologiczne wahadło zbyt wychyliło się w przeciwną stronę. Nagradzając ekonomistę, którego prace zawierają ten staromodny „wymiar etyczny", komitet „ekonomicznego Nobla" zasygnalizował, iż kurację wstrząsową chyba czas zakończyć.

Karol BAUMGARTEN

Sprawy i troski

Polska nie ma fachowego lobbingu w Unii Europejskiej

Polska jako wyzwolicielka Europy Środkowej i Wschodniej miała jeszcze do niedawna dobrą prasę w Unii Europejskiej, ale – w miarę jak postępuje wzajemne otwarcie i zaczynamy targować się o warunki członkostwa – niegdysiejszy entuzjazm ustępuje „realizmowi". Społeczeństwa unijne obawiają się napływu taniej siły roboczej, przestępczości, kosztów objęcia naszego zacofanego rolnictwa i ubogich regionów dotacjami ze wspólnej kasy. Mało kto próbuje polemizować z przepowiedniami siedmiu plag egipskich, które spadną na Unię po przyjęciu Polski. Przeciwnie, kampanie wyborcze, jak ostatnia w Niemczech, utrwalają negatywne stereotypy o Polsce i Polakach. Tym bardziej, że sami dostarczamy negatywnych argumentów. Skomplikowane struktury odpowiedzialne w Polsce za politykę europejską, nadal niezdolne do mówienia jednym głosem, mimo odejścia z Komitetu Integracji Europejskiej Ryszarda Czarneckiego, zniechęcają naszych przyjaciół, a są wodą na młyn naszych wrogów. Polscy politycy i urzędnicy obarczają winą polską prasę, nawet jeśli tylko powtarza ona niepochlebne nam komentarze prasy niemieckiej czy holenderskiej. Jedyne, co przychodzi im do głowy, to interwencje poniewczasie, które tylko pogarszają nasze notowania. Przykładem – telefony do redakcji *Spiegla* czy holenderskiego *NRC Handelsblad* po publikacji przez nie krytycznych ocen naszych przygotowań do Unii. Nie widać strategicznego, perspektywicznego myślenia o promocji Polski.

Nikt poważnie nie próbuje też wpływać na niechętne nam grupy interesu, które panicznie boją się naszego wejścia do Unii. Wystarczy porozmawiać z przywódcami francuskich rolników, aby się o tym natychmiast przekonać. Ale niedawnej publikacji raportu Komisji Europejskiej, który obnażył zacofanie i „strukturalny bezruch" naszego rolnictwa, towarzyszyły tylko groźne pomruki naszych oficjeli pod adresem polskich dziennikarzy, że go „niepotrzebnie nagłośnili". Jakby unijni rolnicy nie byli w stanie sami go przeczytać i wykorzystać przeciw nam. Nikt nie zdobył się na „kontrraport", który wykazałby, że – jak przekonują polscy oficjele – „wcale nie jest tak źle".

Negocjacje z UE to nie żarty i wymagają profesjonalnej, systematycznej promocji Polski w UE i lobbingu prowadzonego przez całe polskie społeczeństwo obywatelskie, a zwłaszcza organizacje producenckie, sektorowe, zawodowe. W kraju w zasadzie wszyscy się z tym zgadzają, ale w Brukseli nic się nie zmienia. Dyplomaci z rozrastającego się Przedstawicielstwa RP przy Unii „nie wiedzą, w co włożyć ręce", a lobbystów pozarządowych trudno tu znaleźć nawet ze świecą. Przez „stolicę Europy" przewijają się wprawdzie watahy reprezentantów rozmaitych polskich grup zawodowych, ale na pierwszy rzut oka widać, że większość z nich traktuje te krótkie kilkudniowe pobyty, niezmiennie finansowane z programu PHARE („Kto by się tłukł do Brukseli za własne pieniądze, skoro płaci Unia!"), jak wycieczki, okazję do spaceru po Grand-Place, a w najlepszym razie – do nawiązania prywatnych kontaktów.

Często słyszę od przyjeżdżających tu rodaków, że to Unia powinna wkładać więcej wysiłku, żeby nas poznać, zrozumieć, a przy okazji – zachęcić polskich eurosceptyków do integracji. Bo jeśli tak dalej pójdzie, ich grono powiększy się do tego stopnia, że większość Polaków wypowie się przeciwko członkostwu i... Unia pożałuje. W końcu powinno jej zależeć na naszym przystąpieniu może nawet bardziej niż nam. Polska jest największym krajem Europy Środkowej i Wschodniej, ma kluczowe położenie strategiczne jako pomost między Wschodem a Zachodem, doświadczenie w interesach z dawnym ZSSR, rynek szybko bogacących się 40 milionów konsumentów, dynamicznych przedsiębiorców, pomysłowych inży-

nierów i informatyków, bogatą kulturę... Jednym słowem – bez Polski poszerzenie Unii nie ma sensu. Tak pocieszają się rodacy i jest w tym sporo racji. Ale nikt nie wciągnie nas do Unii na siłę.

Nawet Niemcy, którzy okrzyknęli się naszym adwokatem, w codziennych rozgrywkach w Brukseli nierzadko inicjują posunięcia protekcjonistyczne przeciw Polsce w obawie przed naszymi cielętami, wiśniami czy innymi... krasnalami ogrodowymi. Rząd niemiecki, jeśli nie inspirował, to w każdym razie nie dementował też doniesień swojej prasy o bałaganie w polskich przygotowaniach do członkostwa. Ale też nie wszystko – i nie wszędzie – co w sercu, powinno być zaraz na języku. Przy Niemcach niekoniecznie należy powtarzać, że muszą pokryć koszty naszej integracji. Przy Czechach, Węgrach i ich unijnych przyjaciołach nie wypada głośno krzyczeć, że i tak muszą na nas czekać. Nadweręża to kredyt sympatii, którym cieszyła się do niedawna Polska ze względu na swą przeszłość, zasługi w obalaniu komunizmu, sukces reform.

Ten kredyt niemalże straciliśmy już wśród eurokratów. Zniechęcamy ich tym naszym „kompleksem wyższości" i roszczeniami, którym nie towarzyszy zbytni zapał, aby przystosowywać się do reguł unijnych. Złości ich mania prześladowcza niektórych naszych polityków, doszukujących się antypolskiego spisku w każdej, nawet nieśmiało wypowiadanej krytycznej uwadze z Brukseli. Irytuje histeria, w którą popadamy, ilekroć ściągniemy na siebie gromy za niewypełnione zobowiązania i niedotrzymane terminy. Tak było po obcięciu funduszy z PHARE na rok 1998, a przecież to nic w porównaniu z próbami, na jakie narażą nas jeszcze negocjacje członkowskie.

Wbrew utartym stereotypom eurokraci nie sprawują pełnych rządów w Unii, a politycy na szczęście jeszcze się do nas nie zniechęcili. Uznali dziejową konieczność poszerzenia na wschód – objęcia strefą stabilności i względnego dobrobytu także Polski i... swoich w niej interesów. Ale współcześni zachodni politycy w coraz większym stopniu sugerują się sondażami opinii publicznej. Ze sceny zeszli wielcy wizjonerzy, a pozostali na niej młodzi pragmatycy, tacy jak Tony Blair czy Gerhard Schroeder. Najnowsze sondaże

wykazują wprawdzie pewną poprawę naszych notowań w społeczeństwach unijnych. Ale nie na tyle, żebyśmy mogli spać spokojnie, gdy tutejsze środki masowego przekazu zaczną relacjonować nasze zmagania o jak najszerszy dostęp do unijnej kasy i do pracy w dzisiejszych państwach członkowskich.

To prawda, że w samej Polsce spada ostatnio poparcie dla członkostwa i zapewne trzeba temu przeciwdziałać przemyślaną polityką informowania o przewadze korzyści nad wyrzeczeniami. Ale w Unii za przyjęciem nas opowiada się jeszcze mniej, bo tylko 49 procent jej obywateli, a przeciwko jest 29 proc. W kluczowych dla sprawy poszerzenia Niemczech popiera nas zaledwie 37 proc., a przeciwko było aż 48 proc. Podobnie wypadamy w Belgii, jeszcze gorzej w Austrii. Cóż z tego, że specjaliści przepowiadają właśnie Austrii i Niemcom najwięcej korzyści z przystąpienia nowych członków. Ktoś musi przekonać o tym zwykłych obywateli.

Oczywiście trudno, by Polacy organizowali masowe kampanie promocyjne we wszystkich państwach członkowskich Unii. Najlepiej zrobią to ich własne rządy. Ale aktywniejsza promocja z naszej strony jest niezbędna. Należy zastanowić się nad strategią i zacząć ją realizować, nim będzie za późno. Określić cel, środki, rozejrzeć się za potencjalnymi sojusznikami. Być może zacząć od środowisk opiniotwórczych i tych sektorów, które powinny najwięcej skorzystać na naszej obecności w Unii. Na pewno nie wystarczy ciężko pracować, dynamicznie się rozwijać, szybko dostosowywać do norm europejskich, ale trzeba jeszcze umieć się sprzedać.

Niestety, zamiast uważnie słuchać i dopiero potem robić swoje, bardzo często nasi przedstawiciele lubią pouczać, utyskiwać na eurobiurokrację, podkreślać, że wiedzą lepiej, przyjmować postawę wielkomocarstwową, chwalić się po amerykańsku, a nie w bardziej wyrafinowanym europejskim stylu. A przy tym – zawalać terminy, nie wypełniać zobowiązań, nawet jeśli są zapisane w układzie o stowarzyszeniu – traktacie międzynarodowym, ratyfikowanym przez parlamenty, w tym także polski. „Jesteśmy na pewno najbardziej wyrazistym narodem spośród kandydujących do Unii, wielu ceni nas za charakter i fantazję, ale nie można z tym przesadzać" – mówi Lucyna Gutman-Grauer, szefowa jednej z dwóch szkół tzw. *public relations* i lobbingu w Brukseli.

W Unii jest oczywiście miejsce na indywidualizm, improwizację, nawet lekkie bałaganiarstwo i nieprzestrzeganie wszystkich reguł, ale takie, w którym jest pewna metoda. Trzeba to robić z wdziękiem, pewną pokorą i nadrabiać wysiłkiem, aby zdążyć, nim będzie za późno, tak jak Włosi zdążyli zakwalifikować się do unii walutowej. A nie tak jak Grecy, którzy stracili wiele czasu, przejedli wiele wspólnotowych pieniędzy i nie zakwalifikowali się do strefy euro. Ale oni są już przynajmniej w Unii, z której się nie wyrzuca, lecz w której się sobie pomaga, i mają szansę zakwalifikować się za trzy lata. My jeszcze ciągle jesteśmy bardziej na zewnątrz. Pani Gutman-Grauer nie zauważa jednak szczególnego naporu Polaków na tutejsze szkoły europejskiego lobbingu.

Gdy słyszę Polska, myślę...? Tragiczna, heroiczna przeszłość, ułańska fantazja, zacofane górnictwo, stocznie, rolnictwo wymagające tyleż gruntownej, co kosztownej restrukturyzacji, wódka, Chopin, papież, Wałęsa. To wynik miniankiety wśród deputowanych do Parlamentu Europejskiego. Były premier Francji Michel Rocard, zaskoczony pytaniem, wydawał się zażenowany: „Mam dla was wiele sympatii, nie chciałbym was obrazić". Otóż to. Nawet jeśli lubią, niewiele wiedzą lub nasuwają się im nie tylko pochlebne skojarzenia. „Pewnie miał na myśli antysemityzm" – interpretuje zakłopotanie Rocarda znajomy francuski dziennikarz.

W zwykłej brukselskiej szkole komunalnej, do której chodzi moja córka, w ciągu pierwszych ośmiu lat nauki nauczyciele wspomnieli o Polsce dwukrotnie. Najpierw w piątej klasie jako o lokalizacji największego obozu zagłady Żydów. Potem w ósmym roku nauki – na lekcji łaciny, przy okazji lektury fragmentu kroniki Jana Długosza o... pogromie w średniowiecznym Krakowie. Nawet Kopernik nie doczekał się uznania. Zrozpaczona córka musiała stawiać czoło całej klasie, na czele z nauczycielem, który zapewniał, że układ heliocentryczny odkrył Galileusz. Mieliśmy szanse zaistnieć w szkołach belgijskich dzięki Europaliom, wielkiemu festiwalowi kulturalnemu, który co roku jest w całości poświęcony kulturze i sztuce jednego kraju. Nauczyciele polecają dzieciom Europalia i zadają referaty. Dzieci dowiadują się więc tej jesieni o Czechach. Polska z braku pieniędzy zrezygnowała z organizacji Europaliów w 1999 roku, więc zamiast o nas

dzieci dowiedzą się o Węgrzech, które skwapliwie „wskoczyły" na nasze miejsce.

Polska i Polacy są praktycznie nieobecni w tutejszych popularnych wydawnictwach poświęconych historii, geografii, kulturze świata i Europy. Nie mówiąc o telewizji. Chyba, że trzeba uzasadnić zamknięcie jakiejś fabryki, kłopoty tutejszych producentów pomidorów czy kwiatów. Wiadomo – nieprzyzwoicie tania konkurencja z Europy Wschodniej. „Pracujemy za 28 franków za godzinę, trudno żebyśmy wyżyli za 9 franków, tak jak Polacy" – mówi w telewizji przedstawicielka związków zawodowych we francuskiej filii amerykańskiego producenta dżinsów Levi Strauss. Kolejni pracodawcy zwalniają ludzi, zamykają zakłady, aby przenieść produkcję na wschód i powierzyć ją taniej sile roboczej. To nie sprzyja popularności Polaków. Strach przed masowym napływem taniej siły roboczej pogłębia armia pracujących „na czarno" polskich sprzątaczek i robotników budowlanych.

Jeśli nie stać nas na szeroką promocję, warto skupić się na grupach interesów, które już nachodzą zespół negocjacyjny Komisji Europejskiej i własne ministerstwa w unijnych stolicach. Koordynująca negocjacje z Polską z ramienia Komisji Françoise Gaudenzi mówi, że to zupełnie naturalne. Nawet gdyby na krótszą metę miało to przysporzyć naszym rządowym negocjatorom dodatkowego bólu głowy – interesy grupowe nie zawsze pokrywają się z ogólnonarodowym – rozbudowa sieci, stałych, bezpośrednich więzi między polskimi grupami interesu a centralami ich unijnych odpowiedników w Brukseli oraz instytucjami europejskimi, może tylko nam wszystkim wyjść na dobre.

Mniej lub bardziej sporadyczne kontakty nawiązały grupy biznesmenów, producenci zboża czy stali, organizacje rolnicze, stowarzyszenia naukowców czy adwokatów. Pionierem była w tym względzie NSZZ „Solidarność", nieprzerwanie wspierana od 1980 roku przez światowe i europejskie konfederacje związkowców. Ale niewielu może z czystym sumieniem powiedzieć, że jego kontakty z odpowiednikami w Unii polegają na prawdziwej interakcji. To znaczy, że dzięki nim uczy się skomplikowanych mechanizmów unijnych w praktyce i ta wiedza skłania go raz po raz do zmiany postępowania w kraju. A z drugiej strony – że sam znacząco

i systematycznie wpływa na sposób myślenia i decyzje swoich unijnych partnerów. Bo – przy tak niewielkim nakładzie wysiłków lobbistycznych – o systematycznym wpływaniu na organy decyzyjne UE w ogóle nie może być mowy.

Specjaliści mówią: „Zdradź mi, jaki masz lobbing, a powiem ci, ile znaczysz w Unii Europejskiej". Na pewno trochę przesadzają we własnym interesie. Ale coraz częściej okazuje się, że mają rację. Dotyczy to zarówno poszczególnych grup interesu jak i całego państwa. Nie wystarczy wywalczyć odpowiedniej liczby głosów w unijnej Radzie, posłów w Parlamencie Europejskim, czy komisarzy i wyższych urzędników w Komisji. Nie wystarczy wysłać nawet kilkuset dyplomatów do oficjalnego przedstawicielstwa w Brukseli, ani znaleźć sprzymierzeńców wśród rządów innych państw członkowskich.

Według Christiana Le Clercqa, który od kilku lat szkoli adeptów tej sztuki w swoim Europejskim Instytucie Spraw Publicznych i Lobbingu, przy Unii w Brukseli działa stale 10-12 tysięcy ludzi, zajmujących się zawodowo wpływaniem na opinię innych. Pracują dla około 4 000 firm, stowarzyszeń, „instytutów". I tu pionierami byli Amerykanie. W ich ślady poszli zachodni Europejczycy. To jeszcze nie Waszyngton, gdzie przed kilku laty oceniano liczbę lobbistów na 20 tysięcy, ale Le Clercq jest święcie przekonany, że Bruksela wkrótce dogoni stolicę USA: „Za 4-5 lat, gdy w Unii znajdzie się Polska, Czechy i Węgry, gdy zacieśnimy więzi z Rosją, dzisiejsza liczba lobbistów podwoi się i przegonimy Waszyngton".

Wśród zleceniodawców są rządy, wielkie koncerny, zrzeszenia producentów wszystkiego, od czarnych porzeczek po komputery, związki zawodowe, coraz potężniejsze federacje konsumenckie i ekologiczne. Często zresztą prowokują się wzajemnie do działania. Najłatwiej „podpuścić" obrońców środowiska, wśród których są zarówno cyniczni profesjonaliści jak i młodzi zapaleńcy, gotowi ryzykować życiem, aby dokuczyć wrogom natury. Klasycznym przykładem umiejętnego posłużenia się nimi było propagandowe zwycięstwo Węgier w sporze ze Słowacją o zaporę na Dunaju w Gabczikowie. Przez kilka lat mało kto miał w Europie wątpliwości, że Słowacy to troglodyci, którzy chcą zniszczyć ekosystem

całego Dunaju, a Węgrzy to dzielni rycerze natury. Nawet przyznające w dużym stopniu rację Bratysławie orzeczenie Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze niewiele tu zmieniło.

Lobbing w Brukseli prowadzą też zacofane unijne regiony, nawet uniwersytety walczące o dotacje i granty z unijnej kasy. Choć decydujący wpływ na wybór projektów mają własne rządy i pieniądze, muszą przejść przez rozdzielnik w kraju, każdy chce dowiedzieć się „u źródła" o swoich szansach i prześledzić całą drogę przebywaną przez projekty zgłaszane do Brukseli.

Walka o pieniądze zaczyna się już na etapie tworzenia prawa. Za wieloma pomysłami zmiany, zaostrzenia, wprowadzenia nowych przepisów, stoją unijne lobby, które albo chcą obniżyć koszty produkcji i sprzedaży, albo przeciwnie – tak je podnieść, żeby utrącić konkurencję spoza Unii. Stąd te wszystkie znormalizowane krzywizny bananów czy rozmiary prezerwatyw. Grupy interesu już dawno przekonały się, że nie wystarczy robić swoje i spokojnie czekać, aż urzędnicy Komisji Europejskiej zaproponują właściwe wspólne działania i przepisy, a demokratycznie wybrani politycy zatwierdzą je po to, aby ci sami eurokraci mogli następnie wcielać je w życie. Nie kwestionując ich dobrej woli, zainteresowani wolą „podpowiadać" im i przyglądać się rezultatom.

Już dawno zrozumieli to także „outsiderzy" nie należący do „zjednoczonej Europy". Wprawdzie ich ambasady działają bardzo energicznie przy Unii, ale reprezentanci rządów mają ograniczone możliwości, zarówno personalne, finansowe jak i protokolarne. Rządy amerykański, japoński czy szwajcarski nie krępują się, gdy trzeba interweniować w obronie interesów własnych obywateli, firm czy banków, ale i tak prywatni „lobbiści" z tych krajów mieli tu zawsze pełne ręce roboty. To nie przypadek, że takie firmy jak amerykański Caterpillar zatrudniają nawet po 15 osób w swoich „biurach polityki europejskiej" w Brukseli, zbierających informacje o tym, co robią instytucje europejskie i „zwracające ich uwagę" na problemy branży.

Z Amerykanami nie ma się co porównywać, ale już z Norwegami czy Turkami trzeba. Mimo różnic w liczbie ludności oba kraje mają porównywalny z Polską potencjał

gospodarczy. Ich lobbistów widać w Brukseli, w przeciwieństwie do Polaków. Już Czesi, Węgrzy i Słoweńcy wydają się od nas aktywniejsi. Pewnie dlatego, że im nikt nie powiedział, że bez nich poszerzenie Unii nie ma sensu.

Ważnym zadaniem lobbistów jest oddziaływanie na opinię publiczną, najczęściej poprzez prasę, ale czasem też poprzez umiejętnie wyreżyserowaną demonstrację rozsierdzonych rolników czy hutników. Nikt nie usiłuje zainteresować prasy unijnej przyczynami uporu Polski w obronie hutnictwa. Tymczasem przedstawiciele unijnych koncernów, zrzeszeń i izb hutniczych sprytnie przeciwstawiają interes „jakiejś tam huty w jednym z państw Europy Wschodniej" dramatycznemu „być albo nie być naszego hutnictwa". „Naszego" znaczy belgijskiego, hiszpańskiego, niemieckiego, czyli „europejskiego". Na dowód prasa dostaje na kredowym papierze dane, z których jasno wynika, że jeszcze parę ton polskiej stali po cenie „dumpingowej" i „naszej" armii bezrobotnych przybędzie kolejny pułk, a „nasz" region zmieni się w pustynię, w którą trzeba będzie pompować „nasze" pieniądze.

„Europejska argumentacja powinna być podstawą działalności lobbistycznej outsiderów" – mówi Norweg Pal Jacobsen, szef brukselskiej firmy doradczej, która nie stroni od zleceń z zakresu lobbingu. Wie, co mówi, bo walczył po obu stronach barykady. Gdy w 1994 roku Norwegia wynegocjowała traktat o przystąpieniu do Unii, znalazł się na kilka miesięcy „w środku" i zaczął być traktowany jak swój. Do czasu, gdy jego rodacy odrzucili członkostwo Unii w referendum. „Jako przedstawiciel interesów spoza Unii masz szanse być wysłuchanym przez urzędników Komisji, ale tylko gdy z góry zapowiesz, że trzeba rozwiązać problem europejski. Nie norweski, nie polski, bo te nikogo tu nie interesują. Jeśli macie problem w hutnictwie, musicie znaleźć argumenty przemawiające za rozwojem produkcji właśnie u was w interesie poszerzonej w przyszłości Unii" – radzi Jacobsen.

Inni wtajemniczeni przyznają, że wielkie koncerny hutnicze, samochodowe czy stoczniowe, wcale nie starają się zachowywać pozorów, lecz zwyczajnie szantażują, grożą, przekupują. I to przede wszystkim własnych urzędników, ministrów, całe rządy. Jeśli na przykład Renault ostrzega swój rząd, że będzie musiało zamknąć fabrykę we Francji i

pozbawić pracy parę tysięcy rodaków, bo nie jest w stanie przebić się z większym eksportem przez pancerz polskiego protekcjonizmu, trudno się dziwić żądaniom Paryża, aby Unia usztywniła stanowisko w rozmowach z Polską o bezcłowym imporcie samochodów koreańskich w częściach do naszego kraju. Musieliśmy więc nieco utrudnić życie Koreańczykom, ale tylko do momentu, gdy zaczęło to przeszkadzać także montującemu w Polsce samochody włoskiemu Fiatowi. Naciski Włochów zrównoważyły presję wywieraną przez Francuzów.

Nie namawiam do form lobbingu z pogranicza legalności i to nie tylko przez wzgląd na uczciwość. Wybuchające od czasu do czasu skandale korupcyjne i powtarzające się próby zdyscyplinowania unijnych urzędników i deputowanych, choćby wprowadzony w Parlamencie Europejskim obowiązek rejestracji lobbistów i podarunków, świadczą, że wpływanie na opinię tutejszych decydentów nieraz odbywało się nieuczciwymi metodami. Nie stać nas na nie, a w dodatku jako outsiderzy ryzykowalibyśmy wpadką.

Przestrzega przed tym Christian Le Clercq. Według niego opłaca się inwestować w uczciwy, etyczny lobbing. „Żeby uniknąć niejasnych sytuacji i móc bez przeszkód wykonywać pracę, trzeba zawsze wyraźnie powiedzieć, dla kogo się pracuje. Bo jeśli nakryją cię na podszywaniu się pod kogoś innego, nie tylko zaszkodzisz klientowi, ale i sam spalisz za sobą mosty" – mówi.

Gdy nie chce się bezpośrednio zwracać do rządu lub gdy presja wywierana w zaciszu gabinetów nie odnosi skutku, naciskający uruchamia metody pośrednie. Okazują się tym skuteczniejsze, im są bardziej zawoalowane i dyskretne, oparte na faktach, liczbach, badaniach naukowych. Stąd liczne prywatne, „niezależne" instytuty i laboratoria, hojnie wspierane przez sponsorów zamawiających ukierunkowane opinie eksperckie. Ich raporty służą potem do przekonywania czynników oficjalnych i opinii publicznej. Prekursorem tej metody w Polsce był „król żelatyny" Kazimierz Grabek, który zasypywał rząd ekspertyzami o szkodliwości zagranicznej żelatyny. W Brukseli mało kto go potępiał. Dziwiono się tylko, że nasze władze tak łatwo i tak długo wierzyły jego ekspertom.

Naśladowcy Grabka mają jednak u nas trudniejsze zadanie niż ich unijni konkurenci. Nie mogą wprząc w swoją kampanię potężnych organizacji broniących konsumentów albo środowiska naturalnego. Nie mogą żerować na nieufności, która zapanowała w Unii po aferze z zakaźnym gąbczastym zapaleniem mózgu u krów (BSE). Przeciętny obywatel Unii boi się produktów zwierzęcych niepewnego pochodzenia. Nigdy nie miał najwyższego mniemania o poziomie higieny w Europie Wschodniej. Łatwo wmówić mu, że spożywanie polskich produktów wiąże się z ryzykiem. A jeśli można to jeszcze podeprzeć wiarygodnym raportem o stanie sanitarnym niektórych polskich mleczarni...

Rolnictwo jest tradycyjnie jedną z dziedzin, w których lobbing przybiera ostre formy. Choć rolnicy stanowią coraz mniejszy odsetek społeczeństw i wytwarzają marginalną część produktu krajowego brutto, do niedawna bronili swych interesów otwarcie i brutalnie, bez kompleksów i obaw, że ktoś oskarży ich o egoizm. Póki w podświadomości wielu mieszczuchów tliło się wspomnienie o wiejskich korzeniach i o głodzie lat 40-tych, rolnicy rzadko mieli problemy z przekonaniem do swoich racji opinii publicznej w zurbanizowanych społeczeństwach. Nawet gdy blokowali drogi, budzili powszechną sympatię. Zrzeszenie unijnych federacji producentów rolnych i spółdzielni rolniczych COPA-COGECA nadal uchodzi za jedno z potężniejszych lobby w Brukseli.

Jego szefowie przyznają po dłuższej rozmowie, że polscy rolnicy mogą w przyszłości okazać się cennymi sojusznikami. Ale unijnym rolnikom trzeba to nieustannie przypominać. Nikt nie zrobi tego lepiej od ich polskich kolegów. Większość przedstawicielstw rolników z państw członkowskich przy COPA-COGECA powstawała dzięki wsparciu rządów. Władze pomogły im zorganizować obronę rolniczych interesów tam, gdzie czynnikom oficjalnym nie wypada albo gdzie zwyczajnie nie mogą.

Polskie grupy interesu pojawiają się w Brukseli wciąż tylko sporadycznie, często w sytuacji zagrożenia – gdy padły ofiarą postępowania antydumpingowego. „Wymuszane sytuacją, nie było to systematyczne, przemyślane, zaprojektowane na dłuższy okres zbliżanie się do organizacji wspólnotowych.

Świadomość potrzeby takich działań jest stosunkowo niska, samoorganizacja biznesu w Polsce nie dokonała się z dnia na dzień" – tłumaczy polski ambasador przy Unii Europejskiej Jan Truszczyński.

Jedynym stałym przedstawicielem polskiego „społeczeństwa obywatelskiego" w Brukseli jest Zdzisław Gumkowski, usiłujący reprezentować organizacje rolnicze. Wywodzi się z półrządowej fundacji FAPA i tak jak ona korzysta z pieniędzy PHARE. Udało mu się przełamać pierwsze lody w kontaktach między związkami rolniczymi w Polsce i unijnymi w Brukseli. Ale jego los jest niepewny, bo organizacje polskich rolników nie wykazują aż takiego zainteresowania posiadaniem tu stałego reprezentanta, aby pokrywać koszty jego pobytu. Zresztą są skłócone i często zbyt upolitycznione, aby oderwać się od partyjnych powiązań swoich liderów.

Wiele unijnych zrzeszeń zaoferowało polskim partnerom status członków stowarzyszonych, ale Polacy nie mają na miejscu stałych, dobrze zorientowanych przedstawicieli, którzy mogliby przekonywać do swoich racji także innych uczestników brukselskiej gry interesów. Wpływy NSZZ „Solidarność" w Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych nie są równoważone obecnością Polaków w unijnych organizacjach pracodawców. Ich stowarzyszenie UNICE przyjęło do swego grona Konfederację Pracodawców Polskich, ale jedynym stale urzędującym reprezentantem Europy Środkowej w siedzibie UNICE jest wysłannik Czech. Polacy są zbyt zaabsorbowani rywalizacją w kraju.

Za biedni też jesteśmy na wyrafinowane, pośrednie formy kształtowania opinii, jak choćby utrzymanie placówki badawczej i wręczanie prestiżowych nagród (klasycznym przykładem jest Instytut Philipa Morrisa). Nie wystarczy też sporadyczna zbieżność polskiego interesu z interesem zachodnich firm, które już zainwestowały w Polsce, importują coś od nas albo zlecają produkcję polskim podwykonawcom. Chwała im, że się niekiedy ujmują za polskimi partnerami, lecz nie zawadzi bezpośrednio pilnować własnych interesów.

Jacek SAFUTA

Kraj

System dwupartyjny?

Niektórzy komentatorzy polskiej sceny politycznej po ostatnich wyborach zdają się sądzić, że zmierzamy w kierunku systemu dwupartyjnego. Byłoby to niezłe ale nie jest realne. Trzy skrzydła Akcji Wyborczej „Solidarność" – związkowe, narodowe i konserwatywne, po roku rządów Jerzego Buzka, raczej oddalają się od siebie niż konsolidują się. Najsilniejsze jest skrzydło związkowe, mające najbliższe stosunki z Marianem Krzaklewskim, faktycznym przywódcą AWS i jego klubu parlamentarnego. Skrzydło narodowe, a właściwie nacjonalistyczne, stanowi ZChN utworzony przez Wiesława Chrzanowskiego, zdawałoby się umiarkowanego endeka, który jednak ustępując z prezesury oddał przywództwo R. Czarneckiemu, a potem M. Piłce. Okazali się oni równie niekompetentni, co skrajni. ZChN zdobył sobie poparcie sporej części duchowieństwa, czym bezwiednie szkodzi Kościołowi ale przysparza sobie zwolenników. Ze względu na swoją skrajność ZChN nie ma szans stać się decydującym ugrupowaniem w AWS. Skrzydło liberalno-konserwatywne AWS ma lepsze notowania, bo jego szarą eminencją jest Wiesław Walendziak, polityk, który wyrobił się kierując Telewizją Publiczną i wyhodował w niej tzw. „pampersów", czyli młodych wilczków politycznych. „Superpremier" Walendziak obsadza nimi wiele instytucji, w których trzeba myśleć, na przykład telekomunikację.

Żadne z tych skrzydeł AWS nie jest w stanie zdominować pozostałych. Chwilowo pozornie dominują związkowcy, ale okazali się mało kompetentni i wcześniej czy później będzie musiało dojść do przetasowania kart w rządzie

utworzonym przez nową „Solidarność". Przeciąga się to, bo AWS ani nie jest spójny, ani jednolity, a do tego wymienia się wiele nazwisk ludzi z jego kręgów, którzy rzekomo byli tajnymi współpracownikami „bezpieki". Z pewnością „lustracji" powinni bać się bardziej ludzie z AWS niż z SLD, bo ci drudzy jawnie wspierali miniony system. Pod presją tajnej policji była raczej opozycja niż dawne koła rządzące. One były kontrolowane inaczej. Obecnie AWS nie jest w stanie rządzić sama i do tego ma coraz gorsze stosunki ze swym koalicjantem Unią Wolności, a zwłaszcza z jej prezesem i jednocześnie ministrem finansów – Leszkiem Balcerowiczem. Unia Wolności jest do tego stopnia niezadowolona ze swego udziału w obecnej koalicji, że gdy jej działacz Paweł Piskorski napomknął coś o przyszłej nowej koalicji UW z AWS, wywołało to burzę i pozbawienie posła funkcji wiceprzewodniczącego klubu parlamentarnego. Unia Wolności skupia bez wątpienia kwiat elit politycznych w Polsce i ma o sobie odpowiednie wyobrażenie, by nie zgodzić się na funkcjonowanie jako dodatek do AWS. Dramat Unii polega na tym, że miała do wyboru albo koalicję z AWS, albo z SLD. Poglądami było jej bliżej do SLD ale przeważył spór o przeszłość i tzw. racje moralne nad pragmatycznymi. I w ten sposób przeciwnicy nacjonalizmu i antysemityzmu znaleźli się w koalicji z nacjonalistami, a także z niektórymi antysemitami. Unia dokonała trudnego wyboru i w jego wyniku utraciła sporą część elektoratu, bo normalni wyborcy myślą jednak bardziej praktycznie i mniej kierują się moralną oceną przeszłości.

W gruncie rzeczy nie została ona do końca zanalizowana przez obiektywnych historyków, lecz stała się narzędziem w grze politycznej tych, którzy – nie zawsze sprawiedliwie – chcą dzielić ludzi na podłych i szlachetnych.

Istnienie Unii Wolności a także Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz Unii Pracy wyklucza powstanie w Polsce systemu dwupartyjnego, bo wszystkie trzy wymienione partie mają charakter centrowy i każda z nich ma powody by nie dać się wcielić do większego ugrupowania. A partie te mają spory elektorat – prawie całą inteligencję i wieś polską, na której w III Rzeczypospolitej żyje się najgorzej i pracuje najciężej.

Sojusz Lewicy Demokratycznej chce przekształcić się z federacji w jednolitą partię polityczną. SLD odrobił w wyborach samorządowych swoje straty z wyborów parlamentarnych w 1997 roku i stał się niemal równorzędną siłą polityczną w porównaniu z AWS. Ale SLD osiągnął chyba maksimum swoich możliwości wyborczych mimo, że przyklejono mu nazwę postkomunistów. Jego starsza generacja ma przeszłość PRL-owską ale z biegiem lat będzie wymierała. Młodsi członkowie i wyborcy SLD niewiele wiedzą o PRL. Wszystko w tej partii będzie zależało od tego, czy odchodzenie starszej generacji będzie wyrównywane przez napływ młodzieży. SLD wie o tym i nie jest w tej sprawie bezczynna. Jednakże i ta partia, nawet jeśli jeszcze trochę wzrośnie, będzie potrzebowała koalicjanta. I wchodzą tu w grę jako ewentualni partnerzy wszystkie trzy partie środka. Jest to bardzo ważne, bo polaryzacja polityczna w Polsce jest na tyle duża, że ani AWS, ani SLD nie jest w stanie rządzić samotnie, bo na to musiałaby jedna z tych partii uzyskać w wyborach parlamentarnych ponad 50 procent głosów. Obecnie partie te otrzymują w różnych wyborach ponad trzydzieści procent głosów, a więc nie są zdolne do samodzielnego rządzenia. System dwupartyjny w Polsce nie wchodzi w rachubę, bo partie centrum, choć oscylują między dużymi sukcesami lub dużymi stratami elektoratu, sytuują się jako przedstawiciele co trzeciego wyborcy w Polsce. Partie środka mają sytuację trudną, bo muszą dokonywać wyboru tzw. mniejszego zła – między nacjonalizmem i niekompetencją prawicy z jednej strony, a złym rodowodem lewicy z drugiej strony. Dzisiaj wejście do jednej z dwóch możliwych koalicji jest rzeczywiście trudne dla partii środka, lecz za trzy lata, jeśli obecny parlament przetrwa ten okres, sytuacja może się zmienić. Centrum może się rozszerzyć. AWS może z historii swojego „etosu" przejść do zdobywania sobie fachowców i ludzi kompetentnych, co już w jakiejś mierze po roku zaczyna się dziać. W SLD będzie trwał naturalny proces odchodzenia starych kadr, przy jednoczesnym łowieniu młodych, rozwijających się indywidualności. SLD ma jedną przewagę nad AWS, tę mianowicie, że nie jest skłócony lecz spójny wewnętrznie. AWS nie jest tak spójna, a jej „etos" nie będzie trwał wiecznie, gdyż nieustannie toczy się wymiana

pokoleniowa. Obydwu dużym partiom trudno będzie się zmienić, bo mają swoją historię. SLD musi w godny sposób odciąć się od swojej przeszłości i zdobywać młodych. AWS, a także Unia Wolności, muszą przestać dzielić ludzi na podłych i szlachetnych, bo obie te kategorie ludzi z różną przeszłością pojawiają się we wszystkich strukturach społeczno-politycznych. Istota rzeczy polega na tym, że nie powinniśmy i nie możemy zapominać o przeszłości, lecz nie możemy także nie koncentrować się przede wszystkim na przyszłości. Czynnik moralny nie może trwać w wiecznej sprzeczności z czynnikiem pragmatycznym. Wszystkie partie – prawica, lewica i centrum – muszą i powinny rozliczyć swoją przeszłość, bo w polityce trzeba być czystym. Tym bardziej im wyższe stanowisko się zajmuje i im bardziej jest się umiejscowionym na widowni społecznej. Nie mam nic przeciwko uczciwej lustracji, lecz projektu takiej nie mamy. Dotychczasowe projekty były obciążone spekulacjami politycznymi. Politycy zaś nie czekając na lustrację, która wreszcie stanie się możliwa, powinni już dzisiaj dokonać poważnej samooceny własnych ugrupowań.

Jeden z najinteligentniejszych polityków okresu PRL powiedział mi, że jeśli SLD sama dokona swojej oceny przeszłości, to będzie to tylko pretekstem, by na ten ruch wylać nowe cysterny brudów. Tylko ja nie myślę o nowej samokrytyce ludzi, którzy w okresie PRL byli młodzikami, lecz o głębszych, mniej jednostronnych ocenach historycznych PRL od tych, które opublikowali niektórzy nasi rzekomo apolityczni historycy. W Polsce nie należy uprawiać samooskarżającego masochizmu, lecz należy pisać książki historyczne i publicystykę historyczną, które odsłonią całą – złą i dobrą – historię tamtej rzeczywistości, w której istniało państwo polskie i niemal do końca, za zgodą wielkich mocarstw, było ono pod protektoratem sowieckim. Cały Zachód nawiązał wtedy z nami stosunki dyplomatyczne, a więc widząc nasze zewnętrzne uzależnienie, spostrzegł także nasze przejawy samodzielności. Jednym z nich był choćby traktat graniczny Polski i RFN, podpisany przez Władysława Gomułkę, na trzy tygodnie przed jego rozkazem strzelania na Wybrzeżu i odejściem z areny politycznej.

Osobiście wątpię w możliwość powstania w Polsce syste-

mu dwupartyjnego, choć powstały możliwości dające sporo do myślenia. Nikt bowiem nie przewidział, że w wyniku wyborów samorządowych w terenie, może dojść do koalicji AWS i SLD. Tymczasem, takie koalicje powstały. Można to zrozumieć, bo przecież interesy lokalne, na szczeblu województw i powiatów, nie mówiąc już o gminach, są tak odmienne od uwarunkowań ogólnokrajowych, że nikogo powstałe koalicje lokalne specjalnie nie zdziwiły. Natomiast powstanie w Polsce dwupartyjnego systemu typu anglosaskiego jest niemal zupełnie nieprawdopodobne. Nie tylko ze względu na dzisiejsze spory o przeszłość, o zachowanie się w okresie PRL. W Polsce są tak ogromne różnice w położeniu materialnym różnych części społeczeństwa, że nie zaistniały okoliczności, które powodowałyby zbędność partii chłopskiej, inteligenckiej, czy robotniczej. Być może z czasem funkcje obronne wobec różnych sfer społeczeństwa przejmą związki zawodowe ale póki co obrona interesów socjalnych różnych warstw ciąży także na partiach politycznych. I nie chodzi tu tylko o różnice między tymi, którzy kładą główny nacisk na rozwój gospodarczy a tymi, którzy myślą przede wszystkim o osłonach socjalnych dla całego społeczeństwa. Jesteśmy bowiem na takim etapie, kiedy jeszcze nie wystarcza jednoczesna troska o rozwój i o osłony socjalne. Jesteśmy na etapie, w którym ponad milion ludzi na wsi jest zbędnych i coś trzeba zrobić, by stan ten nie trwał dalej. Restrukturyzacja naszego przemysłu spowoduje w ciagu kilku lat konieczność odejścia z górnictwa co najmniej dwustu tysięcy ludzi. Także zmiany w hutnictwie i innych gałęziach przemysłu spowodują konieczność przekwalifikowania wielu tysięcy robotników. Twierdzę, że Polsce nadal potrzebne są partie chłopskie i robotnicze, a także inteligenckie czy mieszczańskie, bo wchodzimy, nieco zbyt spiesznie, w restrukturyzację większości gałęzi naszego życia gospodarczego. Dwie partie – prawicowa i lewicowa – nie byłyby w stanie spełnić wszystkich istniejących funkcji i potrzeb społecznych.

Oczywiście nie jestem zwolennikiem upartyjniania społeczeństwa, do czego mamy samorzutne skłonności. Tam jednak, gdzie są wyraźne przejawy niesprawiedliwości, czy wręcz zagrożenia społecznego, powinny istnieć siły związkowe i polityczne, stojące na straży realnych potrzeb społeczeństwa.

Partii mamy chwilowo za dużo, lecz tylko kilka z nich może przekroczyć poziom pięciu procent wyborców, by dostać się do parlamentu. Tak więc samo społeczeństwo decyduje komu chce dać owe pięć procent głosów, a w specjalnych sytuacjach aż ponad trzydzieści procent głosów. Decydujące znaczenie ma nie ilość partii, lecz to, które z nich są w stanie zaspokajać realne potrzeby społeczne.

Andrzej MICEWSKI

Rachunki i polityka

1.

To, co się rozegrało w Sejmie pomiędzy piątkiem, 6 listopada a poniedziałkiem, można śmiało uznać za kolejny dowód, że w tej Izbie najpierw się głosuje a potem myśli.

Przypomnijmy. W piątek odbywało się w Sejmie trzecie czytanie tzw. ustawy podatkowej, zawierającej znowelizowaną wersję przepisów, na mocy których budżet będzie się żywił podatkami w 1999 r. Jeśli nie ma nowelizacji, to znaczy, że stopy i struktura podatków pozostają niezmienione. Wbrew stanowisku rządu Izba przyjęła 190 głosami przeciw 187 (przy 21 wstrzymujących się i 62 nie biorących udziału w głosowaniu) wnioski mniejszości, ustanawiające tzw. podatkową ulgę rodzinną (dla rodzin z trojgiem i więcej dzieci – od 1999 r., dla rodzin dwudzietnych – od 2000 r. i dla jednodzietnych od 2001 r.). 147 głosów ze 190 popierających należało do posłów AWS (w tym kilku członków rządu oraz całego kierownictwa Klubu, z Marianem Krzaklewskim. Premier Buzek był przeciw). Ponadto, już z udziałem opozycji przegłosowano zwolnienie od opodatkowania składek na związki zawodowe i zapomóg związkowych. Koszt uchwalonej ulgi rodzinnej na 1999 r. oceniano na 500-600 mln zł.

Potem na żądanie rządu wstrzymano głosowanie nad całością ustawy, przerwano posiedzenie i przez następne dwa i pół dnia kluby i kierownictwa AWS i UW radziły, z udziałem premiera, co robić dalej: wicepremier Balcerowicz zapowiedział, że nie zgodzi się żeby mu „rozwalano budżet". Jest tajemnicą poliszynela, że Unia Wolności zapowiedziała wyjście z rządu, jeśli AWS się nie cofnie: ta ostateczna groźba została użyta po raz pierwszy, choć sporów w koalicji nie brakuje od samego początku. Leszek Balcerowicz został nawet w czasie weekendu przyjęty przez prezydenta, a Kwaśniewski już *post factum* zaprzeczył wprawdzie stanowczo, jakoby mowa była o ewentualnej zmianie gabinetu, niemniej dodał od siebie, że obecna koalicja powinna dotrwać do końca swej kadencji. W dalszym ciągu powrócę do tego niespodziewanego poparcia prezydenta dla koalicji AWS-UW.

AWS się cofnął. W poniedziałek o 10:30 Sejm głosami koalicji odrzucił całą ustawę podatkową (SLD się wstrzymał). Nie będzie ulg i nie będzie nowelizacji. A nowelizacja ta miała być wstępem do wielkiej reformy podatkowej w następnym roku. W ten sposób AWS przegrał, ale Balcerowicz nie wygrał: jego reformie podatkowej podcięto nogi już przy pierwszej przeszkodzie.

Oczywiście, zaraz po głosowaniu, rzecznicy obu klubów koalicyjnych pospieszyli z zapewnieniami, że spór oczyścił atmosferę we wzajemnych stosunkach i że wobec tego jest właściwie lepiej niż było – po czym wszyscy pospieszyli świętować osiemdziesiątą rocznicę 11 listopada 1918.

Tyle przypomnienia faktów, a teraz o ich znaczeniu.

2.

Październikowe wybory samorządowe okazały się pełne nauk i ostrzeżeń dla naszej klasy politycznej. Potwierdziło się, że tylko gminy są w poczuciu wyborców ich własne. Frekwencja była najwyższa w głosowaniu większościowym do małych rad gminnych. Zwłaszcza liczba głosów nieważnych, głównie pustych kartek (10% do sejmików wojewódzkich, 7% do powiatów i tylko 3% do gmin) wskazuje na manifestacyjne okazywanie niechęci do wyższych struktur samorządowych, bo przecież wszystkie głosowania odbywały się łącznie. Najpewniej wiązało się to ze skrajnym upolitycznieniem

wyborów do tych wyższych struktur, założonym w samej ordynacji wyborczej oraz w podziale na okręgi, spreparowanym przez resort p. Tomaszewskiego. W wyborach gminnych sześć list ogólnopolskich – AWS, SLD, UW, Przymierze Społeczne, Rodzina Polska i Ojczyzna – zdobyło 32% mandatów; 68% wzięli kandydaci i listy lokalne. W powiatach centralna szóstka ma już 75% mandatów, w województwach – 98% i w rezultacie sejmiki są rzeczywiście miniaturkami warszawskiego parlamentu. To nie znaczy, oczywiście, że wyborcy stali się nagle, przechodząc od gminy do województwa, miłośnikami centralnej polityki. Po prostu, nie mieli innego wyboru, bo ordynacja nie dawała lokalnym listom żadnych szans na tym szczeblu. Innymi słowy, sprawdziło się, jak o tym pisałem w *Kulturze*, że reforma administracyjna miała wykreować w terenie, w powiatach i województwach, grupy notabli „samorządowych" jako wsparcie dla polityków w Warszawie. Już po wyborach, przy formowaniu zarządów samorządowych centrale warszawskie wywierały bezwzględną presję, aby nie dopuścić do nieprawomyślnych koalicji lokalnych; celowała w tym AWS, zachowująca się tak, jakby jedynym zadaniem władz lokalnych było izolowanie „czerwonych". Przekupywanie obietnicą stanowisk było nagminne (napowiatowe, nawojewódzkie...), a w ruchu bywały też pieniądze.

Na poziomie wojewódzkim, całkowicie upolitycznionym, można ocenić p o l i t y c z n y rezultat głosowania. W porównaniu z wyborami parlamentarnymi 1997 r. AWS straciła 522 tysiące głosów tj. 12%, UW 390 tysięcy tj. 22%. SLD zyskał 180 tysięcy tj. 5%, Przymierze Społeczne (PSL + UP + emeryci) straciło 450 tysięcy tj. 24%, uzyskało jednak trzecie miejsce, degradując Unię Wolności. O 235 tysięcy awansowała Rodzina Polska zyskując 57%, a Ojczyzna (ROP i sojusznicy) została niemal unicestwiona tracąc 742 tysiące czyli 66%. W mandatach, za sprawą ordynacji, obraz jest inny: Rodzina i Ojczyzna w praktyce nie istnieją, Przymierze i Unia Wolności mają po parę punktów procentowych mniej niż w głosach, natomiast AWS i SLD zyskują po 6, 7 punktów: 40% mandatów dla AWS wobec 33,3% głosów i 38,5% dla SLD wobec 31,8% głosów. Można być pewnym, że w tej jednej sprawie, ordynacji wyborczej, nieświęty sojusz

AWS-SLD bedzie trwał nieskruszony. Zwłaszcza z punktu widzenia AWS ordynacja wykazała swą skuteczność, niwelując sukces Rodziny, politycznie dla Akcji niebezpiecznej i unicestwiając Ojczyznę Olszewskiego i Słomki.

Z tego gąszczu liczb i procentów doraźnie najistotniejsze dla wydarzeń w centrum były dwa fakty.

Po pierwsze, wynik SLD, choć niespektakularny, potwierdził utrzymywanie się stałego wzrostu elektoratu tej partii, trwającego od początku, tj. 1990 r.

Po drugie, partie rządzącej koalicji straciły po roku władzy 14,7% swego elektoratu, mimo trwającej w tym czasie dobrej koniunktury i mimo lawiny reform, z której premier jest tak dumny.

3.

W obu partiach koalicji ostrzeżenie, jakim są wyniki wyborów samorządowych, zostało odczytane. Tyle tylko, że Unia Wolności ma o rok więcej czasu niż AWS do kolejnej konfrontacji wyborczej: parlament będziemy wybierać jesienią 2001, ale Marian Krzaklewski stanie przed wyborcami jako kandydat na prezydenta już za dwa lata. Ten dodatkowy rok oznacza również, że Unia Wolności będzie w 2001 wiedziała, kto został prezydentem i będzie mogła rozważyć swoją strategię. Kiedy Paweł Piskorski, młody „pistolet" Unii Wolności, wiceprzewodniczący jej klubu poselskiego i jej główny rozgrywający w samorządzie warszawskim zasugerował w rozmowie z dziennikarzem, że w 2001 trzeba będzie, być może, wystąpić ze wspólną listą z AWS, w Unii Wolności rozpętała się prawdziwa burza i „nasz Pawełek" został pozbawiony wiceprzewodnictwa. Wcale nie za poglądy – w Warszawie Piskorski był jednym z głównych architektów koalicji UW–SLD, a teraz montuje sojusz z AWS – lecz najzwyklej za niezrozumienie strategii partii. Dla słabnącej Unii cennym walorem pozostaje swoboda doboru koalianta po następnym rozdaniu kart. Tu warto zresztą zauważyć, że wprawdzie dawne „etosowe" ideały już wyparowały z unijnego garnka, a Jacek Kuroń i Tadeusz Mazowiecki są tylko portretami przodków, to jednak po roku koalicji nie ma żadnego zbliżenia psychologicznego pomiędzy Unią a AWS. Ludzie Unii poczuwają się do obcości wobec AWS w nie

mniejszym stopniu, choć z innych względów, niż wobec SLD. Czują się europejczykami i wiedzą, że k a ż d a koalicja, w której mogliby się znaleźć, będzie w najlepszym razie mniejszym złem i pozostawi im wiele niesmaku. Stąd, na koniec, kiepskie samopoczucie i obniżona samoocena u unijnych działaczy, która po awanturze wywołanej projektem reformy podatkowej Balcerowicza zaowocowała kryzysem zaufania wobec kierownictwa partii. Wprawdzie Balcerowicz jest niezbywalny (chyba że się zmęczy i sam będzie miał dosyć, ale materiałoznawcy twierdzą, że prędzej zmęczy się Tower Bridge niż Balcerowicz) i ciągle jeszcze potrafi przekonywać swych kolegów, ale jest coraz bardziej nielubiany. I nie zna się na polityce – dodają ci unici, którym wicepremier w każdej dyskusji wykazuje, że nie znają się na ekonomii.

W Akcji Wyborczej Solidarność próbuje się wprawdzie minimalizować wyborcze straty, ponieważ AWS pozostała na czele peletonu, mimo że przewaga nad SLD zmalała do 1,5 punkta procentowego. Ale posłowie Akcji zdają sobie sprawę z niezadowolenia wyborców. Ich działania w parlamencie, z których najbardziej spektakularne opisałem na wstępie, wyrażają przeświadczenie, że wyborcy domagają się konsekwentniejszego realizowania programu AWS i że stoją temu na przeszkodzie – poza przeciwnikiem z SLD – prezydent Kwaśniewski oraz sojusznik z UW. Kwaśniewski bruździ przede wszystkim na froncie lustracji, dekomunizacji i mediów – z różnym skutkiem, choć na ogół skutecznie. Tak więc nie udało się zmienić zarządu telewizji, w czym zaangażowały się najtęższe głowy z AWS.

Rozgoryczony utratą drugiej kadencji prezes Sądu Najwyższego Adam Strzembosz mianował w ostatniej chwili „swojego" rzecznika od lustracji, Bogusława Nizieńskiego, lecz za to Trybunał Konstytucyjny uznał w dwóch punktach słuszność skargi posłów SLD: odrzucił możliwość bezterminowego wznawiania spraw raz rozstrzygniętych oraz ograniczania biernego prawa wyborczego w wyborach prezydenckich. Ponadto, Trybunał uściślił definicję tajnego współpracownika: nie wystarcza samo zobowiązanie do współpracy, potrzebne są dowody aktywności. Prezydent ze swej strony zawetuje zapewne ustawę o Instytucie Pamięci Narodowej (polskim Urzędzie Gaucka) oraz nowelizację ustawy o radio-

fonii i telewizji. Większość parlamentarna zamierzała najpierw pozbawić prezydenta prawa głosu na temat corocznych sprawozdań Krajowej Rady Radia i Telewizji. Teraz, aby zdymisjonować Radę, trzeba by odrzucili jej sprawozdanie zgodnie – prezydent, Sejm i Senat. Ostatecznie, nowelizacja zawiera mętną formułę, według której Sejm i Senat przyjmują sprawozdanie lub nie, a prezydent tylko „udziela podpisu". Rzecznik klubu SLD Andrzej Urbańczyk byłby „zdumiony", gdyby prezydent zechciał taki tekst zaakceptować.

Posłowie AWS wiedzą jednak, że wyborcy nie podniecają się już bojami o lustrację (i dekomunizację, której projekt czeka na lepsze czasy w szufladzie marszałka Płażyńskiego). Z telewizji są zaś zadowoleni bardziej niż kiedykolwiek, co na marginesie mówiąc, przeczy racjom AWS ale dowodzi też, jak nikłe są wymagania masowej widowni. Tym, co prawdziwie boli wyborców AWS, są sprawy gospodarcze i społeczne. I tutaj okazuje się, że program wyborczy AWS z 1997 jest nie tylko niewykonywany, ale niewykonalny.

Posłowie AWS domagają się zgodnie z tym programem: 40-godzinnego tygodnia pracy czyli wolnych sobót, indeksacji płac budżetówki na płacach w gospodarce, wydłużenia urlopów macierzyńskich, podatkowych ulg dla rodzin z dziećmi... Nic z tego nie przechodzi, bo „nas na to nie stać", jak powiada w rozmowie z *Gazetą Wyborczą* z 7-8 XI premier Buzek, który gotów jest uznać te poselskie działania za „formę dopingowania rządu". Kształtuje się podział ról w AWS: Buzek broni budżetu a Krzaklewski manifestuje. Ale są granice wiarygodności i skuteczności tej taktyki i właśnie w debacie nad ustawą podatkową doszło do pęknięcia materiału. Krzaklewski wyszedł z tego starcia bardzo, z francuska mówiąc, *diminué*, malutki, natomiast Buzek swą postawą mediatora w trudnej sytuacji, zyskał uznanie niezaangażowanych obserwatorów: w istocie uratował swój gabinet.

Wszakże jądrem programu AWS nie były te roszczeniowe postulaty socjalne bądź płacowe, lecz nadzieje wynikające wprost z solidaryzmu, który jest przecież zgodnie z „katolicką nauką społeczną" ideologiczną podstawą Solidarności. Tak więc z jednej strony AWS domaga się powszechnego uwłaszczenia na majątku skarbu państwa, z drugiej – powszechnej reprywatyzacji. A są jeszcze zobowiązania związane z aktual-

nymi reformami ubezpieczeń i edukacji, z zaległymi należnościami emerytów, z bezpłatnym nadzielaniem załóg akcjami prywatyzowanych przedsiębiorstw i z bieżącym wspomaganiem budżetu. Prof. Cezary Józefiak z Rady Polityki Pieniężnej ocenia wszystkie te zobowiązania na 85 mld złotych, bez wpłat do budżetu na pokrycie deficytu (6 mld zł rocznie). Tymczasem min. Wąsacz wycenia pozostały do prywatyzacji majątek na ok. 140 mld złotych.

Zostaje więc 40-50 mld zł na reprywatyzację i owo „powszechne uwłaszczenie". Ale na co najpierw?

Koniecznie na reprywatyzację – głosi Krzysztof Łaszkiewicz, wiceminister skarbu państwa z AWS, autor projektu ustawy reprywatyzacyjnej, który komitet ekonomiczny Rady Ministrów odesłał właśnie ekspertom do ponownych przeliczeń.

Projekt Łaszkiewicza zakłada, że do Skarbu Państwa wpłynie 170 tys. wniosków o zwrot „bezprawnie zagarniętego mienia". Ta formułka obejmuje faktycznie wszystkie wywłaszczenia PKWN, jako że nie wypłacono za nie odszkodowań, mimo iż PKWN powoływał się na konstytucję marcową. W ten sposób wiceminister Łaszkiewicz doliczył się 190 mld złotych po dzisiejszych cenach; na szczęście nie wszyscy dawni właściciele mogą udowodnić swe prawa własności, więc zostanie do zapłacenia, jak wyliczył autor projektu, 110-130 mld złotych. Gdzie się tylko da – w naturze, tyle tylko że chłopów nie będzie można ruszyć. (Profesor Akademii Teologicznej w Krakowie, Karol Tarnowski opłakuje w związku z tym w *Gazecie Wyborczej* los ziemian, których dworki i dwory były wszak ostoją polskości...) Łaszkiewicz popędza rząd i parlament, żeby zwracać jak najszybciej, bo tymczasem z każdym rokiem narastają sumy utraconych korzyści... Ministerstwo wyliczyło nawet dla przykładu, że za 100 metrowe mieszkanie w Śródmieściu Warszawy „utracone na mocy dekretu PKWN w 1945 r." – takie korzyści wynoszą dziś 2.916.000 zł. I tak dalej. Ministerstwo straszy nadto własny rząd (i prasę), że dawni właściciele wyprocesują swe „należności" w Strasburgu. Wobec tego trzeba jak najszybciej przyjąć ustawę, która zakłada „opcję zerową": nie będzie się liczyć utraconych korzyści, a państwo nie będzie dochodzić, jakie zobowiązania ciążyły na własności w 1945 r. i w jakim

była ona stanie. Marszałek Płażyński zwołał nawet w Sejmie w związku z projektem Łaszkiewicza uroczystą konferencję byłych właścicieli. Poseł Bronisław Komorowski, który brylował tam wśród innych parlamentarzystów AWS, wyjaśnił mi, że reprywatyzacja, poza sprawiedliwością dziejową, służyć powinna uszlachetnieniu (i uszlachceniu?) składu polskiej klasy posiadaczy, zbytnio dziś nomenklaturowej i plebejskiej.

Wielka to myśl strategiczna, ale, jak widać, Komorowski tak samo nie ma pieniędzy, jak burmistrz napoleoński armat*.

I co z powszechnym uwłaszczeniem?

Drobnym przyczynkiem do tego ewangelicznego programu nakarmienia całej wsi jednym bochenkiem, może być najnowsza awantura w związku z prywatyzacją Telekomunikacji Polskiej. Pracownicy TPSA dostają 15% akcji. Ale pracownicy Poczty Polskiej SA, którą przed kilku laty oddzielono od telefonów, nie dostają nic. Wobec tego pocztowcy zapowiadają strajk, bo przecież też pracowali na sprzedawaną teraz Telekomunikację. Zatem dystrybucja 15% akcji obejmie także pocztowców. Hola, krzyczą telefoniści, to dla nas będzie mniej! Strajk. Oba strajki zapowiadają związkowcy z Solidarności.

I co tu mówić o solidaryzmie, kiedy w kraju panuje żelazne prawo kapitalizmu: co twoje to moje, a co moje, tego nie rusz.

4.

Opozycja zachowuje się wobec tego rozwoju konfliktów koalicyjnych bardzo powściągliwie.

PSL w sojuszu z Unią Pracy powraca, wobec fatalnej sytuacji rynków rolnych – żywność u chłopa kosztuje znacznie mniej niż przed rokiem, mimo 10-procentowej inflacji – do roli partii klasowej. Nadzieje AWS na pozyskanie nowego sojusznika nie mogły się ziścić, bo nieudane głosowania w Sejmie nie przekonują PSL! W budżecie nie ma więcej pieniędzy na wsparcie rolnictwa i wieś przechodzi do opozycji. PSL będzie organizować protesty społeczne. Ale to już jest folklor, chyba że dojdzie do eskalacji.

* Kiedy indziej pisałem już dlaczego uważam reprywatyzację w 50 lat po fakcie za absurd społeczny, tutaj przedstawiam wyłącznie rachunek.

SLD czeka. Leszek Miller rzuca wprawdzie od czasu do czasu bojowo-ironiczne odzywki – „rząd, który nie ma poparcia w parlamencie, podaje się do dymisji" – ale faktycznie zachowuje się, jak czarownica z „Makbeta" nad garnkiem z trującym wywarem: zbiera argumenty na przyszłą kampanię. Natomiast tymczasem opozycja SLD nie stara się o jakąkolwiek inicjatywę. Ostatnią była walka o utrzymanie kilku województw, która istotnie opłaciła się niemal natychmiast: we wszystkich zachowanych w ten sposób województwach SLD odniósł wysokie zwycięstwo. Działacze SLD nie kryją, że spodziewają się po Nowym Roku nie byle jakiego bałaganu w związku z wejściem w życie reformy zdrowia i reformy administracyjnej. To, oczywiście, dobre prawo opozycji, ale przypomina żywienie się padliną.

Przypuszczam, że postawa SLD wiąże się z rosnącym zaabsorbowaniem wewnętrzną ewolucją własnej formacji. Leszek Miller (podobnie zresztą jak Krzaklewski w AWS) stara się przekształcić SLD w zwartą partię, wyprowadzając z niej OPZZ i ewentualnie inne organizacje afiliowane: innymi słowy, członkostwo indywidualne, ale nie zbiorowe, trochę na kształt reformy Labour Party przed kilkunastu laty. Nie wykluczone, że Miller nie chce znaleźć się w przyszłości w dzisiejszej sytuacji programowej AWS, obciążonej ideologią i interesami związku. Związki skupione przy SLD w miarę wymiany pokoleń będą się przecież wyzwalać od dawnej roli „transmisji".

Opozycja nie ma dziś żadnego interesu w prowokowaniu przedterminowych wyborów: kryzys gabinetowy, proszę bardzo, ale męczcie się sami. Stąd, jak można sądzić, całkowita zgodność ze sposobem, w jakim widzi kalendarz prezydent Kwaśniewski.

SLD nie zrobi nic, co by osłabiało szanse prezydenta na drugą kadencję.

Warszawa, 13 listopada

Krzysztof WOLICKI

PS.

Znamiennym, choć niepoważnym przyczynkiem do omawianych tu sporów, jest następujący tekst z rubryki

„Listy" w *Rzeczpospolitej* (pismo jest w 49% własnością rządu):

Mimika premiera

W ciągu jednego tygodnia, w numerach z 20, 23 i 27 października br., na str. 1 i 2 tak poważnego dziennika, jakim jest „Rzeczpospolita", opublikowano trzy zdjęcia premiera rządu RP Jerzego Buzka towarzyszące informacjom o ważnych wydarzeniach, w których premier osobiście uczestniczył.

Zdjęcia, o których mowa, dotyczyły przystąpienia Polski do NATO i w związku z tym reorganizacji polskich służb zbrojnych (20.10), szczytu premierów Polski, Czech i Węgier w Budapeszcie (23.10), inauguracji Studium Europy Wschodniej w Uniwersytecie Warszawskim (27.10).

Z przykrością stwierdzamy, że prezentują one postać premiera rządu RP w momentach specyficznie niekorzystnych, w których sytuacyjna mimika czy gest dezawuują powagę spraw.

Znając szczególną troskę redakcji o dbałość formy publikacji, wyrażamy zdziwienie, że mogło dojść do tak niefortunnego niedopatrzenia w trzech numerach dziennika.

Bartłomiej Pawlak
Dyrektor Centrum
Informacyjnego Rządu

Jest prawdą, że doradcy premiera wbili mu do głowy, iż trzeba się koniecznie uśmiechać, co daje czasem niefortunne efekty. Chyba jednak jeszcze o wiele gorsze skutki przynosi zatrudnienie Bartłomieja Pawlaka na stanowisku Dyrektora Centrum Informacyjnego Rządu: dzięki niemu premier się nie śmieje, lecz ośmiesza.

Z ukosa

Po lekturze *Kultury,* w której nie było mojego tekstu, zapewne poruszony własną dobrowolną nieobecnością, obarczony nagłym dystansem do pisma, które przecież traktuję jak rodzinę poruszyło mnie, że oto nawet beze mnie *Kultura* uparcie narzeka. Nie ma racji? Pewnie ma, ale, czy to wystarczające usprawiedliwienie? Nie jestem tak zarozumiały by uznać, że zaraziłem znakomity miesięcznik ową przypadłością. Moja osobista melancholia jak czarny kwiat od lat stoi w oknie *Kultury*, problem, że to okno jest oknem na już wolną Polskę, i nagle widzę, że stoi w nim kilka podobnych kwiatów. Posępna Ewa Berberyusz, Krzyś Wolicki obdarzony nie mniejszym niż mój malkontenckim organem, a nawet Redaktor jakże surowy w swoich notatkach, wszyscy moi wielcy i kulturalni sąsiedzi piszą podobnie ciemno. A tu na dodatek jesień za prawdziwymi oknami, mroczno i wilgotno. I cały mój kulturalny i niekulturalny organizm krzyczy: nie! Nie ten ton. A przynajmniej nie wszyscy w jednym chórze.

Jako, że obecny tekst zwieńczę świeżo odsłoniętym pomnikiem Marszałka, ośmielam się Piłsudskiego we wstępie zacytować. W roku 1924 po raz pierwszy mówił do radiowego mikrofonu, który jak zaraz ujrzymy uczynił nań wielkie wrażenie: „Stoję przed jakąś dziwaczną tubą i myślę, że głos mój ma się oddzielić ode mnie i pójść gdzieś w świat beze mnie, jego właściciela". Potem tej tubie przekazał bardzo aktualne dzisiaj słowa. „Witaliśmy Polskę odrodzoną nie dźwięcznym śmiechem odrodzenia, lecz jakimś kwasem śledzienników i jakąś zgryźliwością ludzi o chorych żołądkach. Więc głosem z trąby błagam: matki i ojcowie, gdy sami śmiać się nie możecie, w kąt rzućcie instrumenty pedagogiczne, gdy wesoły srebrny dzwonek śmiechu roześmianych buziaków dziecinnych w waszych domach się rozlega. Niech się śmieją polskie dzieci śmiechem odrodzenia, gdy wy tego nie umiecie!" Wielce słusznie, i nawet od razu mam ochotę zastąpić moje czarne pióro bardziej dziarskim piórem mego syna,

wątpię jednak czy znalazłby czas na pisanie, rozdarty między zabawą i nauką. I jak tu zaraz nie wypomnieć Marszałkowi, że potem jakże często było mu nie do śmiechu i sam ciągle narzekał na Polskę i Polaków z wielką klasą, celnie, ale marudził okropnie.

Podparty kosturem Piłsudskiego łatwiej się usprawiedliwię, że już po raz drugi z rzędu we wstępie swego tekstu serwuję przystawkę, „dosyć pesymizmu", by wkrótce podać na lodowym półmisku zestaw gorzkich ostryg ułożonych na lodowych kostkach. Od lat pracuję w słowie, w prywatnym wydziale policyjnym, który zajmuje się poszukiwaniem dziury w całym, nie stronię od sekcji zwłok polskich głupot, które częściej niż mi się wydaje są ogólnoludzkie. Zarazem jednak coraz wyraźniej widzę, że pod koniec wieku, podobnie jak na jego początku, Polskę trzeba przed nami bronić, przed pokoleniami skaleczonymi przez pokolenia klęski, a można u nas mówić o klątwie pokoleń. Z kilku bitew, które dzisiaj się u nas toczą, ważna jest walka o optymizm, lepszą ocenę samych siebie, o użytkowanie energii na organizowanie pracy zamiast na narzekanie. Polacy w ciągu ostatnich lat jojcząc, smęcąc, narzekając i partacząc, jednak zbudowali, jeśli nie cud gospodarczy to podwaliny nowoczesnego państwa. Bez względu jak dzisiaj krytycznie widzimy nasz kraj, jest w nim jednak coraz dostatniej, jaśniej, czyściej, grzeczniej. Nadal jednak nie jest oczywista odpowiedź, czy nam się uda, czy polska zbiorowa dusza nie ma jakiegoś zapętlenia, które spycha Polskę w kierunku drugorzędności. A ciało, czy nie ma zbyt wielu chorych miejsc, gniją wielkie połacie naszej prowincji, zalkoholizowane są fragmenty tkanki miejskiej. Nadal jest przewaga improwizacji nad organizacją. I to narzekanie, które ujawnia pewien rodzaj autodestrukcji. Kiedy stojąc w samochodowych korkach słucham w gadanym radiu INFO głosów setek dzwoniących słuchaczy, którzy komentują wszystkie ważne polskie problemy, uderza, jak jadowicie narzekają i chlaszczą własną społeczność. My chyba nie lubimy samych siebie. Jest za co się gniewać. Powinno się jednak na gwałt szukać u siebie i u innych pozytywnych miejsc, rozczulać je i pielęgnować jak kwiaty, krzewy i drzewa.

Czy wyjazdy krzepią? Zależy gdzie, z kim i jak często.

W ramach bodaj dwóch tygodni byłem w Stambule, w Sopocie i w Paryżu. I co? Nie mogę odpowiedzieć „nic". Refleksja, że nasz świat kurczy się i unifikuje jest banalna. Pustka, która wycieka ze szczelin rosnącego dobrobytu, bo nawet dosyć biedny Sopot i Stambuł dostatnieją, jest być może przede wszystkim moją pustką? A jednak faktem jest jakiś duchowy brak, wszędzie widzę ludzi zaplątanych w brak czasu, w nadmiar obowiązków i w jakieś wielkie zagonienie. A nad tą całą krzątaniną wisi wielki znak zapytania: „po co?" Tu zacytujmy Norwida: „Błogosławiony to czas, kiedy człowiek stał się cegiełką może – to jest, kiedy plan i ogół jest. Inaczej do czegóż dołożyć tę cegiełkę? Zawsze to będzie kupa cegieł". Norwid jednak nie znał systemów totalitarnych XX wieku, kiedy ludzie stawali się cegłami muru złowrogich dyktatur. Faktem jest, że dzisiaj żyjemy na kupie cegieł, wśród telewizorów, pralek, lodówek z telefonem komórkowym dyndającym u boku jak zewnętrzny wyrostek robaczkowy.

Co wydało mi się jeszcze bardziej identyczne w tych trzech miastach. Te same męskie gęby, które gapią się w telewizor, na te same piłkarskie mecze. (Istambuł opiszę w następnym tekście, jeśli mi do tego czasu nie zwiędnie). W pobliżu Sopotu hotel „Marina" a w nim okno z widokiem na ciemnoniebieski krajobraz Bałtyku. Wstyd, ale nie wierzyłem, że w Polsce może być okno z takim widokiem. Ilu takich okien nie znam? Potem podziwiam podziemia hotelu, pływam w basenie i prażę się w saunie, gdzie studiuję listy i wiersze Norwida, więc niedawny cytat nie był przypadkowy. Wypacam w saunie myśl, że to jest dla mnie najbardziej oryginalny artysta i śledziennik XIX wieku. Zgadzam się więc z Josipem Brodskim, który miał kiedyś powiedzieć, że właśnie Norwida uważa za najwybitniejszego poetę, piszącego we wszystkich językach jakie zna. Nagle widzę, że okładka książki zaczyna mi się skraplać, a okulary, których używam do czytania, parzą skronie. Czy uda mi się skroplić Norwida na użytek dokumentalnego filmu?

Paryż skroplił się sam i przez niemal cztery dni lało. To miasto już nie oszołamia mnie jak niegdyś. Słynny stadion Francji, gdzie rozegrano finał mistrzostw świata, jest kolejnym

pomnikiem klęski architektury końca wieku, cóż z tego, że imponującym. Przypomina wielki przyrząd stomatologiczny. A żywy Paryż jak każde współczesne miasto kończy się tam, gdzie wznosi się architektura ostatnich kilkunastu lat. Niemal słychać jak ucieka tlen z tkanki miasta. Za to wielkie bulwary są tłoczne, pełne barw i zapachów, wydają mi się tyleż efektowne co sztuczne. Młodzi ludzie, podobnie jak u nas zagubieni, jak nasi młodzi uzbrojeni w telefony komórkowe, jakby nieustannie i gorączkowo chcieli się połączyć z poczuciem sensu życia, ale nadaremno. Czy samotność, która ma więcej smaków i zapachów, jest łatwiejsza do zniesienia? Jestem tak krótko, mam więc prawo tylko zadawać naiwne pytania. Ciekawe, że polski mit Francji ze swoją napoleońską kulminacją, rozgoniony przez romantyków, a dzięki Żeromskiemu przeciągnięty przez pożogę drugiej wojny w głębiny PRL-u, zdechł dopiero w ogonie lat 70-tych. Napoleon jednak nadal maszeruje dziarsko w naszym hymnie, który brzmi przeraźliwie archaicznie, tak w treści jak i formie.

Największe wzruszenia w domu św. Kazimierza, gdzie dzisiaj jak w XIX wieku mieści się przytułek prowadzony przez polskie siostry, szarytki. Jesteśmy tu z kamerą by filmować ducha Norwida. Tak wiele, tak mało zmieniło się w tym świętym domu przez ponad wiek. W maleńkim pokoiku, gdzie przez sześć lat Norwid zjadał własną samotność, mieszka niemal stuletnia kobieta, była niania dzieci polskiej arystokracji. Jej łóżko wciśnięte we wnękę, zapewne tak samo jak łóżko Norwida. Ona, która śpi w miejscu snów jednego z najwybitniejszych artystów ubiegłego wieku, nie wie o Norwidzie nic. Ale czy inaczej jest w miejscu początków poety? Dwór podwarszawski w Laskowie-Głuchach. Właścicielką jest Karolina, córka Andrzeja Wajdy i Beaty Tyszkiewicz. Miła, kulturalna, ale mam wrażenie, że nie interesuje się zbytnio Norwidem, no chyba, że można na nim ciut zarobić. Ale widzę, że my wszyscy jesteśmy jak sępy, które żerują na nędzy Norwida, płacą nam, że mówimy o jego nieszczęściach. O tak, na Norwidzie można dzisiaj coś zarobić. Słyszę jak używając „macochy swojej – ironii" kpi z tej sytuacji. Pocieszyłby się, zagorzały papista, słysząc jak serdecznie cytuje go polski papież, ale częściej cytowali go kiedyś nasi komuniści, cytuje go nasza młoda demokracja, bo

nikt z piszących po polsku nie ma takiego uniwersalnego magazynu materiałów dla cytatów jak Norwid. Lecz paradoksalnie, jego myśl i sztuka są dzisiaj niemal równie słabo znane jak za życia. Siostry szarytki nie czytają Norwida, jak dla ich poprzedniczek, jest zbyt ciemny. Upierają się, że na strychu są popakowane rzeczy Norwida, mówią, „o jest dużo jego rzeczy", ale nie pokażą bo wszystko popakowane, jest remont. Odruchowo łapię się za głowę, by sobie uświadomić, że przecież nie pozostały rzeczy po Norwidzie, i to z powodu takiej samej niewiedzy i niekompetencji ówczesnych sióstr, jaką ukazują obecnie. XIX-wieczne szarytki mają wspaniałe usprawiedliwienie, w końcu Mickiewicz i Słowacki też nie rozumieli i nie cenili Norwida. A co zostawił po sobie zostało przez siostry rozdane lub spalone. Ile przepadło bezcennych rękopisów, pięknych rysunków? Stoję w Jego oknie, patrzę na jedno skrzydło domu św. Kazimierza i myślę, że to smutne skrzydło miał Norwid przed oczyma przez sześć lat, to był dla niego krajobraz samotności. W dole ogródek, zapewne też podobny. Z powodu remontu, jest bałagan, krzesła, biureczka, walizki, wszystko ostatecznie mięknie na deszczu, takie wielkie wybebeszenie, co uautentycznia to miejsce, bo czas wybebeszania i przeprowadzki wydaje się być zawsze taki sam. Widzę Norwida, jak o godzinie trzeciej 9 lutego 1877 „z miną bardzo smętną i przygnębioną" przybywa do Ivry i zajmuje swoją malutką celkę zakładową. Ostatnie słowa ostatniego jego listu „Cyprian Norwid zasłużył na dwie rzeczy od Społeczeństwa Polskiego: to jest, ażeby oneż społeczeństwo nie było dlań obce i nieprzyjazne". Kiedy czytam, czuję, że jeden z kotów staruszki ociera się o moją nogę, jakby dawał mi dyskretny znak. Ówczesna przełożona zakładu, Teofila Mikułowska, napisze w swoim liście „(...) biedny Norwid, który więcej ze smutku, tęsknoty i zapomnienia o Nim wielu osób, które on w sercu nosił, przyprawiły go o melancholię, która na koniec śmierć przyniosła, do czego jeszcze przyczyniła się zupełna głuchota. To odosobniło go jeszcze więcej od całego świata. (...) Dumał, często płakał, ale nigdy nie wynurzał się przed nikim z uczuciami serca swego, i zdaje mi się, że to Go dobiło...". Odchodzę od okna bo jest godzina czwarta, za chwilę na parapet zleci się stado wróbli, które staruszka punktualnie

karmi. Jest bez wątpienia szczęśliwa, ma tylko jeden wielki problem, gołębie, które wyjadają pokarm wróblom, toczy z nimi swoje małe wojny.

Norwid fascynuje mnie, to jednak rzadki przypadek artysty i myśliciela, który tak wyprzedził swój czas, że czas, który nigdy tego nie wybacza, zniszczył go. Sam gdzieś napisał, jak zwykle trafnie: „Dzisiejszej Polski obywatelem nie jestem, tylko trochę – przeszłej i dużo przyszłej". Był jak przybysz z innego czasu, czyli z innej planety. A poza tym, był, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, autodestruktywny. Rozdarty między poczuciem niższości, a poczuciem wyższości, pokorą i pychą, dzisiaj wiemy, że te dwa uczucia są zrośnięte głowami. „Czarna nić", która będzie mu wszędzie towarzyszyć, o której napisał genialny wiersz, to była jakaś forma depresji. Teraz posłano by go, kto wie, do psychoterapeuty i potem nic by nie napisał, a może o wiele więcej? Obecnie, gdy traci na wadze romantyczne czucie, ten poeta, który jednak nie jest romantykiem, bo romantyzm przezwyciężył, zyskuje na wadze. Nadal jest niepokojąco aktualna jego krytyka naszych wad narodowych, a też trafne i przenikliwe uwagi na temat diabła kapitalizmu. „Sukces bożkiem jest dziś... ustąpiło mu nawet zwycięstwo". Czyż nie? Ten poeta i myśliciel, nie starzeje się, ciągle dojrzewa. Jego listy są ciekawsze od listów Mickiewicza, również dlatego, że Mickiewicz realizował się w życiu, a Norwid nie. Te listy są moim zdaniem, najbardziej wstrząsającym świadectwem osobistym i intelektualnym w całej polskiej epistolarnej spuściźnie.

W Warszawie spotykam się z Juliuszem Gomulickim. Gdy czyta się Norwida cień tego wybitnego Sherlocka Holmesa naszej literatury staje zawsze obok. Idąc śladami swego ojca, jak ja nieporadnie śladami swego, opisał i wyjaśnił tego pisarza, oskarżanego zawsze o ciemność, niemal do końca. Gomulicki od lat nie pokazuje się publicznie, nie ma na to ochoty. Czy dlatego, że nie za bardzo mu się podoba Polska końca wieku? Ma zaledwie 90 lat i jest w świetnej formie, patrzę na niego, myślę, że chciałbym być tak pełen wigoru. Śmieje się – „wszyscy Panie są pewni, że ja umarłem, a ja, proszę popatrzeć, jestem w świetnej formie". To szczera prawda. Jest jednym z wiernych czytelników

Kultury, więc chociaż spotykam go po raz pierwszy, znamy się od lat. Uczę się od jakiegoś czasu Norwida, a jego wiersze czytam systematycznie od wczesnej młodości, kiedy jednak jestem z Gomulickim nie czuję upokorzenia, tylko pokorę, bo wiem, że nie wiem o Norwidzie prawie nic. Czy jest grzechem, że nie napisał wielkiej biografii Norwida? „Jeszcze napiszę" odgraża się. A ja myślę, że nie. I to nie ze względu na wiek, a dlatego, że On wie o Norwidzie za dużo. A taka wiedza równie paraliżuje jak całkowita niewiedza. Zresztą te wszystkie jego wstępy, objaśnienia, przypisy, to gigantyczna znakomita praca i rzetelna zastępcza biografia. I spójrzmy prawdzie w polskie oczy: Krasiński, Słowacki też nie mają rzetelnej biografii. Polska, gdzie jak mawiał uparcie Norwid: „każdy czyn za wcześnie, a książka za późno".

Podoba mi się polityczna pasja Gomulickiego, i że gniewa się na te same polskie przywary co ja. Opowiada, że jak dzisiaj pamięta, gdy stał dzieckiem w Alei Szucha, w tłumie który wył, rzucał kamieniami i pacynkami błota w jadący samochód prezydenta Gabriela Narutowicza. Wkrótce potem padł strzał. Od tego czasu nie znosi tego, co jest w Polsce endekoidalne, co tworzy ten polski splot katolicko-narodowo-prawicowy. I to nasz kolejny mocny punkt porozumienia. Jego ojciec był drugim po Miriamie wielkim odkrywcą Norwida, mój też kochał Norwida, napisał piękną o nim eseistyczną książkę „Gwieździsty diament". Nic dziwnego, że byli z Gomulickim w przyjaźni, aż do chwili gdy pewnego dnia pokłócili się, raz na zawsze. O Norwida. Gdyby awantura miała miejsce w wieku XIX spór zapewne skończyłby się pojedynkiem. Gomulicki twierdził, że „Kwiaty zła" Baudelaira wpłynęły na Norwida. Ojciec upierał się, że nie. Takie to były spory w tych archaicznych czasach.

Przybywa do mnie X. dawny mój przyjaciel. Nasze drogi rozeszły się, on poszedł drogą wiary, a ja bez-wiary. Rozmawiamy ale ostrożnie, jakbyśmy siedząc obok siebie rzucali sobie jajko z ręki do ręki. On związał się z Kościołem, ceni sobie kazania prymasa Glempa, i nie może się nadziwić, że nie tylko ja mam zastrzeżenia do poziomu umysłowego księdza prymasa. Boli go, że używam słowa endecja i neoendecja jako synonimu pewnego umysłowego ograniczenia lub nawet

choroby. Obserwuję, że nawet u niego, człowieka błyskotliwie inteligentnego, tworzy się polski splot. Katolicyzm, jak kołdra staje się cieplarnią dla myślenia w kategoriach rodzinno-narodowych. Czułym okiem poczyna studiować pisma Dmowskiego. Znam go jednak na tyle dobrze, że wiem, że gdy zbliży się do rodziny narodowej, poczuje nieprzyjemny zapach i ujrzy siermiężną ksenofobiczność tego stada. Więc ucieknie, aby być samotnym, podwójnie.

Wchodzimy w wiek chorób. Miał poważne trzęsienie ziemi organizmu, wyglądało to niemal ostatecznie. I widzę w nim smugę tego doświadczenia. Utalentowany naukowiec, obarczony jednak liczną rodziną, nie daje sobie finansowo rady i ma poczucie, że już dobrnął do kresu. Opowiada jak w mieszkaniu wszystko się sypie, klepki niemal w komplecie odeszły od posadzki. Tak samo ma poczucie odklejania się materii jego życia od ducha. Teraz w desperacji szuka jakiegoś ratunku, nie chce jednak rezygnować ze swojej pasji. Nie potrafię mu wskazać dobrego wyjścia, bo go nie ma. Ja sam poszedłem drogą pośrednią i rozmieniam się na drobne.

Wszędzie wokół widzę ludzi, którzy się szarpią między swoimi prawdziwymi pasjami, wiedzą, a koniecznością przeżycia. I to drugie zwykle wygrywa. Niepokoi skala tego zjawiska. A choroby realne? Jestem takim hipochondrykiem, że wpadam w panikę, gdy dzwoni telefon, a w słuchawce słyszę kobiecy głos – „dzwonię z gabinetu dyrektora szpitala onkologicznego". Myśl jak błyskawica... „chcą mnie powiadomić, że mam raka". Po czym chwila trzeźwej refleksji: „dlaczego na Boga dzwonią tak z góry?" Odpowiedź przychodzi po sekundzie, jak grzmot. „Zapewne dlatego, że sprawa jest beznadziejna". A tu w słuchawce tylko głos prof. V., który przybył ze Szwajcarii, i chce się ze mną spotkać. Oddycham z ulgą.

Nie było mnie w Polsce podczas samorządowych wyborów. Nie miałem jednak poczucia grzechu postawy nieobywatelskiej. Tuż przed wyborami obwoziłem po Warszawie znanego architekta z Jerozolimy. Patrząc na koronki Pałacu Kultury, rzucił wojskową komendę: odstrzelić! – a jest kapitanem armii. Nagle czuję, że własną piersią jestem gotów bronić koronek. To gmaszysko-straszydło jest być może pomnikiem diabła, ale cenię takie pomniki w tym mieście, bez

smaku i wyrazu. Nie możemy wejść w konflikt, bo jego uwagę odwracają plakaty wyborcze Unii Wolności, na których domalowano pracowicie gwiazdy Dawida. „Co to właściwie znaczy?" – pyta mnie serdecznie zdziwiony. Ja pewnie byłbym równie zdziwiony widząc w Jerozolimie domalowane polskie orły w koronie na plakatach izraelskich polityków. Nie czuję się na siłach by to osobliwe zjawisko wyjaśnić.

Nieżyczliwy powie, że SLD i AWS zgodnie z oczekiwaniami podzieliły się łupami. Życzliwy powie, że szczególnie na prowincji głosowano bardziej na ludzi, mniej na barwy partii politycznych i że o to właśnie chodziło. Smuci zły wynik Unii Wolności, bo oto znowu przegrywa środek. Winę zwala się na Balcerowicza, że ideę podatku liniowego i zniesienie ulg budowlanych ogłosił niezręcznie tuż przed wyborami. I przeraził naród, który jest na dorobku. Balcerowicz, to prawda, jest zbyt sztywny, czasami dogmatyczny, ale dzięki temu potrafi tak wytrwale walczyć o swoje wizje, przede wszystkim je ma. Niemal wszyscy nasi politycy są jak meduzy, kołyszą się na falach partyjnych urojeń, a czasami rozmazują się jak premier Buzek, najbardziej miły, uczciwy i rozmazany premier jakiego można sobie wyobrazić.

Wzrusza jak dwaj wygrani pertraktują z „Przymierzem Społecznym", które okazuje się języczkiem u wagi, w jego skład wchodzi dziwny melanż PSL, Unia Pracy i Partia emerytów, ta czerwonawa. Unia Pracy tym aliansem skompromitowała się do końca, partia, która miała dać nam szansę na stworzenie prawdziwej socjaldemokracji, idzie w alians z chłopskimi populistami i emerytami. Ale Aleksander Małachowski jak zawsze dumny, poucza, moralizuje, stojąc dzisiaj na jednej ambonie w takim, pożal się Boże, towarzystwie.

Dzwonię do kilku znajomych gdzieś na południe Polski, są związani z Unią i w rozpaczy. Przegrana Unii to przegrana centrum. Wszystko dostaje się w ręce dwóch przeciwstawnych ugrupowań, czyli nie w ręce zdrowego rozsądku. Ale mamy wielką pociechę, ugrupowania popierane przez Radio Maryja poniosły całkowitą klęskę. Potwierdza się, że paranoja tej rozgłośni i miliony ich słuchaczy, to jedynie amorficzny, gąbczasty twór, który niemal w całości zbudowany jest z otworu gębowego.

Znowu Święto Zmarłych. Przybysz z innego kraju będzie głęboko poruszony, jeśli w ten ulewny, zimny dzień zaciśnie zęby i mimo wszystko wyjdzie z domu, by dotrzeć na polskie małe i duże cmentarze. Ujrzy mokre, zmarznięte, ale heroiczne ludzkie rzesze, które zgrabiałymi dłońmi czyszczą groby z liści i na morderczym dla ognia wietrze zapalają znicze, brodzą po kolana w wodzie i w błocie. Pewna grupa tych szturmujących cmentarze już na nich zostanie, bo wielka jest liczba śmiertelnych ofiar wypadków samochodowych tego dnia. Przybysz z innego kraju zaduma się, co za dziwny wzruszający naród, który tak celebruje śmierć i pamięć o swych bliskich, gdy inne nacje od tej pamięci uciekają. Gdyby jednak tego samego dnia, choćby wieczorem, nasz zmarznięty gość na skutek fatalnych okoliczności trafił do polskiego szpitala, zaduma się jeszcze bardziej. Ujrzy ludzi, którzy wkrótce znajdą się na cmentarzu, ale jeszcze żyją, umierają na korytarzach, za parawanem lub bez parawanu, samotni ostatecznie i podwójnie. Pielęgniarki nie wiedzą jak się zachować w sytuacjach ostatecznych, za to wiedzą salowe, które jak sępy biorą ostatnie pieniądze od umierających. Bliscy zmarłych zostaną brutalnie powiadomieni o zgonie, potem wydani na łup zachłannej szpitalnej obsługi i bezduszne procedury prawne. Jest w tym lekceważenie i pogarda dla śmierci, przecież tak celebrowanej gdy się uleży. Gdzieś w tej czułości dla cmentarzy i umierających, jest jeden z polskich paradoksów, łagodne mazowieckie okrucieństwo, które ma oczy krowy, patrzącej na świeże pole bitwy obojętnymi wielkimi oczyma i odwiecznie skubiącej słowiańską trawę.

Nadal improwizacja góruje u nas nad organizacją. Ilość pracy, krzątaniny, którą trzeba w tej sytuacji wydatkować, jest podwójna. Ale ludzie zaczęli już ostro pracować, więc idziemy do przodu, bałaganiarsko, tracąc tyle energii, ale idziemy. Moja młoda znajoma pracuje jako dziennikarka w znanym programie telewizyjnym. Miała bojowe zadanie dawać łapówki różnym ludziom, co było filmowane ukrytą kamerą. Policjant, urzędnik, lekarz itd., czyli różne zawody oparte na zasadach i uczciwości. Brali wszyscy! Najbardziej wstrząsnęła dziewczyną nie tyle kompletność zjawiska, ale łatwość i naturalność z jaką ci ludzie brali. Jakby to był odruch pokrewny przełykaniu

śliny. Pamiętam dozorczynię z mojego rodzinnego domu na Iwickiej. Kiedy otwierała zamykaną na noc bramę, zaspana, nieprzytomna, miała zawsze nadstawioną z boku dłoń na te kilka złotych, a ta dłoń była jak trzecia ręka. Spora część naszej ludności posiada tę trzecią, przykurczoną dłoń.

Co najbardziej mnie porusza u siebie i u ludzi niegdyś mi bliskich, którzy dzisiaj oddalili się, bo lata nas oddaliły i pogrubiły, bo nie mamy czasu na spotkanie, biegniemy, ale bynajmniej nie chudnąc. Niemal każdy ciągnie po kilka wozów na raz, często partoląc, bo nie da się uczciwie pociągnąć kilku ciężarów. Rezygnujemy ze spraw poważnych, na rzecz drobnicy, bo tak łatwiej przeżyć. Utrzymanie kontaktu załatwiamy przez telefon. Rozmawiając, używamy przenośnych słuchawek, podczas rozmowy robimy sobie kanapki, jemy, zmywamy naczynia, by nie tracić zbyt wiele czasu. Obserwuję w swoim dawnym środowisku niemal zanik bezinteresownych spotkań towarzyskich. Spotykamy się czasami na promocjach książek, na wernisażach, premierach, częściej chodzimy tam z musu niż dla przyjemności. I przecież na wernisażach nie widać obrazów, tylko plecy ludzi, a na promocjach książki są martwe. Przy spotkaniach wszyscy narzekają na nadmiar zajęć, na zagonienie, czy nawet zaszczucie. Pół żartem pół serio jak często przy pospiesznych spotkaniach mówimy – komunizm był okropny, ale mieliśmy czas, a czas dawał nam przestrzeń, by celebrować wzajemne kontakty, przyjaźnie. A czy jest coś ważniejszego? O ileż więcej było bezinteresowności, a szelest pieniędzy nie był gorączkowy. Właściwie życie miało wtedy więcej smaku, może mniej barw, ale smaku więcej.

Za jakiś czas zaczniemy spotykać się na pogrzebach. Chociaż zapewne, przynajmniej niektórym z nas uda się dożyć pogrzebów internetowych. Żegnajcie wtedy żywe cmentarze ze swoją wilgocią i błotem. Siedząc ciepło przy komputerze, uczestniczyć będziemy w uroczystości, składając internetowe róże. Będzie też można na specjalne życzenie obejrzeć sobie symulację własnego pogrzebu, i w nim uczestniczyć, o czym marzył nie tylko Leśmian.

„Niespodziewanie AWS głosuje przeciw swojemu rządowi w sprawie podatków", krzyczą gazety. Czy rzeczywiście niespodziewanie? Katastrofa czaiła się od dawna. Skłócony rząd

znowu otarł się o górę lodową. Nie pójdzie jednak na dno, nabierze wody i będzie płynąć, tylko wolniej. Zbyt wiele jest jeszcze miodu i konfitur w słoikach władzy. I nie ma z kim tworzyć nowego rządu. Prorodzinność od dawna pachniała kryzysem rządowym. Gotowy budżet nagle został roztrzaskany przez żądania AWS-u ulg dla wielodzietnych rodzin i przywilejów dla związków zawodowych. Premier Buzek i część wysokich dygnitarzy AWS-u głosowała za budżetem. „AWS głosuje nie tylko przeciwko własnemu rządowi, ale też przeciw własnemu premierowi", krzyczy wicepremier Balcerowicz. Oglądam w telewizji z rozbawieniem kłótnię dwóch znanych działaczy AWS-u i UW, spierają się przy całkowicie niekompetentnej i szczeniackiej asyście dziennikarza, nawet jeśli to jest kabaret, dziennikarz nie powinien być błaznem, wystarczy, że wygłupiają się politycy. Na pytanie skąd wziąć 600 ml zł na załatanie dziury, którą tworzą w budżecie ulgi prorodzinne, AWS nie potrafi znaleźć odpowiedzi. Więc wypominają koalicjantowi, że odreagowuje klęskę wyborów samorządowych. Postkomuniści stoją z boku i uśmiechają się ironicznie. Prawdziwy jednak, głęboki problem tkwi w myśleniu sporej części formacji prawicowej. Jest to myślenie, gdzie ideologia, resentymenty są silniejsze od racji ekonomicznych, ale równie często zdarza się chyba rzetelny cynizm i schlebianie gustom wyborców bez oglądania się na racje ekonomiczne. Niech się wali budżet, byle Polska była dzietna i krzepko-narodowa. Unia Wolności jest też podzielona. Winą obarcza Leszka Balcerowicza, gdy właśnie wokół niego powinni się gromadzić ludzie z Unii, którzy chcą by ta partia miała wyraźny wizerunek. Problem jest ze sztywnością Balcerowicza, stanowczość nie musi być sztywna, a już mi się wydawało, że się uelastycznił. Problem, że wyraźna liberalna Unia to taka, która bliska jest sercom inteligencji i klasy średniej, która jednak w Polsce stanowi znaczną mniejszość. Idąc więc za głosem rozsądku i sumienia, przegrywać będzie jak przegrała wybory samorządowe. Zabawne, że oba ugrupowania AWS i Unia są atakowane od środka przez swoje skrajne skrzydła, że zdradzają swoje ideały, że idą na zgniłe kompromisy z koalicjantem. Obu partiom wydaje się, że sprzedały swoją duszę. I kto wie, czy nie ma w tym skrawka prawdy. Pytanie, czy obie te formacje mają wyraźną duszę?

Gorszące kłótnie ujawniają niezwykle silną, wzajemną niechęć i podejrzliwość, ale przyznajmy, że demonizacja jest wzajemna. Powodem tak silnych emocji bywa odmienna chemia psychiczna. Spora część posłów AWS-u to typ psychofizyczny, który choćby na mnie działa jak płachta na byka. Jak ich słucham, pochylam agresywnie głowę... Efektem sporów są wymuszone przez okoliczności kompromisy, które zabierają dynamikę reformom. Koalicja przetrwała, bo w końcu zagłosowała przeciwko ustawie podatkowej, proponowanej przez własny rząd. Wracamy więc do systemu podatkowego, o którym wszyscy wiedzą, że jest zły. Już widać kształt beczki ze smołą, gdzie wleźli prawie wszyscy, którzy niedawno krzyczeli, że będą zmieniać, czyścić, wymiatać, reformować. Zaczął się totalitaryzm stagnacji, znane zjawisko, które czasami ma miejsce zaledwie po kilku miesiącach rządów. Ale Polska będzie iść do przodu, mimo wszystko, tylko ciut wolniej...

Tego kryzysowego dnia, jak na ironię, pod Belwederem odsłonięto pomnik Marszałka Piłsudskiego. Pod parasolami odsłaniał prezydent i córka Marszałka, było wielu dygnitarzy. Nazajutrz, gdy burza w politycznej szklance uspokoiła się, idę pod błyszczący nowością pomnik. I znowu ogarnia mnie listopadowy smutek, bo Warszawa ma kolejny kiepski pomnik (to bezprawna przeróbka kameralnej, przedwojennej rzeźby Stanisława Ostrowskiego). Za to piękny jest Belweder. Ten pomnik burzy harmonię magicznego miejsca, gdzie budynek zanurza się w parku. Żywy Marszałek był w harmonii z Belwederem, ale jego brązowa, monstrualnie powiększona 4,5-metrowa postać jest kpiną z dobrego smaku. Czasami boli, że los pokarał mnie zmysłem estetyki. Ze wszystkich wrażliwości, najczęściej zdarza się ludziom niewrażliwość, więc moje cierpienia są zapewne odosobnione. Gdy jednak przybyłem pod pomnik, może dzięki nocnej porze i wilgoci, zdało mi się, że świeży Marszałek (jak się spatynuje będzie odrobinę lepszy) ma pełną zdziwionej rozpaczy minę, że oto pod koniec tysiąclecia jego rugania Polski nadal są aktualne, aby przytoczyć tylko słowa łagodne, mówione bez bata i przekleństw". „PARĘ POKOLEŃ MINĄĆ MUSI ZANIM STWORZY SIĘ PAŃSTWOWA KULTURA POLSKA".

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Dylemat – robić zimową Olimpiadę w Zakopanem w roku 2006, czy nie robić – doskonale wyostrzają krańcowo różne postawy dwu protagonistów przedsięwzięcia – Adama Bachledy Curusia i Wojciecha Gąsienicy Byrcyna. Obaj ze znakomitych rodów górali zakopiańskich, o świetnej tradycji patriotycznej i góralskiej; obaj stosunkowo młodzi, obaj z wyższym wykształceniem (Byrcyn z doktoratem), obaj, co nie od rzeczy – bogaci z domu.

Curuś jest burmistrzem Zakopanego, Byrcyn – dyrektorem Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Curuś wyglądem przypomina Rudolfa Valentino. Byrcyn – poetę.

Curuś eksponuje siebie, co mu złośliwcy wytykają. Gdy w pełnej góralskiej gali towarzyszył krok w krok Ojcu Świętemu podczas jego pobytu w Zakopanem, żartowano: „kto to jest ten na biało obok burmistrza?"

Byrcyn cichy, niewysuwający się do przodu, mimo to czuje się w nim upartą siłę. Często, nieoczekiwanie, kończy zdanie po góralsku, co przydaje mu wdzięku.

Ludzie mówią, że niechęć między tymi dwoma, którzy znali się zapewne od dziecka, a i zapewne byli skuzynowani, jak to na Podhalu, ma swoje dziedziczne korzenie, przenoszone z ojca na syna.

Jednakże, to nie rodowa niechęć, ale wewnętrzna postawa waży na odmiennej wizji, jaką obaj prezentują wobec tego zakątka Polski, z którego pochodzą, a który bliski jest nam wszystkim jako miejsce nieodrodnie związane z naszą tożsamością kulturową. Bo przecież tak jak raz Polak musi pójść na Wawel, tak i raz musi pójść na Giewont, albo chociaż zobaczyć go na własne oczy.

Burmistrz Curuś za wszelką cenę chce Olimpiady. Nawiasem mówiąc, cena jaką my, podatnicy, musielibyśmy wnieść zaraz, na dzień dobry, to koszt wybudowania lotniska, autostrady i nowej trasy szybkiej kolei. Do tego już zobowiązał się rząd. A gdy do tego doliczyć olbrzymią kwotę budowy hal i obiektów olimpijskich, martwych po Igrzyskach – beknęlibyśmy zdrowo.

Burmistrz chce Olimpiady, choć Zakopane stoi na ostatnim miejscu spośród miast kandydatów – za Sionem, Klagenfurtem, Turynem, Popradem i Helsinkami. Chce, mimo że nasze Tatry, gdzie rozgrywać by się miały główne konkurencje, są wielkości średniej dolinki alpejskiej. Chce, mimo, negatywnej opinii międzynarodowego eksperta, Bernarda Russi, określającego trasę FIS-1, którą trzeba by na nowo uruchomić – jako nędzną, niewygodną i niebezpieczną; w czteroeuropejskiej skali – ostatnią, nawet w roku 2016 nie mającą szans. Nie mówiąc już o tym, że w tym celu musiano by wyciąć 22 ha chronionej kosówki, lasu limbowego i świerkowego. Tyle drzew, jakimi można by obsadzić drogę Zakopane – Kraków. A właśnie lasy stanowią unikalny element krajobrazu tatrzańskiego; zajmują 70% TPN.

Burmistrz chce Olimpiady, mimo że w rejonie Zakopanego, w Kościelisku i Bukowinie od stycznia do marca notorycznie brak wody w kranach, a na dośnieżanie narciarskich konkurencji czerpie się „gnojowicę"; wodę tak brudną, że śnieg ma kolor brązowy i jest pełen zarazków coli.

Chce tego, mimo że konieczne byłoby okaleczenie góry, stojącej w samym mieście, na Bystrem, Nosala, w celu poszerzenia tras. Po takim zabiegu Nosal by ołysiał, bo na nazbyt otwartej przestrzeni, reszty zniszczenia dokonałyby wiatrołomy.

Argumentem burmistrza jest słowo „rozwój". Rozwój, rozwój powtarza wielu zakopiańczyków, a ulice wyklejone są napisami: „Zakopane – miasto-kandydat 2006". Ludzie ogarnięci „rozwojem" nie przyjmują do wiadomości, że rozwój, czyli gwałtowna urbanizacja Zakopanego, byłaby zgubą nie tylko środowiska naturalnego, ale w dalszej konsekwencji zgubą dla stałych mieszkańców.

Wklęsła forma rowu podtatrzańskiego sprzyja akumulacji zanieczyszczeń pochodzących z kotłowni, palenisk domowych i silników samochodowych. Jadąc tu zakopianką mijaliśmy wielkie ciężarówki z węglem, śpieszące do Zakopanego. Przybywszy na miejsce, my, naiwne cepry, rozdziawiliśmy paszcze, chcąc nasycić się krystalicznym powietrzem, a wciągnęliśmy czad, gorszy niż w naszych zatrutych miastach.

My, czyli grupa dziennikarzy, obiecywaliśmy sobie wiele po tym spotkaniu. Zwolennicy dwu odmiennych koncepcji mieli w naszej obecności skrzyżować szpady w ich obronie. Niestety, burmistrz olał pismaków i nie przyszedł. Najpewniej w przekonaniu, że swoje i tak załatwi na wyższym szczeblu dowodzenia. Miał rację. Media, choć lata wolności mijają, nie stały się w naszej strefie czwartą władzą. Zmałpowaliśmy, co się dało z Zachodu, ale tej demokratycznej cechy – nie.

Burmistrz nie przyszedł i dlatego, że pewnie nie chciał zetknąć się ze swoim adwersarzem. Już raz, wcześniej, w czasie opracowywania wniosku do MKOL-u o kandydaturę Zakopanego, wyprosił dyrektora Parku za drzwi. „Nie pozwolił mi nawet zerknąć na mapę" – mówi Byrcyn. Bo to tajne.

Tajność wobec gospodarza terenów, gdzie rozgrywać się mają główne konkurencje? Dziwne. Niektórzy mówią, że wcale nie takie dziwne, bo mapy TPN-u zostały dla potrzeb MKOL-u z lekka sfałszowane...

Dyrektor TPN ma nas dla siebie na wyłączność. Może wyprostować to, co zostało skrzywione. Zwierza się, że poszedł podziękować Wisławie Szymborskiej za wsparcie, czyli złożenie podpisu, wraz z grupą ludzi kultury, przeciw Olimpiadzie w Zakopanem. „Proszę mi powiedzieć, chodzi tu wyłącznie o szmal i rozgłos?" – spytała. Odpowiedziałem – „ino."

Do głosowania za Olimpiadą poszło w Zakopanem 32% mieszkańców. Z tej liczby 82% było za, a 60% godziło się nawet na obciążenia finansowe. W przewidywaniu „szmalu", oczywiście.

Jesteśmy narodem spontanicznym i jak jakiś pomysł wbijemy sobie do głowy, rady nie ma. Nikt nie sięgnie do statystyk, żeby przekonać się, ile olimpijskich siedzib nie może wygrzebać się ze strat. Sama widziałam w Montrealu żałosny kikut niewykończonej śmiałej konstrukcji, za który miasto nie może wypłacić się projektantowi do dziś, choć minęło trzydzieści lat z okładem.

Słowo „Olimpiada" jest jak fetysz; wywołuje gigantomanię, a my w niej celujemy. Jest chorobą społeczną, z której nie leczą ani przemiany ustrojowe, ani wojny. Choroba dziedziczna, określana staropolskim „zastaw się, a postaw się".

Przedwojenny FIS, który okazał się fiaskiem, niczego nas

nie nauczył. Od tamtego czasu zdobyliśmy raptem dwa medale narciarskie, za to przybyły miliony turystów. Do trzydziestotysięcznego Zakopanego z okolicami przybywa rocznie około cztery i pół miliona ludzi. Proszę pomyśleć! Na ekstra trudne trasy, Orlą Perć czy Granaty, ludzie chodzą w korku.

Na Morskie Oko maszeruje się szosą dziesięć kilometrów czwórkami, jak wojsko. Mówi mi zastępca dyrektora Byrcyna, nadleśniczy Jan Chmiel, który nadzoruje wschodnią stronę Parku, że umocniono bariery nad taflą jeziora, żeby parcie nadchodzących nie zepchnęło pierwszej linii do wody.

Woda, choć przezroczysta, zawiera w głębi nie tylko pieniążki rzucane od wieków na szczęście, ale regularne śmieci. Nurkowie rokrocznie wyławiają ze środka stawu niezliczoną ilość puszek, wiadra, dziurawe miski. Najwidoczniej schroniska, służby WOP-u, pękające od śmieci, upłynniają po kryjomu część zawartości brudów w ten sposób.

Na Olimpiadę zjedzie lekko licząc 2300 zawodników, 1500 dziennikarzy oraz 15 tysięcy miłośników, z VIP-ami włącznie.

Owszem, na papieżu w czerwcu zebrało się blisko pół miliona, ale byli to pielgrzymi bez żadnych wymagań kwaterunkowych, a letni czas sprzyjał pogodą.

Olimpiada wymusi na Zakopanem urbanizację, a urbanizacja, powtarzam, to w pierwszym rzędzie grób tego miejsca jako symbolu naszej kulturowej tożsamości. Znam emigrantów, do których zresztą należy mój syn; ma w Ameryce wspaniałe, różnorodne góry, ale Tatry są pierwsze. „Już trzy lata nie widziałem naszej grani" – ubolewa...

– Więc gdy rozkręcimy tu Olimpiadę, czy będzie to dalej Zakopane, czy „Wykopane"? – zapytuje retorycznie dyrektor Byrcyn i wiedzie nas pod skocznię.

Najpiękniejsza na świecie, bo wtopiona we wzniesienie zalesionej Krokwi, nie jak inne, sterczące stalą i betonem w powietrze. Pod progiem lubi przechadzać się niedźwiedź, ma tu tereny gniazdowe ginący dziś u nas zupełnie głuszec. Wielki hałas towarzyszący otwarciu i zamknięciu Igrzysk, z fajerwerkami i petardami, byłby ich grobem. Można bowiem zabić Tatry hałasem, można brutalną wycinką lasu, można nadmiarem człowieka. Już teraz myśli się w Parku o kontrolowanej przepustowości turystów.

Wieczorem przy ognisku na polanie w głębokim lesie; opatuleni w gęstą, jesienną mgłę, słuchamy wspomnień dyrektora Byrcyna; mówi, jak pierwszy raz ojciec zabrał go na halę. Hala kwitła, schylał się i pokazywał chłopcu kwiaty. „Ojca już nie ma, a ja, gdy jestem tutaj, stale czuję jego pot..." Ojciec Wojciecha Byrcyna wydał parę tomików poezji; syn najwyraźniej odziedziczył jego skłonności.

– Więc jak będzie, panie dyrektorze – z rozmarzenia wyrywa go czyjeś pytanie – gdy zapadnie decyzja za Olimpiadą, przywiąże się pan do drzewa, czy poda do dymisji?

Niczego takiego nie zrobi. Jest urzędnikiem państwowym, a nienaruszalności Parku broni kilka ustaw, jakie w przypadku Olimpiady trzeby by złamać. Wierzy, że tak się nie stanie.

Ognisko przygasa, kiełbaski zjedzone, herbata z rumem z wielkich saganów wysączona do ostatniej kropli. Tylko kapela gra. Gra i śpiewa „kwartami" muzykę, jakiej słuchał Szymanowski, jaką słyszy się tutaj po lesie prawie co noc. „Góralu, czy ci nie żal..." – nieaktualne. Wykonują ją czasem na życzenie najstarszych ceprów...

W Zakopanem można by tyle zrobić bez Olimpiady! I trzeba, koniecznie trzeba.

Od dziecka przyjeżdżam do Zakopanego jak do domu, można powiedzieć, że tu wracam. Jak wielu z całej Polski. Pamiętam moment, kiedy jako trzylatka topiłam się w Jaszczurówce zimą w otwartym basenie wykorzystującym ciepłe źródła. Dziś, ciepło paruje w powietrze, a po basenie – śladu. Pamiętam, jak w latach pięćdziesiątych przeganiał mnie po Tatrach, ignorując ścieżki, pan w pumpach i tyrolskim kapeluszu, ówczesny dyrektor TPN-u, Marceli Marchlewski, nawiasem mówiąc, siostrzeniec Juliana. Nie mogłam za nim nadążyć, choć byłam młoda, a on wydawał mi się stary. Pamiętam przepyszny rosół z „okami" podawany przez Bronkę Polankównę, prowadzącą schronisko na Miętusiej. Jedliśmy go wśród płaskich kamieni, na których odpoczywały w słońcu wraz z nami nieruchome żmije. Dziś, żmije uciekły, a po schronisku nawet belka nie została.

Za to, na Równi Krupowej pobudowano gierkowskimi blokami Krupówki II. Równia Krupowa, z której – nie dam sobie powiedzieć – roztacza się najpiękniejszy widok na

panoramę Tatr, w razie Olimpiady znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie. Bo jak komuś strzeli do głowy wybudować na tej łące luksusowy hotel dla VIP-ów...?

„Image" burmistrza Adama Bachledy Curusia zapowiada człowieka energii, woli i czynu. Szkoda, że nie przekłada się on na mniej spektakularne, za to ważniejsze społecznie dokonania.

Infrastruktura nietknięta, chodniki kostropate, powietrze zatrute. Niecka zakopiańska, powtarzam, coraz szczelniej „trzyma" dym z kominów. Dlaczego przy tak ogromnym *prosperity* nie dało się całkowicie wyeliminować węgla na rzecz gazu? Nie dało się wyrychtować chodników? Nie zauważono, że na łeb dziewięćdziesięcioletniego wnuka Tytusa Chałubińskiego, Stefana, leje się woda z dziurawego dachu, w posesji tuż przy pomniku Sabały?

Wstyd, że miasto temu nie zaradziło, że nie stworzyło temu człowiekowi wygodnego zmierzchu życia.

Może za dużo wymagam? Wymagam wyobraźni na rzeczy nieefektowne, skromne, pragmatyczne, niewidoczne; wymagam nastawienia na „dobre uczynki". Ale czy nie po to jest samorząd?

Adam Bachleda Curuś nastawiony jest na akcyjność, jak wielu z nas. Dziedzictwo przeniesione podświadomie z poprzedniej epoki – a może nasz charakter narodowy? Jednostkowy czyn, akcja, zryw, widoczny na cały świat. To lubimy! Ale przy takim nastawieniu gubi się wszystko, co na dalszą metę buduje solidnie zagospodarowane państwo.

Jedynie prywaciarze wszelkiej maści potrafią w tej sytuacji znaleźć ofertę dla każdego i tylko za ich sprawą salon Zakopanego jest barwny i różnorodny.

Wracamy do Warszawy tak samo, jakeśmy przyjechali. Najpierw prywatną linią autobusową o swojskiej nazwie Szwagropol do Krakowa . Wiezie nas szybciej i taniej od deficytowego, bo państwowego, PKS-u.

Zakopianka po obu stronach gęsto i brzydko zabudowana pensjonatami o jednym zawołaniu „Zimmer frei!". Wrodzone góralom wyczucie architektury wyparowało wraz ze świeżym powietrzem, padło na ołtarzu zarobku. Dachy co prawda pochyłe, bo to w górach konieczność, ale proporcje domów zgubione, posztukowane pokoikami na wynajm, a

drzewo zastąpiła wykładzina z tańszego sztucznego tworzywa. Paskudztwo. Pole do działań miejskiego wydziału architektury; ale działań brak.

Po drodze mijamy liczne ciężarówki z węglem – jadą do Zakopanego kopcić. Smutny pejzaż. Ale przecież będziemy tu i tak wracać. Bo Zakopane i Tatry są jedne i jedyne.

Robimy głosowanie we własnym gronie: kto za Olimpiadą, a kto przeciw. Wynik: 13 przeciw, 4 – za.

W debacie telewizyjnej, do której zaproszono znacznie więcej działaczy sportowych niż ekologów, dominował tenor za Olimpiadą, ale dzwoniący do studia widzowie mieli zdanie przeciwne: na około 6 tysięcy telefonów – za, 9 tysięcy było przeciw. Ale czy ten zdrowy *vox populi* będzie się liczyć?

Pozostaje pociecha, że nam tej kandydatury nie dadzą.

●

No i miałam rację! 22 czerwca br. pisałam o najściu górników na stolicę. Przyjechali w eleganckich autokarach jak na wycieczkę, pohałasowali pod URM-em i Sejmem, poblokowali ulice dokumentnie i pojechali. Pisałam, że wrócą, że to nie koniec. No i wrócili. 22 października br. znów zalegli centrum Warszawy z petycjami, transparentami i okrzykami. Rząd wszystko obiecał. W przyszłym roku dostaną swoje miliardy i zabezpieczenia, o które im chodziło. Balcerowicz wyjmie z szuflady i da. Bo taniej wyjdzie zaspokajać ich do końca życia za darmochę, niż żeby fedrowali. Ale nie łudźmy się! Przyjadą znowu. Są jak rybak przychodzący do Złotej Rybki wciąż z nowymi żądaniami. Nienasyceni. A polska Złota Rybka jest cierpliwsza niż Puszkinowska. Naszym kosztem.

●

Boję się, że nas rządy AWS-u wykończą. Usta pełne szlachetnych frazesów i etosu, w czym wzorcowo celuje premier (byłby dobry jako prezydent o minimalnej władzy), a działania na wszystkich polach zmierzające do destrukcji i skłócenia społeczeństwa.

Nie mówiąc już o „zagarnianiu". Od pierwszego września, po cichu, najwyższe władze podniosły sobie gaże. Marszałek Sejmu i Senatu oraz premier będą zarabiać 9,4 tysiąca zł. (przeciętna pensja w budżetówce wynosi 1.150 zł). Do pensji dygnitarzy dochodzi samochód z kierowcą, telefon komórkowy, fundusz reprezentacyjny oraz premie kwartalne, których wysokość obejmuje tajemnica.

Długi czas myślałam, że sami się wykończą wewnętrznymi waśniami, podzielą i z hukiem rozlecą. Jednak nie. Dokąd więc się zwrócić? Głosowałam na Unię Wolności, jako na najmniejsze zło, ale ona zupełnie pogubiona. Balcerowicz, któremu należy sie Nobel za pierwszy ruch koła zamachowego wolnego rynku, teraz bez sensu namieszał z podatkami; niczego nie zwojował, a Unia straciła haniebnie w wyborach samorządowych.

Pytam – co więc mam zrobić? Znajomy powiedział mi, że w takich razach jego ojciec mawiał: „od tego, co robić, mam Piłsudskiego". A kogo dziś mamy?

27 października 1998r.

Ewa BERBERYUSZ

Sąsiedzi

Monologi polsko-niemieckie

Przegrane przez CDU/CSU oraz FDP wybory zmieniły nie tylko krajobraz polityczny w Republice Federalnej Niemiec, ale przyczyniły się również do oczyszczenia atmosfery w stosunkach między RFN a Polską i Republiką Czeską. Wraz z odejściem kanclerza zjednoczenia, zwolennika integracji europejskiej i szybkiego przystąpienia Polski do UE, Helmuta Kohla i objęciem tego stanowiska przez wolnego od sentymentów pragmatyka Gerharda Schrödera, nastąpiło przynajmniej chwilowe uspokojenie nastrojów, zaburzonych przez publiczne dyskusje na temat roszczeń wypędzonych. Schröder, który nigdy nie próbował uzyskać elektoratu tego spektrum politycznego i nie pozostawiał wątpliwości co do swego negatywnego nastawienia do działalności Związku Wypędzonych BdV i w rządzonym przez siebie landzie, obciął nawet dotacje na jego działalność i od razu też jednoznacznie podczas swej wizyty w Polsce wypowiedział się w tej kwestii.

O dużym znaczeniu zmiany na szczytach władzy w Niemczech także dla stosunków czesko-niemieckich w kontekście sporów o wypędzonych, świadczy wypowiedź doradcy Milosa Zemana z początku sierpnia br., czyli jeszcze przed wyborami w Niemczech, który powiedział otwarcie, że nie liczy się z możliwością zakończenia tego sporu za rządów Kohla, nie ukrywając, że rząd czeski stawia w tej kwestii na zwycięstwo SPD. Jeszcze przedtem liberalno-lewicowa gazeta *Pravo* z Pragi wyraziła poparcie i pochwaliła uchwałę polskiego Sejmu w odpowiedzi na uchwałę Bundestagu w sprawie praw własności wypędzonych Niemców z terenów należących obecnie do Polski, stwierdzając m.in: „Polski parlament jednoznacznie odrzucił majową Uchwałę Bundestagu, stwierdzającą że wypędzenia po wojnie były sprzeczne z prawem międzynarodowym. (...) Reakcja ta przychodzi późno, ale nie zmienia to w niczym faktu, że Polska wielkiemu sąsiadowi na zachodzie wyraźnie przedstawiła swe stanowisko co do często dwuznacznej polityki Niemiec. Nie było to po raz pierwszy: w odróżnieniu od Czech, Polska zawsze reprezentowała jedną linię, niezależnie od tego, kto rządzi. Jest to niezbywalne prawo każdego państwa, nawet jeśli oficjałowie w Bonn raz po raz wydają się być tym zaskoczeni".

Zaskoczeni a nawet przestraszeni łańcuchem reakcji po uchwałach obu parlamentów byli, jak się wydaje, także liczni dziennikarze, publicyści i komentatorzy niemieccy i polscy, uznając je „za poważne a niepotrzebne zadrażnienie i zagrożenie dla atmosfery w stosunkach polsko-niemieckich". Wielu z nich zgodnym chórem wyraziło przede wszystkim krytykę przesadzonej ich zdaniem reakcji strony polskiej, uznając że pominięcie milczeniem uchwały większości parlamentarnej w Bundestagu byłoby lepszym rozwiązaniem. Warszawski korespondent kilku gazet niemieckich Klaus Bachmann stwierdził w artykule „Pod presją obrońców ludu", przysłanym mi przez Redaktora Giedroycia, że reakcje w Polsce były znacznie ostrzejsze niż w Niemczech i dodał: „Więcej, wypowiedzi posłów CSU, kierownictwa Związku Wypędzonych i rezolucja Bundestagu stały się znane tylko na skutek reakcji w Polsce. Opinia publiczna w Niemczech była wręcz zdziwiona, że wywołały one w Polsce takie kontrowersje i protesty" (*Rzeczpospolita,* Opinie).

Pomijając to, że doprawdy nie wiem, co w tym dziwnego, że reakcje były ostrzejsze w Polsce niż w Niemczech, chcę zwrócić uwagę na pogląd Bachmanna, który wolałby widocznie, aby wiadomości te do Polski i do społeczeństwa niemieckiego nie dotarły i żeby polski parlament nie ustosunkowywał się do uchwał parlamentu niemieckiego w kwestiach bezpośrednio dotyczących Polski, a wtedy stosunki polsko-niemieckie byłyby nadal tak dobre, jak dotychczas. Dobre, pod warunkiem, że się nie mówi o tym, co w nich jeszcze niedobrego. Tego rodzaju myślenie występuje wśród wielu zwolenników i działaczy porozumienia niemiecko-polskiego zarówno w Niemczech jak i w Polsce. W ten sposób oficjal-

nym deklaracjom i zapewnieniom o przyjaźni i rozwoju dobrosąsiedzkich stosunków jeszcze przez następne lata towarzyszyć by mogły prowadzone na uboczu „niemiecko-polskie monologi" na temat tzw. drażliwych spraw, jak np. roszczeń majątkowych wypędzonych Niemców czy też odszkodowań dla polskich robotników przymusowych w III Rzeszy.

Od trudnej rzeczywistości Bachmann ucieka również, wymieniając rzekomych adresatów żądań wypędzonych i wysiedlonych i twierdząc, że „akcja wysyłania listów (przez wypędzonych z nowych landów – A.S.) zastrzegających sobie prawo do własności na byłych terenach niemieckich, wcale nie ma na celu pozbawiania Polaków ich własności, lecz udowodnienie rządowi i opinii publicznej w Niemczech, że wysiedleńcy i ich organizacje robili wszystko, co w ich mocy, podczas gdy rząd nie robił nic. Akcja nie służy więc do wymuszenia na Polsce odszkodowań lecz do wymuszenia większych niż dotąd świadczeń od własnego, niemieckiego rządu". Nie tylko Bachmanna chciałbym tu odesłać do broszury „Informationsdienst des Bundes der Vertriebenen – Vereinigte Landsmannschaften und Landesverbände" (nr 30, 24 lipca 1998), w której wyraźnie stwierdzono to, czemu przeczy Bachmann, tzn. podtrzymuje z całą mocą zasadność indywidualnych roszczeń majątkowych wypędzonych.

Jeszcze wyraźniej do kwestii tej BdV ustosunkowuje się w broszurce informacyjnej pt. „Prawo do ojczyzny i otwarte kwestie własnościowe w stosunkach niemiecko-polskich" (Recht auf die Heimat und offene Vermögensfragen im deutsch-polnischen Verhältnis) wydanej we wrześniu 1997 roku. Stwierdza się tam m.in.: „Akcje wywłaszczenia i wypędzenia podjęte przez Polskę pozbawiły wypędzonych wprawdzie rzeczywistej możliwości zawiadywania swymi majątkami, niemniej prawa własności, z powodu działań sprzecznych z prawem międzynarodowym, zostały zachowane. Tym samym wypędzeni względnie ich następcy lub spadkobiercy pozostają nadal właścicielami".

Ukoronowaniem wywodów Klausa Bachmanna jest stwierdzenie, że „Wzmożona aktywność Związku Wypędzonych może rzeczywiście utrudnić przystąpienie Polski do UE, ale nie ze względu na jego wpływ na niemiecką politykę zagraniczną lecz na reakcje w Polsce". Bachmann poucza

Polaków, jak mają postępować dla swego dobra, nie wyjaśnia jednak, na czym to utrudnienie miałoby polegać. Paternalistycznie traktuje też samych wypędzonych, mówiąc za nich, że nie chcą odzyskać oni swej byłej własności, tylko wymusić na rządzie niemieckim odszkodowania. Rozmawiałem kilkakrotnie z czołowymi przedstawicielami wypędzonych, m.in. Hupką, Czają, Wittmannem, a ostatnio z Eriką Steinbach, i wszyscy oni jednoznacznie stwierdzili, że kwestia odzyskania byłej własności i prawo powrotu do ojczyzny jest fundamentalnym żądaniem wypędzonych, i jak dotychczas nigdy nie odwołali tego stanowiska. Można ich za to krytykować lub nie, lecz nie wolno udawać, że tej kwestii nie ma.

Czy reakcja polskiego parlamentu była na wyrost, czy nie, można mieć swoje zdanie. Nie wolno jednak zapominać, że reakcja Sejmu nastąpiła nie na skutek ponowienia żądań wypędzonych. Te były znane od dziesiątków lat. Sejm udzielił natomiast odpowiedzi swemu równorzędnemu partnerowi czyli Bundestagowi, i za to nie można go przecież krytykować. Dzięki temu niejako już na przyszłość jednoznacznie zostało oficjalnie podkreślone polskie stanowisko w tej kwestii. Nie znaczy to, że nie może ono ulec modyfikacji czy nawet jakiejś dogłębniejszej zmianie. Interesujący artykuł na temat różnych możliwych scenariuszy rozwoju sytuacji w tym względzie opublikował w *Rzeczpospolitej* Jerzy W. Solecki. Ponieważ jest to jeden z rzadkich tego rodzaju polskich przyczynków w tej sprawie, pozwolę sobie zacytować nieco dłuższy fragment. Solecki pisze m.in.: „Wydaje się, że istnieją teoretycznie trzy możliwości:

– albo podmioty roszczące sobie prawo do nieruchomości, które stanowią ich własność lub do których mają prawo z tytułu dziedziczenia, zrezygnują z tych praw (tak zapewne postąpi wiele instytucji kościelnych i wspólnot religijnych, ale już dziś wiadomo, że nie wszystkie);

– albo zostaną one im zwrócone;

– albo prawa te zostaną zaspokojone w inny sposób: ta możliwość zakładałaby z kolei, że musiałby zostać utworzony fundusz, w którym można sobie wyobrazić, udział:

– państwa polskiego, które nie byłoby w stanie samo zaspokoić tych roszczeń, ale które nie może uchylić się od odpowiedzialności;

– państwa niemieckiego, które jako spadkobierca Trzeciej Rzeszy odpowiedzialnej za rozpętanie II wojny światowej, której skutkiem było owe wysiedlenie, nie powinno się również uchylać od takiego udziału;
– Unii Europejskiej zainteresowanej naszym do niej przystąpieniem, co oznacza wzrost jej potęgi oraz rozszerzenie wolnego i sprawiedliwego świata.

Bez zapewnienia pełnego przestrzegania i egzekucji prawa do własności, do Unii nie wejdziemy na pewno" (Jerzy W. Solecki, *Rzeczpospolita*, Opinie, 27 kwietnia 1998)

Nie wydaje mi się wprawdzie, że warunkiem przystąpienia Polski do UE będzie spełnienie żądań wypędzonych, gdyż te musiałyby być postawione przez rząd Republiki Federalnej, a na to się nie zanosi i nie było to też przedmiotem żądań ze strony rządu Helmuta Kohla. Niemniej sam fakt, że artykuł ten ukazał się w najbardziej bodajże miarodajnej gazecie w Polsce świadczy o tym, że ani szeroka opinia publiczna w Polsce ani środowiska polityczne nie obawiają się i nie muszą unikać dyskusji na temat tzw. trudnych spraw w stosunkach polsko-niemieckich. Na tym tle apel Klausa Bachmanna i innych publicystów tak polskich jak niemieckich o ich przemilczanie, jawi się jak pozostałość z czasów, kiedy cenzura w głowie miała stanowić sposób na traktowanie „kwestii niewygodnych". Liczne dyskusje i publikacje w Polsce autorstwa znanych historyków jak np. Włodzimierza Borodzieja, książki i artykuły o obozach koncentracyjnych dla niemieckiej ludności cywilnej w Polsce po zakończeniu wojny, wywołują wprawdzie ciągle jeszcze u wielu osób reakcje negatywne. Bez nich jednak nie jest możliwe całościowe spojrzenie na kwestie stosunków polsko-niemieckich.

Inną sprawą jest sposób, w jaki zagadnienia te przedstawiane są w mediach polskich i niemieckich. I tu rację ma Klaus Bachmann, pisząc o polskich narodowcach z ZChN, ziejących histerią antyniemiecką z pomocą Radia Maryja, o niektórych polskich politykach szukających elektoratu wśród osób niedoinformowanych i zaniepokojonych możliwością powrotu milionów byłych właścicieli i koniecznością oddania im zamieszkiwanych domów czy ziemi. Nie znaczy to jednak, że w Polsce w ogóle nie powinno się o tym pisać czy mówić

gwoli dobrych stosunków polsko-niemieckich. Trzeba tylko przy tym wskazywać na rzeczywiste proporcje, na wagę i znaczenie poszczególnych kwestii w danym kraju i dla danego rządu. Tylko wiedząc o sobie nawzajem, można prowadzić szczery dialog. Historycy, publicyści i dziennikarze mają wręcz obowiązek o tym informować. Pozwoli to uniknąć szerzenia mitów i propagowania półprawdy. Zadaniem polityków jest zaś wypracowanie rozwiązań dla konkretnych problemów oraz ustosunkowanie się do istotnych kwestii w stosunkach bilateralnych. Sądzę, że należała do nich także wspomniana uchwała Bundestagu, na którą odpowiedział polski Sejm, przyczyniając się do sprecyzowania stanowisk w tej kwestii przez ministra spraw zagranicznych Fischera i kanclerza Schrödera. Nie likwiduje to wprawdzie roszczeń BdV, jednak przesuwa je na inny poziom w stosunkach polsko-niemieckich.

Andrzej STACH

KOMITET KONSULTACYJNY PSL DS. ZIEM ZACHODNICH I PÓŁNOCNYCH FORUM OBYWATELSKIE PRZY PSL WE WROCŁAWIU

Wrocław, 26 października 1998r.

Redakcja *Kultury* w Paryżu
Redakcja *Gazety Wyborczej* w Warszawie

Szanowni Państwo,

I. Najpierw chcemy podziękować obu Redakcjom za przypomnienie kilku politycznych prawd oczywistych, związanych ze stanowiskiem wobec Związku Przesiedleńców (BdV) sformułowanym przez *Kulturę* (wrzesień 1998 r.) oraz

Gazetę Wyborczą (5 X 1998 r.). Mimo swojej oczywistości są one obecne w aktywności umysłowej i politycznej tylko znikomej ilościowo części polskiego establishmentu. Przytaczamy tu najważniejsze spośród tych prawd oczywistych, gdyż zasługują one na wielokrotne powtarzanie w celu utrwalenia ich w polskiej współczesnej kulturze politycznej:

1. Trzecia Rzesza Niemiecka ponosi pierwszoplanową odpowiedzialność za II wojnę światową i za wszystkie jej następstwa.

2. Wysiedleni Niemcy są w pierwszym rzędzie ofiarami Trzeciej Rzeszy i jej zbrodniczej polityki.

3. Polskie organa oficjalne nie powinny inicjować rozmów ze Związkiem Przesiedleńców (BdV).

4. Udział Polski w koalicji antyhitlerowskiej jest głównym tytułem państwa polskiego do jego obecnych granic na zachodzie i północy kraju.

5. Interesy narodowe współczesnych państw zachodnioeuropejskich są zasadniczą wytyczną ich polityki.

II. Następnie pragniemy sformułować pytania dotyczące niektórych elementów stanowiska *Kultury* wobec Związku Przesiedleńców (BdV), na które nie znajdujemy odpowiedzi w opublikowanym tekście:

1. Czy perfekcjonizm polityczny (dążenie do doprowadzenia do „doskonałości" stanu stosunków polsko-niemieckich), zawarty *implicite* w omawianym stanowisku *Kultury,* powinien być wytyczną racjonalnej narodowej polityki polskiej wobec Niemiec? (Aktualne stosunki francusko-niemieckie nie są również pozbawione innych „bolesnych" elementów, a nie zaleca się wobec nich przeprowadzenia jakiejś operacji perfekcjonistycznej).

2. Czy „syndrom wypędzonych", będący po przeszło pięćdziesięciu latach od zakończenia II wojny światowej – przejawem patologii z zakresu psychologii społecznej w RFN, powinien być przedmiotem zabiegów terapeutycznych ze strony polskiego społeczeństwa obywatelskiego? Czy nie ma ono ważniejszych problemów do rozwiązywania?

3. Czy „syndrom wypędzonych" nie jest celowo podtrzymywany w RFN środkami politycznymi i budżetowymi przez część tamtejszego establishmentu?

4. Czy jedynym realistycznym antidotum na „syndrom wypędzonych" nie byłaby konsekwentna polityka integracyjna rządu federalnego RFN, rządów krajów związkowych RFN oraz organizacji pozarządowych w RFN, ukierunkowana na „zakorzenienie" w ojczyźnie wszystkich grup ludności niemieckiej, które zostały przesiedlone do Niemiec w latach 1919-1998? (Niemcy wracają do Niemiec już co najmniej od czasów traktatu wersalskiego!) Czy część establishmentu RFN nie realizuje takiej rozsądnej polityki integracyjnej? Czy nie powinna ona spotkać się z politycznym poparciem strony polskiej ?

5. Czy nie należy przy rozpatrywaniu „syndromu wypędzonych" pamiętać o erudycyjnej książce prof. dra Krzysztofa Skubiszewskiego pt. „Przesiedlenia Niemców po II wojnie światowej", Warszawa, 1968 r., jak również o doświadczeniach greckich, tureckich i bułgarskich w dziedzinie masowych transferów ludnościowych po wojnach bałkańskich i po I wojnie światowej, oraz o problemie transferów ludnościowych po powstaniu niepodległych Indii i Pakistanu, etc.?

6. Czy jedną z najbardziej niebezpiecznych konsekwencji dla polskich interesów narodowych, związanych z perfekcjonistycznym podejściem *Kultury* do Związku Przesiedleńców (BdV), nie byłoby wzmocnienie oddziaływania różnorodnych niemieckich programów dezintegracyjnych, kierowanych na obszar świadomości politycznej i świadomości historycznej społeczeństwa polskich Ziem Zachodnich i Północnych. Niemieckie propagandowe programy dezintegracyjne skrótowo wyraża koncepcja „polskiego społeczeństwa przypadkowego" na Ziemiach Zachodnich i Północnych, głoszona przez Niemców w odpowiedzi na koncepcję „polskiego społeczeństwa Ziem Odzyskanych".

7. Czy na poziomie rządowej polityki polskiej, jak również na poziomie działań organizacji pozarządowych polskich, nie powinny być wymieniane informacje oraz konsultowane projekty wspólnych stanowisk polsko-czeskich wobec niektórych niemieckich roszczeń politycznych odnośnie Polski i Czech, a w przyszłości prawdopodobnie wobec Rosji, co uzasadniałoby wymianę informacji z Rosją na tematy dotyczące niemieckiej aktywności „ojczyźnianej" w Rosji (okręg kaliningradzki) i w Polsce.

8. Czy jest rozsądne dystansowanie się przez niektórych polskich autorów, zajmujących się analizą stosunków polsko-niemieckich, wobec decyzji aliantów o przesiedleniu Niemców, podjętej w Poczdamie 2 VIII 1945 r., zamiast przejawiania pełnej solidarności Polski z aliantami w tej dziedzinie? Nowe granice Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej nie miałyby sensu geopolitycznego, gdyby w tych granicach po stronie polskiej pozostała ludność niemiecka.

9. Czy nie należy w ramach inicjatywy obywatelskiej zaproponować Czechom i Rosjanom (i ewentualnie Ukraińcom), a ponadto Brytyjczykom i Amerykanom, utworzenie we Wrocławiu Instytutu Poczdamskiego, który prowadziłby badania naukowe nad sposobami utrwalenia porządku terytorialno-demograficznego i własnościowego, utworzonego na Konferencji Poczdamskiej 2 VIII 1945? Porządek ten został ustanowiony w interesie pokoju europejskiego, którego utrzymaniem są zainteresowane wymienione państwa.

III. Czy poniższe problemy z zakresu stosunków polsko-niemieckich nie są ważniejsze od „syndromu wypędzonych"? Są to następujące zagadnienia:

1. Jakie instytucjonalne formy powinny przybrać polskie prywatne roszczenia odszkodowawcze za szkody majątkowe i osobowe oraz roszczenia do zadośćuczynienia za krzywdy moralne doznane przez obywateli polskich w czasie od 1939 do 1945 r. ze strony bezprawnie działających różnorodnych niemieckich podmiotów prawnych (jednostkowych, zbiorowych i instytucjonalnych)? Wysokość tych roszczeń została oszacowana w znanych ekspertyzach prawno-międzynarodowych prof. dra Alfonsa Klafkowskiego z 1990 r. i 1991 r. na kwotę około pięćset miliardów marek niemieckich.

2. Jakimi środkami prawno-międzynarodowymi, istniejącymi w systemie prawnym Organizacji Narodów Zjednoczonych, będzie można doprowadzić do zatrzymania niemieckich tendencji do pokojowej zmiany stosunków własnościowych i stosunków demograficznych na polskich Ziemiach Odzyskanych. Jak wiadomo, Niemcy pragną najpierw zgermanizować własność nieruchomości na tych ziemiach i inną własność gospodarczą, a następnie strukturę ludnościową i kulturową, a w końcu stosunki polityczno-prawne, żeby

zdobyć w drodze ekspansji pokojowej to, co utracili w Poczdamie 2 VIII 1945 r.

3. Jakimi środkami prawno-międzynarodowymi z systemu prawa Organizacji Narodów Zjednoczonych wyeliminować niemiecką ingerencję w przekształcenie krajobrazu kulturowego (tkanki symbolicznej miast i wsi śląskich) na polskich Ziemiach Odzyskanych? Polska ma prawo, niezależnie od niemieckich programów kulturalnych, tworzyć własną narodową koncepcję zabudowy środowiska symbolicznego na tym terytorium i realizować ją, co wynika z suwerenności nad tym terytorium odzyskanej 2 VIII 1945 r. w Poczdamie. Ani właściciel, który odzyskał wcześniej utraconą posiadłość, ani ten, który ją nabył prawnie po raz pierwszy, nie jest obowiązany stosować się do wytycznych poprzedniego właściciela przy jej urządzaniu.

4. W jaki sposób przywrócić do języka polityków i historyków kategorię „polskie Ziemie Odzyskane w 1945 r.", jako jedną z kluczowych kategorii historii politycznej, analogiczną do kategorii „żydowskie Ziemie Odzyskane w 1948 r." ?

5. W jaki sposób kościelne obchody tysiącletniej rocznicy utworzenia podległych arcybiskupowi gnieźnieńskiemu biskupstw w Kołobrzegu, Poznaniu, Wrocławiu i Krakowie włączyć w uroczystości tysiącletniej rocznicy skonsolidowania państwa polskiego w dorzeczu Odry i Wisły (w konsekwencji utworzenia samodzielnej polskiej metropolii w roku 1000 w Gnieźnie) bez dezawuowania przedchrześcijańskiej polskiej państwowości i kultury na tym obszarze? W nauczaniu papieskim Jana Pawła II zostały dowartościowane tradycje przedchrześcijańskie narodu polskiego, uznane obok spuścizny judeo-chrześcijańskiej za korzenie kultury polskiej; vide: prace prof. dra Czesława Bartnika z KUL na temat teologii narodu polskiego.

Koordynator Komitetu Konsultacyjnego –
Władysław CHLEBOWSKI

Listy do Redaktora

Warszawa, 20 października 1998 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

z zainteresowaniem przeczytałem artykuł redakcyjny „Polska, Niemcy: co dalej", przedrukowany 5 b.m. przez *Gazetę Wyborczą*. Idea prowadzenia dialogu z przedstawicielami Związku Wypędzonych jest mi o tyle bliska, że kilka razy uczestniczyłem w podobnych rozmowach. Istotną część tego dialogu stanowić musi, jak słusznie twierdzi Redakcja, naukowe, obiektywne zbadanie losów ludności niemieckiej – dokładniej: ludności traktowanej przez władze jako niemiecka – w nowych granicach państwa polskiego po II wojnie światowej.

Miło mi poinformować Pana Redaktora, że proces ten trwa i jest już dość zaawansowany. W ostatnim czasie powstało sporo interesujących prac, pióra głównie polskich historyków; reprezentatywną prezentację stanu badań sprzed dwóch lat zawiera tom pod red. Artura Hajnicza i niżej podpisanego („Kompleks wypędzenia", Wydawnictwo Znak, Kraków 1998).

Ponadto, od maja 1997 r. trwają prace projektu pod kierownictwem prof. Hansa Lemberga z Uniwersytetu Filipa w Marburgu i moim. W ramach tego projektu sześcioro młodszych koleżanek i kolegów (mgr Ingo Eser z Marburga, dr Stanisław Jankowiak z Uniwersytetu Adama Mickiewicza, dr Jerzy Kochanowski z Uniwersytetu Warszawskiego, mgr Claudia Kraft z Marburga, mgr Katrin Steffen z Berlina, dr Witold Stankowski z Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy) przeprowadziło gruntowną kwerendę w polskich archiwach, w których przechowywane są akta dotyczące losów Niemców w Polsce po 1945 r. Celem projektu jest wydanie reprezentatywnego wyboru polskich źródeł, wytworzonych przez centralne i terenowe organy władzy państwowej (także przez wojsko, MO i UB), partie polityczne i organizacje społeczne, a obrazujących politykę wobec Niemców – od wypędzenia i wysiedlenia po polonizację pozostałych w kraju. W początku przyszłego roku w wydawnictwie złożony zostanie maszynopis – ok. 2500 stron dokumentów, komentarzy, przypisów etc.; Instytut Herdera w Marburgu próbuje zdobyć środki na tłumaczenie całości i sfinansowanie dwujęzycznego, polsko-niemieckiego wydania, wspólnie z wydawnictwem polskim. Ponadto, w 1999 r. ukaże się w serii zeszytów problemowych Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej znacznie skrócony wybór dokumentów na temat losów Niemców w Polsce w latach powojennych. Wydawnictwo to przeznaczone będzie dla nauczycieli polskich i niemieckich.

Projekt finansowany jest przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej i Fundację Roberta Boscha. Próby storpedowania pomysłu prof. Lemberga i mojego, by badania prowadzić wspólnie, w gronie niemieckich i polskich historyków, miały miejsce – nie tylko ze strony wspomnianych przez Redakcję polityków polskich. Z drugiej strony warto uzupełnić, że życzliwe zainteresowanie projektem przejawiała już kilkakrotnie *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, a Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie zasłużył się jako skuteczny pośrednik w trudnej fazie powstawania projektu.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Włodzimierz BORODZIEJ

●

Fribourg, 31.10.1998

Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem wystąpienie Pana w *Kulturze* nr 9/1998 na temat „Polska, Niemcy: co dalej?".

Pomysł dialogu jest świetny, ale należy wyraźnie określić, kto z kim powinien prowadzić dialog i jakie kwestie w nim uwzględnić.

Kto jest reprezentatywny dla niemieckiej ludności przesiedlonej? *Bund der Heimatvertiebenen* (Związek Wypędzo-

nych) był zawsze grupą skrajnie nacjonalistyczną, nazywaną przez większość Niemców *Berufsvertriebene Funktionäre*, tzn. zawodowi funkcjonariusze przesiedleńców. Są to ludzie, których kariery polityczne i osobiste interesy budowane są na tragedii polsko-niemieckiej. Reprezentatywność ich jest ograniczona do elementów skrajnych, ale na szczęście marginalnych w społeczeństwie niemieckim, które nie identyfikuje się z ich postawą. Dialog z nimi byłby więc barierą na drodze porozumienia z innymi grupami Niemców, którzy nie uważają Związku tego za reprezentatywny dla przesiedlonych.

Kto więc może być stroną dialogu?

Na pewno kościół ewangelicki, gdyż olbrzymia większość ludności niemieckiej to ewangelicy, a także partie polityczne, PEN-Kluby. W tych ugrupowaniach byli mieszkańcy ziem zachodnich są lepiej reprezentowani niż w *Bund der Heimatertriebenen* (Związek Wypędzonych z Ojczyzny).

Jakie kwestie powinny być przedmiotem dialogu?

1. Wysiedlenie Niemców nie było aktem izolowanym, ale końcem łańcucha wydarzeń. Pierwsze przesiedlenia rozpoczął rząd III Rzeszy w 1939 roku wysiedlając masowo Polaków i Żydów z Wielkopolski, Śląska itd. Następnie wywożono ludzi do niewolniczej pracy w Niemczech. W lipcu 1944 roku przebywało w Niemczech ok. 6,5 miliona deportowanych do robót przymusowych. Polacy byli okrutnie traktowani, musieli nosić naszytą na ubraniu literę „P" i podlegali specjalnemu prawodawstwu karnemu.

Te fakty, nadal starannie ukrywane przed niemiecką opinią publiczną, muszą być również tematem dialogu.

2. Problem przemian terytorialnych jest nie tylko sprawą polsko-niemiecką. Decyzje zapadły poza zakresem wpływu polityków polskich i niemieckich w oparciu o przekonanie, że po wydarzeniach lat 1939-45 współżycie obu społeczeństw jest niemożliwe.

3. Jest też aspekt czysto niemieckiego problemu: Niemcy zostały uwolnione od dominacji militarystów pruskich. Dzięki temu są one dziś państwem prawa, któremu obce są dążenia do awantur wojennych i podbojów, tak charakterystycznych dla pruskiego sposobu myślenia.

Podstawą dialogu musi być prawda historyczna o przyczynach i skutkach tragedii stosunków polsko-niemieckich, aby rany mógł zagoić czas.

Łączę wyrazy szacunku

Bohdan GÓRSKI

Notatki Redaktora

Tygodnik Powszechny przeprowadził ostatnio ankietę o polskim poczuciu państwowości. Ilustracją tego zaniku instynktu państwowego jest „Apel p. Wojciecha Ziembińskiego do Aleksandra Kwaśniewskiego", ogłoszony w *Tygodniku Solidarność* z 13-go listopada br. Apel ten jest nieprawdopodobnym paszkwilem na prezydenta Kwaśniewskiego. P. Ziembiński, który jest przewodniczącym Stronnictwa Wierności Rzeczypospolitej i niestrudzonym organizatorem „patriotyczych" demonstracji, zapomina, że zwraca się do głowy państwa, legalnie wybranego. Jest ilustracją znanego powiedzenia, że „Polska nierządem stoi". Najgorsze w tym wszystkim jest to, że znalazło się pismo, które ten apel zamieściło na czołowym miejscu, bez żadnego komentarza.

●

Rocznicę 11-go listopada obchodzono w tym roku niezmiernie uroczyście, ale nie dało się uniknąć szeregu niepotrzebnych zgrzytów. Takim zgrzytem było przedstawienie ilustrujące odzyskanie niepodległości. Potraktowano to bardzo jednostronnie, z głównym naciskiem na rolę Pierwszej Brygady, a zapomniano o „Błękitnej Armii" gen. Hallera czy o Dowborczykach, którzy mieli też wielki wkład do walki o niepodległość. Na uroczystość zaproszono głowy państw sąsiednich, ale w przedstawieniu nie było najmniejszej aluzji do Ukrainy i atamana Petlury, którego armia tak ofiarnie walczyła przy naszym boku w kampanii rosyjskiej. Nie uwzględniono też roli Węgier, jedynego naszego sąsiada, który w owym czasie bardzo nam dopomógł, chociażby przez ułatwienie transportów niezbędnego zaopatrzenia. Nie wspomniano również o Białorusi, która też miała swój wkład jeśli idzie o oddziały gen. Bałachowicza, zresztą, zdaje się, że prezydent Łukaszenka nie został chociażby symbolicznie zaproszony. Trzeba było przypomnieć, że jednak po naszej stronie byli również Rosjanie, którzy chcieli nam pomóc w walce z bolszewizmem, jak np. Sawinkow czy Fiłosofow.

Trzeba pamiętać, że tego rodzaju obchody mają swoje znaczenie jeśli idzie o normalizację stosunków we Wschodniej Europie, co przecież jest naszym głównym zadaniem.

●

Jest także niedobrze na odcinku naszej polityki wobec mniejszości narodowych. Niepotrzebne szykany i trudności w stosunku do mniejszości białoruskiej. Pomijając sprawę liceum białoruskiego w Hajnówce, która ostatnio była tak nagłośniona, dotyczy to zresztą i innych liceów narodowościowych. Cofnięta została subwencja na odbudowę monasteru w Supraślu, a teraz, ostatnio, powstał konflikt w Puńsku, gdzie utworzono strażnicę Straży Granicznej zabierając w tym celu część budynku Ośrodka Zdrowia. Ośrodek ten był zbudowany przez społeczeństwo litewskie bardzo wielkim wysiłkiem finansowym. Strażnice są niewątpliwie niezbędne dla zabezpieczenia naszej granicy, a specjalnie na wyjątkowo niespokojnym odcinku granicy polsko-litewskiej. Ale przecież można było tę strażnicę wybudować, uzyskując od gminy w Puńsku działki pod budowę nowej placówki. Niestety, problem mniejszości znajduje się w gestii szeregu ministerstw i placówek centralnych czy województw, z których każdy prowadzi własną politykę. W swoim czasie zwróciłem się do premiera Buzka z sugestią utworzenia przy premierze stanowiska podsekretarza stanu wyposażonego w odpowiednie kompetencje, który by tę politykę skoordynował i prowadził; i że jest konieczne, by rząd opracował wytyczne tej polityki. Niestety, nie otrzymałem na to żadnej odpowiedzi. Zresztą obawiam się, że gdyby nawet ta sugestia była zrealizowana, to zostałby wyznaczony na to stanowisko ktoś równie mało kompetentny jak minister Czarnecki jeśli idzie o sprawy europejskie.

●

W Koroszczynie, przy granicy z Białorusią, zbudowano ogromnym kosztem terminal celny, który okazał się całkowicie nienadający się do użytku. Plan budowy był zatwierdzony przez Główny Urząd Ceł. Kto za to ponosi odpowiedzialność? Za dużo ostatnio nazbierało się podobnych afer.

Zagrożony jest warszawski Dom Literatury, który jest prawdziwym centrum polskiego życia literackiego. Dom Literatury jest utrzymywany przez fundację, utworzoną przez Związek Literatów Polskich, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich i PEN Club.

Fundacja jest dotowana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Obecnie kontrola NIK-u stwierdziła, że fundacja powinna odprowadzić do Skarbu Państwa dochody uzyskiwane z działającego hoteliku i restauracji. Ponadto zakwestionowano płacenie rachunków za energię elektryczną, wodę i telefony użytkowane przez mieszczące się w Domu Literatury biura organizacji pisarskich. Ministerstwo Kultury i Sztuki zgodziło się z wnioskami NIK-u i zażądało od fundacji zwrotu wszystkich zakwestionowanych pieniędzy, zawieszając dalsze dotacje. Jest to posunięcie p. minister Wnuk-Nazarowej zupełnie absurdalne, trzeba mieć nadzieję, że zareaguje na to premier.

●

Minister rolnictwa, Jacek Janiszewski, oświadczył w Brukseli, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat ilość rolników polskich zostanie zredukowana o 75%, oraz że w czasie negocjacji o przystąpienie Polski do Unii Europejskiej, rząd polski nie będzie prosił o ustalenie okresu przejściowego dla dostosowania się Polski do przepisów europejskich dotyczących rolnictwa. Jeśli deklarację ministra traktować poważnie, to ta redukcja rolników spowoduje ich ogromny odpływ do miast. A jednocześnie rząd ogranicza wydatki na budownictwo mieszkaniowe. Aby zrealizować rządowe obietnice dotyczące budownictwa mieszkaniowego, trzeba by na ten cel przeznaczyć 3% produktu krajowego brutto, a jednocześnie, w bieżącym roku, te nakłady wynoszą 0,6% PKB, a w przyszłości mają wynieść 0,35% PKB. A przy tym większość tych nędznych sum będzie przeznaczona na wykup odsetek od kredytów, a więc znikoma część tego będzie przeznaczona na nowe budownictwo. Pojawia się pytanie, jak obecna koalicja ma zamiar rozwiązać brak mieszkań w Polsce, unikalny nawet w skali postkomunistycznej Europy Środkowej. Skąd wziąć mieszkania dla tej ludności wiejskiej, która w bliskiej przyszłości będzie musiała się przenieść ze swych karłowatych gospodarstw do miast? W tej dziedzinie nic się nie robi i mimo uchwały sejmu z 1995 r., ani poprzedni, ani obecny rząd nie opracował polityki mieszkaniowej państwa. Jest obawa, że nasze miasta będą wyglądały w niedalekiej przyszłości tak, jak miasta w trzecim świecie zalane slumsami.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

Instytut Kultury Polskiej

W czerwcu 1998 roku na mocy decyzji Senatu Uniwersytetu Warszawskiego katedra kultury polskiej na Wydziale Polonistyki została przekształcona w Instytut Kultury Polskiej. W Instytucie tym działają cztery zespoły naukowe, pracuje siedmiu profesorów[1], pięciu adiunktów (w tym dwóch kończących prace habilitacyjne), czternastu doktorantów (w tym trzech, których obrony spodziewane są w najbliższym czasie). Podręczniki tu opracowane zyskały rangę ogólnopolską, książki cieszą się uznaniem, a prace mają mocną pozycję. W tymże miesiącu tegoż roku odbyła się również pierwsza rekrutacja na nowy kierunek studiów otwarty przez Instytut Kultury Polskiej: „kulturoznawstwo – wiedza o kulturze". Do egzaminu wstępnego przystąpiło prawie 500 kandydatów (na 50 miejsc), czyli 10 kandydatów na 1 miejsce. Mając do czynienia z dobrymi i przekonanymi o swym wyborze kandydatami mogliśmy przyjąć ich 100[2]. Przyszłość naukowa i nauczycielska Instytutu Kultury Polskiej jest więc zapewniona – dzięki pracy własnej i zainteresowaniu studentów. Trzeba jednak jasno powiedzieć, że jest ona dotkliwie ograniczona przez nędzne warunki lokalowe, w jakich Instytut działa[3].

1. Są to prof. prof.: Maryla Hopfinger, Andrzej Mencwel, Zbigniew Osiński, Stanisław Siekierski, Roch Sulima, Małgorzata Szpakowska, Roman Taborski. W Radzie Naukowej uczestniczą ponadto prof. prof. Alina Brodzka, Alina Nowicka-Jeżowa, Andrzej Z. Makowiecki, Henryk Samsonowicz.

2. Przyjęliśmy łącznie, po rozpatrzeniu odwołań 58 osób. Sama jednak sytuacja eliminowania dobrych kandydatów z powodu minimalnych różnic punktowych (różnica 2 punktów w skali 100) jest absurdalna.

Proste te stwierdzenia, z pogranicza statystyki i administracji (współczesna organizacja nauki coraz częściej stwierdzeń takich wymaga i się nimi zadawala), potrzebują zwięzłego przynajmniej komentarza, aby być należycie rozumiane. Instytut Kultury Polskiej nie powstał bowiem w ostatnich latach, z powodu doraźnego pomysłu wykorzystującego reformatorską etykietę, lecz był długo kształtowany. Katedrę kultury polskiej na Wydziale Polonistyki UW powołano w 1978 roku, jako usługową wobec studiów filologicznych placówkę. Przystąpienie do niej nie było jednak kwestią przydziału, lecz akcesu i tę decyzję podejmowaliśmy świadomie. Przez te dwadzieścia lat placówka nasza, mimo zmiennych politycznych koniunktur, była przemyślnie umacniana i celowo rozwijana. Hasło „katedra" ma swoją legendę i jest znane nie tylko wśród studentów i absolwentów, lecz także w środowiskach humanistycznych i artystycznych.

Zespół naukowy jest ekipą różnorodnych indywidualności, ożywionych jednak wspólnym duchem i podejmujących wspólne zadania. Pracują w niej nie tylko wybitni specjaliści z różnych dziedzin wiedzy o kulturze (historia i antropologia kultury, socjologia i antropologia współczesności, historia i antropologia teatru, antropologia audiowizualności i filmoznawstwo), ale stworzono w niej także własny program „wiedzy o kulturze", poświadczony wielokrotnie wznawianą czterotomową serią podręczników. Projekt nowej, poszerzonej i unowocześnionej wersji tych podręczników został w roku 1998 nagrodzony w konkursie APPLE (Approach and Learn Europe) programu PHARE[4]. Instytut

3. Dwa niewielkie pokoiki, w których pracuje, rozmawia, udziela konsultacji, a czasem też prowadzi zajęcia dla studentów dwadzieścia kilka osób, ponadto jedna pracownia tak wypełniona ćwiczeniami, że nie ma w niej godzin na pracę własną. Bez sekretariatu, jednego choćby pokoju profesorskiego, sali seminaryjnej.

4. Oto współautorzy tej serii w porządku alfabetycznym: Jadwiga Bocheńska-Kołodyńska, Mariusz Czubaj, Wojciech Dudzik, Grzegorz Godlewski, Mateusz Kanabrodzki, Leszek Kolankiewicz, Seweryn Kuśmierczyk, Iwona Kurz, Andrzej Mencwel, Mirosław Pęczak, Roch Sulima, Agnieszka Zadros.

Kultury Polskiej nie jest więc tylko owocem długotrwałego dojrzewania, jest także dziełem wspólnego programu.

Podobnie z nowootwartymi studiami. „Kulturoznawstwo" istnieje w Polsce od dawna (studia takie powstawały w latach 70-tych), ale ma ono przede wszystkim orientację teoretyczną (jak we Wrocławiu czy Poznaniu). Jesteśmy zainteresowani programami tych studiów i uważamy, że konieczna jest ogólnopolska współpraca „kulturoznawców", zarówno naukowa, dydaktyczna, jak i organizacyjna. Nowe dziedziny refleksji i nowe kierunki studiów potrzebują takiego współdziałania o wiele bardziej niż dziedziny i kierunki „stare" o mocnym miejscu w instytucjach naukowych i strukturach akademickich. W przypadku „kulturoznawstwa" potrzeba ta jest tym mocniejsza, że to dziedzina nie tylko przyszłościowa, ale i modna, o czym świadczy zarówno natłok kandydatów na studia, jak i popularność samej nazwy przyklejanej teraz do różnych studiów filologicznych i pedagogicznych. Krótko mówiąc, trzeba się porozumiewać, aby wzmacniać i chronić status dyscypliny, pod wszystkimi względami – merytorycznym, dydaktycznym, także finansowym (miejsce w dotacjach Komitetu Badań Naukowych). Ale trzeba też respektować własną odrębność, a nasza odrębność jest oczywista. Wynika ona przede wszystkim z orientacji praktycznej naszych studiów. Nie jest naszą ambicją kształcić „znawców", stąd też dystans wobec samej nazwy, której używamy tylko dlatego, że wymusza to ministerialny dekret.[5] Zadanie jakie stawiamy przed sobą jest inne, chcemy kształcić tych, którzy kulturę rozumieją i którzy rozumnie w niej działają. Nasza seria podręczników nosi nazwę „Wiedza o kulturze", co orientację humanistyczną podkreśla; naszą specjalizację nazwaliśmy „Animacją kultury", co akcentuje jej praktyczny charakter. Wiedzę o kulturze pojmujemy antropologicznie, oznacza to, że kultura jest w niej ujmowana całościowo, zarówno w swoim

5. W roku 1992 minister edukacji narodowej zmienił nazwę tego typu studiów – „nauki o kulturze" stały się „kulturoznawstwem". Była to zmiana niefortunna, ponieważ „nauki o kulturze" są nazwą wielozakresową przedmiotowo i pluralistyczną metodologicznie. „Kulturoznawstwo" natomiast sugeruje przedmiotową i metodologiczną unifikację. Na dodatek jest kalką niemieckiego „Kulturwissenschaft".

socjologiczno-komunikacyjnym przekroju, jak osobowościowo-psychologicznym. Mówiąc wprost i zawieszając naukową terminologię – idzie o to, aby rozumieć człowieka w kulturze i kulturę w człowieku. Wszystkie zakresy tej wiedzy – antropologia kultury, antropologia słowa, antropologia widowisk, antropologia audiowizualności – służą temu rozumieniu. Jako wykroje poszczególnych warstw kultury, jako kategorie ich ujmowania, jako pojęcia porządkujące – stanowią zestaw narzędzi rozumienia. Naszym zadaniem jest uczyć sprawnego posługiwania się tymi narzędziami. Nie tylko po to, aby kulturę rozumieć, także po to, aby ją tworzyć.

Program „Animacji kultury", zainicjowany siedem lat temu i owocnie realizowany, wyrósł z podwójnego rozpoznania potrzeb praktycznych. Pierwszym składnikiem tego rozpoznania była jasna świadomość nie tylko kryzysu, ale i załamania, w skali ogólnospołecznej, tradycyjnego modelu „upowszechniania kultury". Model ten, którego rodowód jest oświeceniowo-pozytywistyczny a ma w Polsce świetne zresztą tradycje, w czasach Polski Ludowej został zetatyzowany, zinstytucjonalizowany i wyczerpany. Historyczna ocena działania tego modelu w różnych okresach PRL jest kwestią osobną, tu trzeba podkreślić, że jego wyczerpanie się było dla nas jasne już w latach 70-tych. Tworzyliśmy katedrę kultury polskiej mając na uwadze ożywienie innych tradycji bycia w kulturze, nasi koledzy i wychowankowie te inne sposoby bycia uprawiali w różnych formach tzw. kultury alternatywnej. Program kształcenia animatorów kultury z tych innych tradycji wyrasta, przede wszystkim tych, które ukształtowane zostały w kręgu kulturalizmu polskiego (np. Abramowski, Znaniecki, Radlińska, Korczak). Jest też żywotnie związany z tymi inspiracjami alternatywnymi, które praktykują czynne, bezpośrednie i twórcze bycie w kulturze (Jerzy Grotowski i Tadeusz Kantor są tu patronami). Nie chodzi więc o to, aby „kulturę" upowszechniać – jako zewnętrzny, wysoki i onieśmielający walor, który wtajemniczeni przedstawiają prostakom. Chodzi o to, aby w niej być, jako formie wspólnego, ludzkiego istnienia, ożywiając tę formę i twórczo ją wypełniając. Twórczość zresztą jest tu rozumiana elementarnie, a nie tylko artystycznie, choć artystyczne spełnienia mamy również na uwadze. Praktykowaniu tych sposobów

bycia służą staże w najciekawszych krajowych i zagranicznych ośrodkach kultury. Pobudzaniu artystycznych spełnień, z kolei, służą warsztaty prowadzone przez wybitnych animatorów i twórców kultury.

Program kształcenia animatorów kultury nie ma tylko jednego, negatywnego i zwróconego w przeszłość odniesienia. Ma też odniesienie aktualne, zwrócone przede wszystkim w przyszłość. Przyszłość kultury współczesnej związana jest w sposób nieodparty i nieodwracalny z masowymi środkami przekazu w ich fazie nie tylko audiowizualnej, ale i multimedialnej. Narastająca dominacja tych środków jest oczywista zarówno w sferze informacji i komunikacji, jak i w całej cywilizacji, skoro informacja i komunikacja jest tej cywilizacji materią i energią zarazem. Nie można i nie należy odrzucać multimediów, przeciwnie – trzeba je rozumieć i trzeba umieć się nimi posługiwać.[6] Rozumieniu służy antropologia audiowizualności, nauce posługiwania – warsztaty i praktyki. Ale trzeba sobie też zdawać sprawę, że ta nieznana w dziejach i nieporównywalna z niczym globalna inwazja multimediów zmienia radykalnie całą przestrzeń kultury. Homogenizacja – to znaczy wymieszanie wartości, urzeczowienie – to znaczy depersonalizacja, albo odczłowieczenie kultury oraz receptywność – więc bierny odbiór totalnego nieomal spektaklu – stają się podstawowymi właściwościami tej przestrzeni. Technokraci, a nie brak wśród nich głośnych w świecie teoretyków, wierzą w błogosławione skutki automatycznego technologicznego postępu, twierdzą tedy, że nowe media same ulegną metamorfozie – odmasowią się, spersonalizują i odnowią siły twórcze. Ideologia technokracji jak każda ideologia jest jednak systemem złudzeń, a w Polsce już teraz, u początków tego procesu, negatywne jego skutki widać gołym okiem. Siedem, siedemnaście albo i siedemdziesiąt programów telewizyjnych sieje reklamowe spustoszenie, a „odmasowienia" nie widać – programy lokalne ledwie zipią. W tym otóż kontekście i wobec tej inwazji ośrodki kultury czynnej, bezpośredniej i twórczej są bezcenne, a ci,

6. Jesteśmy jednym z pierwszych ośrodków, w którym zaczyna się uprawiać dobrze rozwiniętą, na przykład w Niemczech, „pedagogikę mediów". Współpracujemy w tej dziedzinie z Uniwersytetem Bielefeld.

którzy kulturę taką umieją uprawiać, są na wagę złota.

Program kształcenia animatorów kultury jest programem uczenia tej uprawy i tworzenia takich ośrodków. Warsztaty twórcze prowadzili u nas między innymi Janusz Byszewski, Krzysztof Czyżewski, Andrzej Drawicz, Henryk Grynberg, Wojciech Krukowski, Marcel Łoziński, Marek Przybylik, Włodzimierz Staniewski. Nie tylko twórczość pisarska, teatralna czy filmowa były ich przedmiotem, także lokalna gazeta, edukacja artystyczna dzieci i młodzieży oraz małe grupy kultury czynnej. Stała współpraca wiąże nas z Ośrodkiem Praktyk Teatralnych „Gardzienice", Fundacją i Ośrodkiem „Pogranicze" w Sejnach, Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, International School of Theatre Anthropology w Holstebro (Dania), Sommer Akademie w Scheersbergu (Schleswig-Holsztyn, Niemcy). Współpraca ta oznacza regularnie odbywane staże naszych studentów, według wspólnie uzgadnianych programów, w grupach ogólnopolskich i międzynarodowych. To ten program kształcenia animatorów kultury wygrał konkurs Fundacji Batorego (na nowatorskie programy akademickie), jest corocznie subsydiowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, był wspierany przez władze duńskie i niemieckie, a obecnie został przedstawiony w konkursie „Leonardo da Vinci" programu Unii Europejskiej. Oznacza to także, że w latach 1992-1998 wydaliśmy ponad 230.000 PLN (2.300.000.000 starych złotych) na koszta kształcenia naszych studentów[7]. Postępujemy więc odwrotnie niż inni – my nie bierzemy od studentów pieniędzy za studia, my te pieniądze dla nich pozyskujemy.

„Kulturoznawstwo" nasze nie jest ogólne, jest natomiast szczególną wiedzą o kulturze. Ogólne składniki wiedzy o kulturze (jej przekroje, kategorie, pojęcia) są niezbędne w każdym badaniu i nauczaniu, ale są narzędziami, a nie bytami samoistnymi. Co oznacza, że narzędzia te są środkami osiągania celów (albo chociaż ich przybliżania) a nie celami samymi. Celami tymi bowiem jest zawsze rozpoznawanie i

7. Obliczenie to nie uwzględnia wkładów strony niemieckiej i duńskiej w koszta stażów naszych studentów. Dobra współpraca wzajemna zapewnia i to, że nasi partnerzy subsydiują te przedsięwzięcia. Obecnie kolejnym naszym partnerem staje się Uniwersytet Viadrina we Frankfurcie nad Odrą.

kształtowanie kultury macierzystej w jej związkach z kulturą powszechną. Trzecim tedy składnikiem naszej koncepcji studiów, obok antropologicznego ujęcia kultury i praktycznej, animacyjnej orientacji tych studiów jest kultura polska, w jej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Związki kultury polskiej z kulturą powszechną są tutaj pojmowane nie abstrakcyjnie, lecz konkretnie – poprzez relacje z kulturami sąsiednimi, kulturą regionu, kontynentu, świata. Praktycznie oznacza to dopełnienie programu studiów podstawowym kursem kultury antycznej, dziejami kultury polskiej oraz dużym repertuarem autorskich, specjalistycznych konwersatoriów i seminariów dotyczących naszych sąsiadów.

Wiadomo, że systematyczne studia rusycystyczne, ukrainistyczne czy lituanistyczne nie cieszą się nadmiernym zainteresowaniem. Nawet tradycyjnie atrakcyjne w Polsce filologie, jak anglistyka, romanistyka czy germanistyka, zaczynają odczuwać odpływ kandydatów, ponieważ sam model studiów filologicznych staje pod znakiem zapytania. Konwersatoria takie jednak, jak przykładowo „Praga – stolica wielu kultur", „Literackie almanachy litewskie i ich znaczenie kulturowe", „Magia rytuałów słownych na Białorusi", „Nowe ruchy religijne na Ukrainie", nie będą cierpieć na brak uczestników. Podane powyżej tematy nie są bynajmniej wymysłami, są tytułami prac badawczych naszych pracowników i współpracowników.

Chociaż nie zamierzamy zmieniać nazwy naszego Instytutu, nasze związki z problematyką kulturalną Europy Środkowej i Wschodniej są u podstaw założone i perspektywiczne. Poświadcza je także wieloletnia i owocna współpraca z ośrodkiem „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów" w Sejnach. Dziś współpraca ta zatacza już pełny krąg – bo na nasze studia przychodzą także wychowankowie „Pogranicza", a nasi absolwenci z nim współpracują.

Nasze cele są wyraźne i nie są z zewnątrz założone, lecz wyrastają z długotrwałych doświadczeń teoretycznych i praktycznych. Tworzymy ośrodek wiążący ze sobą naukę i nauczanie w obszarze całościowo pojętej kultury. Zadaniem tego ośrodka jest praktykowanie rozumienia kultury poprzez doskonalenie narzędzi tego rozumienia i poprzez umiejętne nimi operowanie. Praktykowanie tego rozumienia nie może

odnosić się do abstrakcyjnie pojętej kultury ogólnoludzkiej, ponieważ kultura taka jest tylko teoretyczną konstrukcją. Naprawdę my wszyscy, nasi słuchacze i studenci, ich przyszli adepci i uczniowie, żyją i działać będą w kulturze polskiej opartej na antycznej i chrześcijańskiej tradycji, ale wielokrotnie i wielostronnie splecionej z kulturami sąsiadów, regionu, kontynentu i świata. Rozpoznawanie nie dającej się wyczerpać i zamknąć przeto w pojęciowym schemacie konkretności tych splotów jest podstawowym założeniem ujmowania relacji kulturowych: polsko-niemieckich, polsko-rosyjskich, polsko-ukraińskich, polsko-litewskich, polsko-żydowskich itd. Nie wystarczy jednak kultury, w jej wielopostaciowości i wielu odniesieniach poznawać, trzeba ją współtworzyć. Inspiracjom i umiejętnościom twórczym służą warsztaty, wzorom kultury czynnej i bezpośredniej – staże w najlepszych ośrodkach animacji. Ośrodkiem takim jest dziś także Instytut Kultury Polskiej, oddziałującym nie tylko na bliskie otoczenie, ale promieniującym szerzej, w kraju i wśród sąsiadów. Chcemy to oddziaływanie i promieniowanie wzmacniać – kształcąc studentów polskich i zagranicznych, zdolnych kulturę tę uprawiać i uprawę tę upowszechniać. Jest to praca przynajmniej na pokolenie i dla pokoleń.

Nie będziemy nikomu wydawać dyplomów na reżyserów, operatorów, redaktorów, pisarzy czy krytyków. Ale każdy kto chce dziś pracować bezpośrednio z ludźmi, zwłaszcza młodymi, musi przeczuwać wrażliwość i pobudzać zdolności twórcze. Musi też umieć posługiwać się kamerą, komputerem czy drukarką, żeby nie opowiadać o działaniach twórczych, lecz działać. Studia nasze wymagają więc specjalnych warunków finansowych i lokalowych. Jeśli idzie o te pierwsze, umiemy sobie z nimi, jak widać, radzić[8]. Ministerstwo Kultury i Sztuki RP, fundacje krajowe i zagraniczne, konkursy Unii Europejskiej, życzliwi sponsorzy prywatni – są to źródła otwarte na sensowne pomysły i dobre programy. Mieliśmy

8. Całe wyposażenie techniczne jakim dysponujemy – komputery, kamera SVHS z oprzyrządowaniem montażowym, profesjonalny telewizor cyfrowy (niezbędny do analiz filmowych), drukarki i kopiarki, zostało przez nas zakupione ze środków pozyskanych. W Danii jest tak, że jeśli samorząd wyda koronę „na kulturę", to od władz wyższych otrzymuje drugą. Jesteśmy dalej od tej praktyki, niż od Unii Europejskiej.

dawniej i mamy nadal studentów z krajów sąsiednich, żywo niekiedy z nami związanych, ale są to osoby pojedyncze. Będziemy pozyskiwać taki fundusz stypendialny, który corocznie umożliwi systematyczne studia grupie takich studentów. Uniwersytet Warszawski został więc przez nas wzbogacony i będzie wzbogacany nadal.

Jest jednak zadaniem Uniwersytetu stworzenie Instytutowi Kultury Polskiej należytych warunków pracy. Te, w których obecnie pracujemy są tak nędzne, że wstyd je opisywać. Jesteśmy pierwszym tego rodzaju ośrodkiem w tej części Europy, ale nie jesteśmy pierwszym na kontynencie. Jak wyglądać winien taki ośrodek, łączący naukę z nauczaniem i twórczym praktykowaniem kultury wiadomo i można to zobaczyć na niektórych uniwersytetach niemieckich czy francuskich. Nie chodzi tylko o normalne warunki uczelniane, które profesorom umożliwiają seminaria i konsultacje, a doktorantom i asystentom ćwiczenia w małych grupach. Chodzi także o zespół laboratoriów – audiowizualnych, scenicznych, plastycznych, prasowych – które umożliwiają pracę zespołową i pracę własną. Cały ten program zyskuje swój sens wtedy, kiedy jest praktycznie dopełniony – to znaczy kiedy ten film robi się razem tutaj, od pomysłu do emisji; kiedy działanie tego przedsięwzięcia artystycznego sprawdzane jest od razu w tym otoczeniu, w jakim powstaje; kiedy projekt tej gazetki (czy audycji) realizuje się w tej pierwszej społeczności lokalnej, jaką jest grupa studencka. Wyposażenie tych laboratoriów jesteśmy w stanie pozyskać, uczeni, artyści i specjaliści już dawno z nami współpracują. Lokale dla tych laboratoriów, warunki dla kształcenia studentów, godne miejsce Instytutowi Kultury Polskiej może zapewnić tylko Uniwersytet Warszawski.

Andrzej MENCWEL

Mickiewicz w Londynie

Dnia 18 kwietnia 1833 r., na wieczorze urządzonym w Londynie, Krystyn Lach-Szyrma czytał „Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego", w zrobionej przez siebie wersji angielskiej. Julian Ursyn Niemcewicz zanotował w dzienniku, że na zebranie przyszło pięć kobiet oraz siedmiu mężczyzn. W dniach 9-12 września 1998 r. w School of Slavonic and East European Studies na uniwersytecie londyńskim odbyła się międzynarodowa sesja mickiewiczowska, poświęcona zagadnieniom tożsamości i mitologii narodowej, która przyciągnęła słuchaczy aż z Tokyo i Pensylvanii. Uczestniczyli w niej naukowcy z Ameryki i kilku krajów europejskich: Litwy, Szkocji, Irlandii, Norwegii, Niemiec, Polski i Anglii.

Na otwarcie sesji Norman Davies zarysował ogólną sylwetkę poety, który nie był ani Polakiem, ani katolikiem, przypomniał różne etapy jego życia, m.in. ugrzęźnięcie w Dreźnie w 1830-31 i przyjazd w towarzystwie tysięcy Polaków do Paryża, gdzie był uwielbiany przez emigrantów. W młodości zupełnie pochłonięty swoim poetyckim „ja", stał się etatowym aktywistą na rzecz tonącej sprawy polskiej. Mesjanizm zyskał mu tytuł wieszcza, umarł śmiercią męczeńską. Niezbędne tło historyczne przedstawili potem Wacław Hubert Zawadzki (Abingdon) („Polskie nadzieje i rzeczywistość europejska 1795-1815") oraz Paul Latawski, omawiając okres od Traktatu Wiedeńskiego do powstania listopadowego i narodzin rewolucyjnej Polski.

Kolejny blok referatów dotyczył dziedzictwa politycznego i umysłowego Mickiewicza. Andrzej Borowski (UJ, Kraków) wywodził poglądy Wieszcza na Słowian ze wschodniej etnogenezy sarmackiej, opartej na ogólnoeuropejskich wartościach rycerstwa i chrześcijaństwa i wspólnej tradycji biblijnej, którą w Collège de France przerobił na nową mitologię Słowian. Dla Jerzego Lukowskiego (Birmingham) mesjanizm romantyczny stanowi naturalną ewolucję wiary średniej i uboższej

szlachty przedrozbiorowej w Opatrzność oraz ich konserwatywnej, moralnej wizji społecznej. Stąd wniosek, że to co było zgubne dla zacofanego narodu w dobie oświecenia, stało się deską ratunku w okresie niewoli. Richard Butterwick (Belfast) omawiał przeplątanie odmiennych prądów republikańskich w okresie uchwalenia Konstytucji 3 Maja, do której Mickiewicz żywił ambiwalentny stosunek. Z innych wypowiedzi wyłaniał się wizerunek Mickiewicza jako republikanina religijnego w duchu sarmackim.

Do tego portretu duchowego dołączał poniekąd referat Marii Cieśla-Korytowskiej (UJ), która podkreśliła, że Mickiewicz od młodości cenił wartości stoicyzmu chrześcijańskiego, chciał wdrożyć ewangelizm w praktykę życiową. Bóg Konrada – to Bóg ze Starego Testamentu, ks. Piotra – z Nowego Przymierza. George Gömöri (Cambridge) porównał pojęcie przywódcy i proroka w życiu Mickiewicza i Sándora Petöfiego. Dla węgierskiego wieszcza i patrioty, bardziej radykalnego od Mickiewicza, poeta miał być prekursorem zmian społecznych. Osiągnął ideał Byronowski, poległ na polu bitwy.

Przedstawiciel romantycznej szkoły gdańskiej prof. Marii Janion, Wojciech Owczarski wskazał na wątki wampiryczne, które stanowią podłoże metaforyczne „Dziadów", ujawniają niszczycielskie siły podświadomości poety, dowodzą wszechobecności i nieuchronności Zła. Wedle Davida Brodsky'ego (głos w dyskusji), o prywatnym sadyzmie Mickiewicza świadczy fakt, że w wierszu „Do przyjaciół Moskali" zużytkował własne tropy poetyckie ze sztambucha byłej narzeczonej, Karoliny Jänisch.

Omawiając koncepcje językowe poety, Hans-Christian Trepte (Lipsk) uwypuklił pojęcie języka wybranego narodu jako języka sakralnego, stąd długo pokutujące przeświadczenie, że pisanie w obcym języku stanowi karę za grzechy. Na temat jego judaistycznych więzi, John Klier (Londyn) uważał, że Mickiewicz tylko bawił się w kabałę, jest bardziej masoński niż „żydowski", i że jego mesjanizm ma niewiele wspólnego z mesjanizmem żydowskim w XIX wieku. Andrzej Nieuważny (Toruń) wskazał na najróżniejsze źródła jego kultu Napoleona od wspomnień z dzieciństwa, poprzez Towiańskiego, aż po literaturę hagiograficzną, zwłaszcza „Memorial de Sainte-Hélène" Las Casas, oraz popularną ikonografię epoki. Tu w dyskusji wyrażono pogląd, że podejście Mickiewicza do historii było raczej naiwne niż mistyczne.

Tymczasem, jak to w wielkim skrócie przedstawił Andrew Kier Wise (Virginia), uniwersalizm poety znalazł sobie wyznawców w kręgu liberałów rosyjskich w 1905 r. W swoim referacie David Brodsky (Kansas) przypomniał pojedynek Puszkin-Mickiewicz o stereotypy narodowe, wskazał także na ukrytą polemikę Lwa Tołstoja, który bronił godności „niewolniczej duszy rosyjskiego mużyka". Knut Andreas Grimstad (Trondheim) przywołał liczne cytaty i aluzje w twórczości Nikołaja Leskowa (1831-95), który mimo uznania dla Mickiewicza, potępiał jego mesjanizm, jak i również brak tolerancji szlachty na kulturalnym pograniczu Małorosji. W powieści pt. „Soborianie" (1872) zestawił mit Polski z mitem Dawnej Rusi.

Do końca życia Tołstoj głosił rosyjską moralną wyższość Rosjan, walcząc przeciwko Mickiewiczowskiej idei o pierwszeństwo mejsanistyczne. Referat Andrzeja Walickiego wskazał na liczne inne współzależności. Podczas pobytu w Rosji Mickiewicz przyjaźnił się ze słowianofilami, z tą zasadniczą różnicą, że sam był mesjanistą rewolucyjnym, oni zaś – romantycznymi konserwatystami. Nieco później Hercen sformułował „rosyjski socjalizm" jako ripostę na mesjanizm słowianofilski Mickiewicza. Pod koniec XIX wieku Władimir Sołowjow zinterpretował mesjanizm poety jako najwyższy punkt jego rozwoju duchowego. Tuż przed rewolucją październikową Mereżkowski, Bierdiajew i Wjaczesław Iwanow doceniali ważną rolę, jaką mógłby odgrywać mesjanizm na rzecz rosyjsko-polskiego pojednania.

Nie inaczej z literaturą białoruską: Mickiewicz wywierał ogromny wpływ na rozwój języka, poezji, oraz tożsamości narodowej Białorusinów – nie tylko na tzw. białoruską szkołę pisarzy, lecz aż po dziś dzień, gdyż Karatkievic pokazuje Mickiewicza jako ducha immanentnego i dobroczynnego. Jak to stwierdził Arnold McMillin, dla literatury białoruskiej Mickiewicz jest wciąż jak najbardziej żywy. Istnieją tu zbieżności z sytuacją w Litwie. Tu referaty Ausri Jurgutiene i Dalii Satkauskyte (Vilnius) składały się na dwie połówki jednej całości. Poeta polski jest również wieszczem Litwy, Prometeuszem litewskiego mesjanizmu. Jest słynny, a pozostaje nie-

znany, mimo że „Grażyna" i „Konrad Wallenrod" zawierają jak gdyby poetycki zalążek przyszłej państwowości litewskiej. Ze wszystkich pisarzy obcych jest najczęściej tłumaczony na język litewski i wykładany w programach szkolnych, lecz jako literatura obca. Z referentkami polemizował w dyskusji Stanisław Eile twierdząc, że nie powinno się kojarzyć myśli politycznej Mickiewicza z tradycją Wielkiego Xięstwa Litewskiego, gdzie były rządy dyktatorskie, podówczas gdy uwielbiane przez Mickiewicza *liberum veto* było jak najbardziej polskie.

W zespole referatów omawiających bunt i kontestacje późnych wnuków, Stefan Chwin (Gdańsk) uwzględnił głównie Gombrowicza, który wywodził różne hamulce intelektualne i moralne, brak Pascalowych głębin itp. z wewnętrznego niewolnictwa narzuconego przez Mickiewicza (czasem i Sienkiewicza). Brigitte Schultze (Mainz) przedstawiła analizę „gramatyki parodii" której podlegają teksty i koncepcje Mickiewicza u Sławomira Mrożka. Dla autora „Tanga" autostereotypy są kłamstwem, kompromitującym jednostkę oraz wolność zbiorową, a każde kłamstwo – rodzajem gwałtu fizycznego. (Tu padło pytanie: czy można być Gombrowiczem czy Mrożkiem bez Mickiewicza?) Andrzej Fabianowski (Warszawa) wskazał na liczne ślady Mickiewicza w twórczości Tadeusza Konwickiego, zwłaszcza wszechobecność Wielkiej Improwizacji. Poprzez analizę współczesnej prozy prelegent dąży do nowej interpretacji literatury romantycznej.

Na ostaniej sesji Zbigniew Majchrowski (Gdańsk) mówił o przewcieleniach proroctw ks. Piotra, czyli o unowocześnianiu wizji teatralnej przez Jerzego Grotowskiego oraz Jerzego Grzegorzewskiego. Po krytyce Norwida, Gombrowicza, Miłosza oraz Mrożka, wreszcie po zmianach roku 1989, jak profecja może jeszcze funkcjonować w Polsce? John Bates (Glasgow) omawiał stosunek partii do Mickiewicza w latach 1944-56, gdy selekcyjna i tendencyjna egzegeza jego twórczości przypominała z grubsza schemat wypróbowany we Lwowie podczas okupacji sowieckiej. Nina Taylor przedstawiła obecność Mickiewicza na emigracji powojennej, nie tylko w literaturze, ale i w życiu społecznym i politycznym, podjęła się próby ustalenia jego wkładu do myśli politycznej emigracji londyńskiej.

Jako dyskutant, Stanisław Eile sprzeciwiał się selekcyjnemu ujęciu autora, powątpiewał też czy „Operetka" Gombrowicza może uchodzić za polemikę z Mickiewiczem. Podsumowując, uważał Mickiewicza za niekonsekwentnego myśliciela. Jako wieszcz narodowy musi odejść. Pozostanie jako wielki poeta.

●

Zapytana podczas nagrywania do filmu o Mickiewiczu w Wilnie, powątpiewałam, czy temat „Mickiewicz w oczach Anglików" w ogóle kiedykolwiek istniał. Jak wobec obcego odbiorcy podsumować twórczość, która promieniuje i ukształtowała co najmniej dwie-trzy inne literatury? Problem odbioru pochodzi poniekąd od samych Polaków, którzy wciąż przywiązują niewspółmierną wagę do jego poczucia przynależności narodowej. A to nic nie ma do rzeczy, czyli do literatury. Wciąż pokutują poglądy z okresu niewoli. Jeśli Mickiewicz zaistnieje teraz na Wyspach Brytyjskich, będzie to zasługa tej konferencji, która odbyła się dzięki pomocy licznych sponsorów: p. Feliksa Laskiego, Fundacji Grabowskiego, Holy Family of Nazareth, Lotników Polskich, PAFT-u, oraz British Council. Inicjatywa pochodziła od Ursuli Phillips, bibliotekarki-slawistki w SSEES. Na jej barkach spoczywał główny ciężar organizacji przy pomocy administracyjnej uczelni, która ponosi koszty druku mających się ukazać za rok materiałów.

Tymczasem stojąc w obliczu ogromnej ilości imprez naukowych, które uświetniły ten rok, deklaruję zapotrzebowanie na rejestr wszystkich wygłoszonych referatów, które nieraz powtarzają się lub uzupełniają nawzajem, uporządkowanych wedle podziału tematycznego. Tylko w ten sposób będą się składać na jakąś syntezę, tylko w ten sposób można będzie ocenić, ile ten Rok przyniósł nowego, nowatorskiego, a ile odgrzewek i liczmanów. Drugi wniosek padł już na sali obrad na konferencji „Adomas Mickevicius: Tekstai ir kontekstai" urządzonej przez prof. Algisa Kaledę na Uniwersytecie Wileńskim w dn. 24-26 września, warto go utrwalić drukiem. Referaty naukowców-Litwinów były rewelacyjne dla polonistów krajowych, po staremu nie grzeszących nadmierną wiedzą o Wielkim Księstwie Litewskim. W wersji polskiej te

teksty konkretne, treściowe, rzeczowe, bez bicia piany, składałyby się na wymarzony podręcznik: dzieje literatury litewskiej pod kątem wpływu Mickiewicza jako pierwszy etap lepszego poznawania ościennej kultury.

Nina TAYLOR

P.S. Na terenie Anglii Rok Mickiewiczowski obchodzono imprezami instytucji kulturalnych: wystawa ilustracji w Instytucie Kultury Polskiej, wystawa w Bibliotece Polskiej w POSK-u zorganizowana wspólnie z Ossolineum. Od początku roku Teatr Małych Form urządza przedstawienia: „Ballady i Romanse" w wykonaniu Teatru im. S. Żeromskiego z Kielc, „Pana Tadeusza" po angielsku i po polsku (wersja angielska objeżdża różne ośrodki) oraz „Dziady" w ujęciu rapsodycznym. Na czterogodzinny wieczór pod hasłem „Miej serce – patrzaj w serce" w londyńskiej siedzibie Światowego Uniwersytetu Brahmińskiego przypadła 10-minutowa (!) wkładka-pogadanka o duchowości poety, którego podobizna mignęła na ekranie obok portretu założyciela ruchu, Brahmy Baby („Ojca"). Wszędzie jednak, nawet na imprezach angielskojęzycznych przeważała publiczność polska.

Trzydziestolecie śmierci Stanisława Pigonia

Mija właśnie okrągła rocznica naszego rozstania się z profesorem Pigoniem – i pomimo upływu trzech dekad wciąż wracają powody, by wspominać tego wielkiego uczonego, w każdym odruchu – patriotę.

Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego przechowuje ważny rękopis, oznaczony sygnaturą KHUW-2. Jest to szkic profesora Ludwika Piotrowicza, zatytułowany „Losy nauki i oświaty polskiej w Krakowie, na tle historii Uniwersytetu

Jagiellońskiego, w latach 1939-1945". Szkic ten – wkrótce po zakończeniu wojny – miał przy sobie do przeczytania Stanisław Pigoń.

Jego to ręki jest tutaj krótkie uzupełnienie, wmontowane w pracę kolegi jako rozdział VI, uzupełnienie dotyczące Bratniej Pomocy studentów UJ. Mało kto był do poszerzenia wiedzy na ów temat przygotowany lepiej! Już w roku 1931 przecie został Pigoń powołany na seniora Bursy Akademickiej, w latach zaś 1937-1939 (ale tylko do 6 lipca) był kuratorem Bratniej Pomocy. Pamiętano o tym pod okupacją niemiecką: gdy się władze tej instytucji rozproszyły – wróciła jego kolej, pełnił obowiązki nieobecnego kuratora. (Daty przepisuję z życiorysu Pigonia, który dla tomu XXVI „Polskiego Słownika Biograficznego" świetnie przygotował profesor Zbigniew Jerzy Nowak.)

Artykulik Pigonia – z pozoru błahy – wymowę ma niemałą, jak niemal wszystko, co wyszło spod pióra tego autora. Warto się dowiedzieć, jak w 1945 r. nowe polskie władze skonfiskowały fundusze Bratniej Pomocy. Trzeba wiedzieć, jak skromnymi środkami uczeni polscy gospodarowali w tajnym Uniwersytecie Jagiellońskim i jak się w podziemnym państwie dbało o chcącą się kształcić młodzież niezamożną.

Nie wolno nie dodać, że wszyscy uczeni, którzy występują w tej publikacji, nie uszli przed pomówieniami oraz szykanami ze strony oświatowych władz komunistycznych. Dotyczy to profesora Mieczysława Małeckiego (1903-1946), organizatora i kierownika tajnego nauczania w Uniwersytecie Jagiellońskim; dotyczy profesora Ludwika Piotrowicza (1886-1957), członka (powołanego przez księcia metropolitę Sapiehę) Komitetu Obywatelskiego. Odwaga prezesa Polskiej Akademii Umiejętności, Stanisława Kutrzeby, doprowadziła do formalnego oczyszczenia tych (jak i innych) nieposzlakowanych Polaków w służbie nauki oraz na polu charytatywnym z wszelkich uwłaczających zarzutów, postawionych im z oczywistą złą wolą.

Profesor Pigoń, którego osobistej prawości nikt się nie ośmielił stawiać pod znakiem zapytania, niejedną przeżył gorzką chwilę aż do czasu tak zwanej „odwilży", bo też i był za pasem Rok Mickiewiczowski. Ale przedtem Stefan Żółkiewski wręcz zalecał kierownikowi wydziału nauki KC PZPR, Kazimierzowi Petrusewiczowi: „Nie przestawi się, należy go odsunąć od pracy uniwersyteckiej". (Dokument mówiący bez ogródek, co wyprawiał Żółkiewski opiniując zna-

nych polonistów, przypomnieli John Connely i Teresa Suleja, cf. *Arcana* 1997 nr 2). Szczęściem – nigdy się Pigonia nie zaparli ani jego wdzięczni uczniowie (wśród których był i bardzo wtedy partyjny Henryk Markiewicz), ani tym bardziej – przyjaciele.

Teraz, w roku znowu Mickiewiczowym, niejednokrotnie wracamy do jakże wielu ustaleń Pigonia, do jego tomu rozpraw „Zawsze o Nim", do „Pana Tadeusza", którego objaśniał z miłością, do przepięknej autobiografii, którą po sobie zostawił: „Z Komborni w świat". Niech i ten zapomniany szkic przemówi, niech w okamgnieniu przypomni, jaki był to człowiek.

Andrzej BIERNACKI

POŁOŻENIE MATERIALNE I SAMOPOMOC MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ KRAKOWSKIEJ W OKRESIE TAJNEGO NAUCZANIA (1942-1945)

Po uruchomieniu wykładów kompletowych od razu wysunęła się sprawa gospodarczego zorganizowania tajnego uniwersytetu. Od samego początku – jak już wiemy – postawiono sprawę jak najwyraźniej, że nauka w tym uniwersytecie będzie bezpłatna, że studenci nie mogą być pociągani do obowiązku zbierania środków na opłaty profesorów czy pomocniczych sił naukowych. Profesorowie uczyli bezinteresownie, otrzymując od kierownika tajnego nauczania – jedynie tytułem miesięcznej zapomogi – drobną kwotę 250-400 zł. Jedyna opłata poniekąd obowiązkowa dla każdego kompletowca była na Bratnią Pomoc studencką.

Kierownik tajnego nauczania tak bowiem rzecz postawił, że każdy członek kompletu winien należeć do Bratniej Pomocy, a sam komplet był zarazem komórką organizacyjną tego tajnego stowarzyszenia samopomocowego. Kierownicy

kompletów (studenci) stanowili jakby wydział – a zatem ciało zwierzchnie – Bratniej Pomocy.

Bratnia Pomoc konspiracyjna nie miała z Bratnią Pomocą Studentów UJ przedwojenną żadnej łączności: ani organizacyjnej, ani właściwie personalnej, ani też gospodarczej. Że organizacyjnej – to jasne. Zarząd przedwojennej Bratniej Pomocy, w składzie zredukowanym, kontynuował wprawdzie z początku działalność swą konspiracyjnie, ale wnet został rozbity przez gestapo; kilku aresztowanych członków zarządu opłaciło to urzędowanie życiem. Personalna łączność wystąpiła o tyle, że jeden z członków władz przedwojennej Bratniej Pomocy był rodzajem opiekuna czy doradcy zarządu konspiracyjnego. Łączności gospodarczej o tyle nie było, że majątek dawnej Bratniej Pomocy został niemal w całości zagrabiony przez Niemców, już to w domach akademickich, już to po schowkach w kolegiach uniwersyteckich, gdzie go okupant wytropił. W szczególności Bratnia Pomoc Studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego utraciła wskutek tej okupacji niemieckiej cztery domy akademickie stanowiące jej własność; podobnież zostały zagarnięte inne domy: Bursa Akademicka, Akademicki Dom Żydowski, Katolicki Dom Akademicki tudzież domy i lokale Bratnich Pomocy innych szkół akademickich w Krakowie. Razem z domami padły pastwą okupanta: wewnętrzne instalacje tych domów, jak kuchnie z całymi urządzeniami, inwentarz zarówno biurowy jak pokojowy, biblioteki, pościel etc., nie wyłączając prywatnego mienia studentów pozostawionego w domach. Po wojnie domy akademickie zostały zwrócone do właściwego użytku w stanie całkowicie zdewastowanym, a w pewnym stopniu uszkodzone przez pociski armatnie. W ten sposób konspiracyjna Bratnia Pomoc – poza odrobiną towaru ze Sklepu Akademickiego w I D.A. – po swojej poprzedniczce nie odziedziczyła nic. Biorąc na się obowiązek zorganizowania życia samopomocowego, musiała zdobyć środki pomocy – własne.

Zdobyła je przede wszystkim drogą wkładek członkowskich. Wkładka wynosiła 20-30 zł. na miesiąc od osoby i była obowiązkowa; w wypadkach zasługujących na uwzględnienie Zarząd od niej uwalniał. Kiedy ilość kompletowców pozostających w mieście doszła czy przekroczyła 800,

fundusz uzyskany z wkładek miesięcznych był wcale znaczny. Za okres sprawozdawczy 1943-45 przekroczył on sumę 130 tysięcy zł.

Drugim źródłem dochodów były dotacje otrzymywane za pośrednictwem kuratora od zwierzchnich władz oświatowych. Tą drogą uzyskano w okresie sprawozdawczym sumę ponad 68 tysięcy.

Na ogół studiowała w kompletach młodzież uboga. Przeważną jej część stanowiły dzieci inteligencji miejskiej, wprzągniętej przez najeźdźcę w obowiązkową a najnędzniej wynagradzaną pracę. Zresztą sami studiujący, jako wszyscy w latach powinności pracy, byli zajęci przymusowo po biurach czy magazynach. Chcąc wyżyć, a nierzadko i pomóc rodzinie, musieli poza pracą obowiązkową próbować handlu, co oczywiście rabowało wiele czasu przeznaczonego w zasadzie na naukę. Nie wszystkim więc ułożyły się zarobki jednako. Bratnia Pomoc miała te nierówności wyposażenia do pewnego chociażby stopnia łagodzić na terenie koleżeństwa.

Fundusze uzyskane z wkładek członkowskich szły w przeważnej mierze na stypendia i zapomogi udzielane kolegom. Na ten cel wydano w trzechleciu sprawozdawczym ponad 58.000 zł. Stypendia były miesięczne i obracały się w roku 1943 koło kwoty 250 zł, a w roku 1944 około kwoty 500 zł. Zapomogi były doraźne, udzielane w jakichś nadzwyczajnych okolicznościach (najczęściej rodzinie po aresztowaniu kolegi z kompletów).

Kwotą powyżej wymienioną nie objęto akcji zapomogowej zorganizowanej w osobnym komitecie koleżeńskim na rzecz kolegów-studentów warszawskich, bezpośrednio po upadku powstania. Komitet ten, zawiązany z inicjatywy i spośród członków Bratniej Pomocy, zebrał i rozdał gotówką ponad 10.000 zł, znacznie więcej zaś w naturze: w formie bielizny, obuwia, ubrań, wreszcie prowiantów. Był też pomocny kolegom i koleżankom z Warszawy, przybyłym do Krakowa, przy wyszukiwaniu mieszkania, organizował dla nich gościnne obiady u poszczególnych rodzin itp.

Dalszą formą pomocy niesionej przez Bratnią Pomoc kolegom były zapomogi udzielane na wydawnictwo skryptów, co przy wielkim braku podręczników było pomocą ogromnej doniosłości. Wydawali skrypta głównie koledzy prawnicy,

medycy, rolnicy i farmaceuci. Wypłacono na ten cel przez trzy lata sumę ponad 18.000 zł.

Trudnościom zaopatrzenia się w książki zapobiegano również w ten sposób, że przy poszczególnych zespołach (grupach przedmiotowych) tworzono biblioteki podręczne i zakupywano dla nich książki po antykwariatach. Na ten znowu cel wypłacono różnym zespołom sumę ponad 30.000 zł.

Poza tym wydano pewne kwoty na doraźne cele, np. urządzenie „gwiazdki" lub „święconego". Na pierwszą wieść o upadku Warszawy i zgromadzeniu się uratowanych profesorów warszawskich w Milanówku – posłano tytułem pierwszej pomocy kwotę 5.000 zł. Po oswobodzeniu Krakowa posiadała Bratnia Pomoc jako saldo kwotę 47.500 zł. Kwota ta przy obowiązkowej wymianie waluty została oddana do depozytu, gdzie spoczywa po dziś dzień.

Suma blisko 200.000 zł. uzyskana przez konspiracyjną Bratnią Pomoc z wkładek członkowskich i z zapomóg w drobnej tylko mierze może być wykładnikiem działalności samopomocowej wśród młodzierzy uniwersyteckiej kompletowej. Nie objęto nią tej pomocy, jaką świadczyło kompletom społeczeństwo krakowskie, chociażby przez udzielanie bezinteresowne mieszkań na „sale wykładowe" czy „seminaryjne". Lokale takie uzyskiwano w drobnej mierze u rodzin czy krewniaków studiujących kolegów, w znacznym atoli stopniu u ludzi nie związanych z życiem uniwersyteckim, a doceniających tylko wagę nauki bez względu na niebezpieczeństwo, jakim taka gościnność groziła na wypadek odkrycia kompletu przez gestapo. Tej pomocy należy się szczególna wdzięczność.

Nie objęto również sprawozdaniem tej najtrudniejszej do podchwycenia wzajemnej pomocy w nauce, w podtrzymywaniu się na duchu wśród najczarniejszych momentów życia, jednym słowem tej pomocy, jaką nieść tylko zdoła cicha, wylana i serdeczna przyjaźń koleżeńska. Ta przyjaźń umocniona na wspólnie przeżytych nieszczęściach, wspólnie przezwyciężanych niebezpieczeństwach i trudach – to najwyższa chyba zdobycz wyniesiona z okresu konspiracyjnego współżycia samopomocowego krakowskiej młodzieży uniwersyteckiej.

Stanisław PIGOŃ

Z wizytą u „Bara"

Od wielu lat w swoich pracach bibliograficznych korzystam z retrospektywnej bibliografii zawartości czasopism polskich XIX i XX wieku, tzw. Kartoteki Bara, znajdującej się w Instytucie Badań Literackich i do początków lat 90-tych nie miałem z tym problemów. Kartoteka Bara i pracownia dokumentacji i edytorstwa XIX/XX wieku zajmowały pokój 144 na pierwszym piętrze Pałacu Staszica. Mogłem bez problemów do pokoju wejść, poprosić o szufladkę z interesującym mnie nazwiskiem autora i na miejscu przepisać dane bibliograficzne – w przypadku kłopotów z odczytaniem jakiejś karteczki, bo kartoteka jest rękopiśmienna, zawsze mogłem liczyć na pomoc kogoś z pracowni. Jednak po 1990 roku wszystko się zmieniło. Pokój 144 zmieniono w salę wykładowo-konferencyjną, pozostawiając w nim kartotekę, a pracownia dokumentacji i edytorstwa przeniesiona została na trzecie piętro – i zaczęły się kłopoty... Musiałem czekać na przerwę w wykładach, poprosić kogoś z trzeciego piętra o wyjęcie i przyniesienie szufladki lub szufladek do biblioteki na parter. Z czasem jednak sytuacja się poprawiła – kartoteka i dawna pracownia zajęły dwa pokoje po centrali telefonicznej na parterze blisko biblioteki...

Ostatnio odwiedziłem IBL w lipcu br. i... trafiłem na kolejne przenosiny kartoteki... Zapytałem, co się stało, dlaczego kartoteka zmienia miejsce, które dla korzystających z niej było najlepsze z możliwych – i w odpowiedzi usłyszałem...

– Proszę Pana, dzisiaj żyjemy w innych czasach, Instytut musi jakoś się utrzymać, na badania naukowe brakuje pieniędzy w budżecie, organizowane są różne szkoły, które przynoszą dochód i pozwalają przetrwać. W pałacu brakuje pomieszczeń, przenosi się więc kartoteki, zamienia korytarze w sale wykładowe...

– No tak, ale co dalej z kartoteką? Czy korzystanie z niej będzie jeszcze możliwe?

– Oczywiście, kiedy skończy się przeprowadzka, wyjmę szufladkę i jak dawniej, zaniosę do biblioteki – ale przed przyjściem do nas proszę zadzwonić i upewnić się, czy ktoś będzie mógł Pana obsłużyć – pracownia dokumentacji i edytorstwa już nie istnieje, z dawnych pracowników prawie nikt nie pozostał, a nowych brak...

– Proszę Pani, to nieprawdopodobne... proszę powiedzieć, jakie są perspektywy, jeśli chodzi o prace dokumentacyjne? Co dalej będzie z kartoteką?

– W Instytucie powstało Centrum Informacji Literaturoznawczej, do którego włączono dawną pracownię dokumentacji i edytorstwa, no nie pracownię, a raczej wspomnienie o pracowni... W planach Instytutu przewidziane jest wpisanie kartoteki w komputer, zakupiono sprzęt komputerowy wysokiej klasy, myśli się o opracowaniu specjalnego programu... ale kiedy kartoteka zostanie wpisana i kto to będzie robił, trudno powiedzieć... A prace dokumentacyjne... Proszę Pana, żyjemy w innych czasach i powtórki z Estreichera czy Korbuta nie będzie... Instytuty walczą o przetrwanie, a prace dokumentacyjne nie są dochodowe, kartoteki zajmują zbyt wiele miejsca, pracownicy odchodzą na emerytury, pozostają po nich kartoteki, z którymi nie bardzo wiadomo, co zrobić...

Może kiedyś powstanie jakieś muzeum dokumentacyjnej manufaktury i Pana wnuki kiedyś je odwiedzą, oczywiście tylko wówczas, kiedy z dawnych kartotek coś jeszcze dla potomnych pozostanie...

– Dziękuję Pani za informacje, przyznam, że są one przygnębiające...

Może warto zastanowić się nad przyszłością prac dokumentacyjnych, losem kartotek gromadzonych przez lata – czas ucieka i trzeba się spieszyć, jeszcze minie lat parę, i nie będzie nad czym się zastanawiać.

Ziemowit JURAJSKI

Ci, co odeszli

Wspominając Zbigniewa Herberta

Znajomość Artura Międzyrzeckiego i moja ze Zbigniewem Herbertem datowała się od lat pięćdziesiątych i trwałość jej, a także stosunkowo częste i serdeczne kontakty pozwalają mi nazwać ją przyjaźnią. W ostatnim zbiorku poety „Epilog burzy" znalazł się wiersz poświęcony Arturowi Międzyrzeckiemu, zatytułowany „Artur".

W roku 1971, po powrocie Herbertów ze Stanów, podczas gdy my właśnie tam przebywaliśmy, Zbyszek i Kasia Herbertowie zamieszkiwali aż do naszego powrotu, w naszym mieszkaniu przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie. Ale przyjaźń nasza rozpoczęła się wówczas, kiedy Zbyszek był jeszcze kawalerem, a my byliśmy już zadomowieni jako małżeństwo, z małą córeczką Danielą.

Jego sposób obcowania z ludźmi, również z ludźmi bliskimi, był bardzo osobliwy. Ktoś z przyjaciół nazwał ten sposób bycia filuternym, bo polegał on na przenoszeniu tematu rozmowy w sferę żartu, przekomarzania się, paradoksu, co stwarzało jakby rodzaj odrębnej poetyki rozmowy, unikającej wypowiedzi wprost i wykluczającej jakiekolwiek osobiste zwierzenia. Było w tym sposobie bycia coś urzekającego, jakiś wdzięk, lotność, dezynwoltura, po prostu nieprzeparty urok. Toteż potrafił Zbyszek zdobywać sobie serca od pierwszej chwili, pod warunkiem, że aprobował osobę z którą się stykał, bo wobec ludzi, którym miał coś za złe, potrafił być bezwzględny a nawet bezlitosny, gdyż jego niezrównana inteligencja i wyczucie sprawiały, że kiedy chciał

zawsze potrafił ugodzić w punkt najboleśniejszy. Wszyscy mu to jednak w końcu wybaczali, tym bardziej, że on sam okazywał nazajutrz najżywszą skruchę, telefonując, pisząc listy lub przynosząc przeprosinowe kwiaty.

Przebywanie z nim było rodzajem święta, czasem nawet przeobrażało się w rodzaj festynu, zwłaszcza kiedy zebrała się większa grupka przyjaciół i przychodził czas na piosenki, wykonywane wspólnie z Arturem, w którym znalazł Zbyszek znakomitego partnera i interlokutora. Piosenki, jakie razem odtwarzali, miały swoisty styl, przez nich obu ulubiony. Były to piosenki śpiewane w marszu przez żołnierzy, rozwlekłe lub ochocze, zazwyczaj autorstwa nikomu nieznanych domorosłych autorów: były ballady podwórzowe i dziadowskie, czasem też trącące myszką, staromodne i śmieszne w swej łzawości tanga. Dziś, wspominając te trudne czasy, kiedy szalała nagonka polityczna i kiedy z trudem wiązało się koniec z końcem, nie mogę się nadziwić naszej ówczesnej energii i sile oporu.

Zbyszek rzadko i niechętnie wdawał się w rozmowy zasadnicze, jego stosunek od spraw, rzeczy i ludzi objawiał się lakonicznie, jakby z potrzeby pseudonimowania rzeczywistości, którą ujmował w skrócie myślowym zaskakującym często swoją trafnością i tonem poetyckim nie zbaczającym nigdy w stronę sentymentalizmu. Taki był w młodości i wieku dojrzałym. Wiek późny i sytuacja rozliczeniowa jaka zapanowała w Polsce po roku 1989 sprawiły, że wypowiedzi jego nabrały charakteru bardzo ostrego, zwłaszcza w ocenie własnego środowiska literackiego. Pierwsza taka szokująca wypowiedź ukazała się w „Hańbie domowej" Trznadla. W ostatnich latach, nim tak ciężko zachorował, pisywał felietony do *Tygodnika Solidarność*, który niewiele już miał wspólnego z etosem dawnej „Solidarności". Wypowiedzi te dalekie były od cechującego go dotąd umiaru. Tego stojącego zazwyczaj z dala od politycznych sporów poetę próbowała też sobie zawłaszczyć ekstrema, która szlechetne poczucie więzi z losem zbiorowym, cechujące poezję Herberta, próbowała utożsamić z wizerunkiem określanym na co dzień mianem „prawdziwego Polaka". A przecież stało to w jaskrawej sprzeczności z pełnym odrazy stosunkiem Herberta do wszelkiego szowinizmu i ksenofobii. Problemy narodu – czy jak wolał mówić:

społeczeństwa – zarysowane są jednak bardzo silnie w poezji Herberta i to właśnie spór o styl patriotyzmu i stosunek do najnowszych naszych dziejów, stały się najprawdopodobniej powodem trwającego przez ostatnie lata rozdźwięku między Herbertem i Miłoszem. Na szczęście obaj poeci zdołali się jeszcze pojednać ze sobą przed śmiercią Herberta.

Poezja Herberta nasycona jest historią, nasycona jest też wydarzeniami ostatniego półwiecza, które poeta przeżywał w sposób dramatyczny. Można by z jego utworów stworzyć małą antologię wierszy mówiących o roku 39, o Armii Krajowej, partyzantce, o powstaniu węgierskim w 56, o stanie wojennym. Myślę o takich wierszach jak „Guziki", „Wilki", „Pięciu" czy „Tren Fortynbrasa". Przesiąknięte refleksją historyczną są też wiersze, których temat główny leży poza historią, ale oblany jest nią jak morzem. Myślę chociażby o wierszu poświęconym jego ojcu, czytającemu z synem Liwiusza. O tym – jak mówi poeta – czytaniu Liwiusza przeciw Liwiuszowi, kiedy staje się po stronie ludów podbitych, zamiast wysławiać z autorem podboje imperium. Wspominając fakty z historii współczesnej ubiera je czasem Herbert w pewną „omszałość", unikając języka dosłowności. Tak na przykład pisząc o drugiej wojnie światowej unika za każdym razem jej nazwy, określając ją w coraz to inny sposób. W wierszu pod tytułem „Fotografia" pisze: „To zdjęcie robił mi ojciec przed drugą wojną perską", zamiast: przed drugą wojną światową, przez co unika wymieniania nazwy wprost i odsuwa ten czas w jeszcze bardziej jakby zamierzchły okres swojego dzieciństwa. W „Raporcie z oblężonego miasta" zamiast: druga wojna światowa, mówi „druga Apokalipsa". A w wierszu „Deszcz" pisze:

Kiedy mój starszy brat wrócił z wojny
miał na czole srebrną gwiazdkę
a pod gwiazdką
przepaść

to odłamek szrapnela trafił go pod Verdun
a może pod Grunwaldem
(szczegółów nie pamiętał)

To kilka tylko przykładów, zaczerpniętych z poezji, owego pseudonimowania, które cechowało również sposób bycia Herberta. Jego wiersze, również te najbardziej metafizyczne, osadzone są najczęściej w określonym czasie, a na pewno już w określonym miejscu. Informacja ta dociera do nas w niepodzielnym ciele poezji, które zamknąć w sobie potrafi pełnię, podobnie jak żywy organizm zawiera w sobie pełnię świadomości istnienia, z poczuciem czasu wewnętrznego włącznie.

Mówiąc o historii współczesnej i o sprawach publicznych w wierszu „List do Ryszarda Krynickiego" ukazuje Herbert niebezpieczeństwo popadnięcia w publicystyczną płaskość. Powraca tu również echo odwiecznego w poezji polskiej konfliktu między społecznym obowiązkiem i naturalną tęsknotą za pięknem i radością.

Na chude barki wzięliśmy sprawy publiczne
walkę z tyranią kłamstwem zapisy cierpienia
lecz przeciwników – przyznasz – mieliśmy nikczemnie
małych
czy warto zatem zniżać świętą mowę
do bełkotu z trybuny do czarnej piany gazet
tak mało radości córki bogów w naszych wierszach
Ryszardzie
nic tylko ciemne psalmodie jąkanie animuli
urny popiołów w spalonym ogrodzie

Twórczość poetycka Zbigniewa Herberta od razu uznana została za zjawisko wyjątkowe. Cytowano jego wiersze w całości lub fragmentami, służyły jako ilustracja światopoglądów. Używano ich jako wskazań moralnych, czerpano z nich nauki. Postać pana Cogito stała się – można to śmiało powiedzieć – własnością społeczną. Zawołanie pana Cogito: „Bądź wierny! Idź!" okazało się tak pojemne, że podszywać się pod nie zaczęli ci, od których pan Cogito zapewne odwróciłby się plecami.

Prawdą jest jednak, że wierność jest przykazaniem nieustannie towarzyszącym poecie, wierność Lwowowi, miastu, z którego wygnała go historia, wierność oblężonej stanem wojennym Warszawie, wierność zmarłym, wierność własnym

przekonaniom, przyjaźniom, tradycji, wreszcie samej poezji.

Herbert rzadko przemawia w swojej poezji bezpośrednio, często używa w tym celu innych postaci, innych głosów. W krytyce literackiej określa się to mianem masek. I być może bardziej dociekliwe badania, określające co jest głosem maski, a co głosem poety samego, pozwoliłyby rozstrzygnąć, w sposób bardziej uzasadniony, dawny spór między Miłoszem i Herbertem.

Świat poetycki Herberta to świat zaludniony tłumem postaci. Ich rola i miejsce bywają różne. Marsjasz i Apollo pokazani są w działaniu, do Marka Aureliusza poeta przemawia jak do osoby żywej i bliskiej. Fortynbras ukazany jest w żałobnym przemówieniu na cześć Hamleta, postać Nike ukazana jest, w jednym z najpiękniejszych jego wierszy, w chwili, kiedy się waha, a więc w momencie jakże bardzo ludzkim. Myśl i sztuka poetycka Herberta wydobywa z przeszłości i ożywia bohaterów mitologii, literatury, historii i filozofii. Sięga po nie poeta do czasów mitycznych, do dziejów rzymskich, rzucając na nie światło współczesności. Obdarowuje wierszami swoich najbliższych, ojca, matkę, brata. Za jego pośrednictwem obcujemy z Kaligulą i Klaudiuszem, z Jehudą Amichajem, Spinozą i Tucydydesem, z Achillesem i Pentezyleą. Nie wiem czy jest jakiś inny poeta współczesny, który tak wielką wybrał sobie rodzinę istnień żywych i mitycznych, nie wahając się raz po raz przekraczać barierę czasu.

Jest jednak wśród tych postaci osoba, która dotąd nie istniała, o której nikomu się w poezji nie śniło, a na imię jej pan Cogito. Herbert powołał najpierw pana Cogito jako osobną istność, kogoś, kto odsłania przed nami swoje kłopoty z życiem i ludźmi. Ale w miarę czasu pan Cogito zaczyna coraz bardziej utożsamiać się z samym poetą. Takim wierszem, w którym głos pana Cogito i Herberta łączy się w jedno, wydaje się być właśnie „Przesłanie pana Cogito", może najsłynniejszy wiersz z tego cyklu, który Herbert umieścił na końcu wybranych przez siebie 89 wierszy opublikowanych ostatnio – tuż przed „Kamykiem" – co pozwala uznać go za rodzaj testamentu.

Wykreowanie takiego świata postaci, ulepianie ich często na nowo z gliny dawnych wyobrażeń wynikło z umiłowania przez Herberta rzeczy widzialnej i konkretnej. Wskazują na

to również tak częste personifikacje przedmiotów nieożywionych. Takim arcydziełem poświęconym rzeczom martwym jest „Elegia na odejście pióra, atramentu i lampy". Zawiera się w niej czułość do przeszłości, pojętej jako azyl dzieciństwa, z którego wyszliśmy na niepewne i ciemne rozdroża przyszłości.

Jest rzeczą wiadomą, że sztuka karmi się materią i z niej bierze początek. Toteż pisze Herbert: „Nigdy w życiu nie udało mi się stworzyć czystej abstrakcji". A gdzie indziej: „Lepiej być skrzypieniem podłogi niż przeraźliwie przezroczystą doskonałością".

Jeśli można dzielić poetów na kierujących się świadomością i intelektem, i na poetów instynktu, to Herberta z pewnością zaliczyć można do tych pierwszych. Kultura jest niezbywalną cząstką jego istnienia ludzkiego i zarazem poetyckiego. Wskazują na to również jego eseje poświęcone sztuce. Kultura rozszerza jego osobowość na cały świat zastany i przekazany naszej pieczy. Skojarzona z naturalną wrażliwością zakwita w nim i wydaje poetyckie owoce. Jest to kultura przesączona przez filtr etyki, jest to etyka, której dodaje soli ironia i autoironia.

Materia poetycka Herberta mieni się niepokojem, bólem, współczuciem i niepewnością. Ale werdykty jej bywają czasem bardzo ostre, za zdradę i wyrządzone zło nie ma wybaczenia:

> I nie przebaczaj
> zaiste nie w twojej mocy przebaczać
> w imieniu tych których zdradzono o świcie

Poeta w sposób bezpośredni lub pośredni odkrył przed nami w swojej twórczości swój pogląd na naturę człowieka, na nieuniknioność cierpienia i nieodwołalność losu. Mówi o konieczności praktykowania cnoty i o jej daremności:

> Idź dokąd poszli tamci do ciemnego kresu
> po złote runo nicości swoją ostatnią nagrodę

A znaczy to: bądź mężny i wiedz, że nie czeka cię za to żadna zapłata.

Życie duchowe jego postaci rozgrywa się między wa-

haniem a pewnością. Herbert wystawia pana Cogito na próby przekraczające czasem jego siły. Każe mu iść na spotkanie nieuchwytnego potwora, wysyła go na daremne poszukiwania rabiego Nachmana, stawia go przy łożu umierającego przyjaciela. Doświadczenia pana Cogito odbieramy czasem jako doświadczenia samego poety, choć ten próbuje nas czasem zmylić, przydając panu Cogito cechy Everymana. Pokazuje jego bezradność – i w tym jest nam pan Cogito najbardziej może bliski – ale każe mu stanąć na wysokości zadania zachowując nadzieję, że przecież uda mu się utrzymać w pozycji wyprostowanej. Jednego odmawia mu kategorycznie: prawa do samoużalania się, do *self pity*, które uważa za niegodne sztuki. Pisze:

Jeśli tematem sztuki
będzie dzbanek rozbity
mała rozbita dusza
z wielkim żalem nad sobą

to co po nas zostanie
będzie jak płacz kochanków
kiedy świtają tapety

Nie sprowadza jednak pojęcia piękna do uładzenia i harmonii. W wierszu skierowanym do Adama Zagajewskiego czytamy:

Tej garstce która nas słucha należy się piękno
ale także prawda
to znaczy – groza

aby byli odważni
gdy nadejdzie chwila

To zespolenie piękna z prawdą – jakże klasyczne – to jedna z tajemnic siły jaka cechuje poezję Herberta. Pragnąc harmonii, nie łudzi się, że jest ona nie do osiągnięcia. Mówi o tym w jednym ze swoich ostatnich wierszy, zatytułowanym „Brewiarz":

życie moje
powinno zatoczyć koło
zakończyć się jak dobrze skomponowana sonata
a teraz widzę dokładnie
na moment przed codą
porwane akordy
źle zestawione kolory i słowa
jazgot dysonans
język chaosu

Narzucona sobie dyscyplina dotycząca natury wiersza pociąga za sobą powściągliwość wyobraźni. Pisze o tym w wierszu „Pan Cogito i wyobraźnia". I tu również nie można mieć wątpliwości, że pan Cogito stanowi tak na prawdę *alter ego* samego poety. Koniec tego wiersza brzmi jak następuje:

Wyobraźnia pana Cogito
ma ruch wahadłowy

przebiega precyzyjnie
od cierpienia do cierpienia

nie ma w niej miejsca
na sztuczne ognie poezji

chciałby pozostać wierny
niepewnej jasności

Ta wierność niepewnej jasności to najbliższe mi, osobiście, Herbertowskie wezwanie. Wieloznaczne, poszukujące, dalekie od myślowego spełnienia.

Samoograniczenie, jakie narzuca Herbert swojej wyobraźni, sprawia że dzięki niezwykłej prostocie wiersze jego tęczują pięknem sunącym krok w krok za poetą. Podobnie jak krok w krok szła za poetą sława, choć z całą stanowczością starał się odrzucić jej pokusy

Wzywam was, starzy mistrzowie
w ciężkich chwilach zwątpienia
sprawcie niech spadnie ze mnie

wężowa łuska pychy
niechaj zostanę głuchy
na pokuszenie sławy

Obawiał się, by jego sztuka nie była:

dla korektorki wiecznej
jak tekst piosenki pozbawiony nut
szlachetnie prosty aż nazbyt oczywisty

Jasno więc zdawał sobie sprawę z tego, jak niebezpieczne dla poezji jest przekazywanie przesłania moralnego o artystycznej jednoznaczności, odwaga mówienia za kołatką; tak-tak, nie-nie. Ale jego sztuka wytrzymała tę próbę. Zrównoważyło ją poczucie dramatyzmu losu ludzkiego i niezawodny instynkt poetycki wiążący go ciasno ze światem konkretu.

Na koniec może warto zastanowić się, jak ta poezja, często trudna, a zawsze wymagająca, bo stawia sobie wciąż nowe pytania, zdołała zdobyć sobie tylu czytelników i miłośników? Można by odpowiedzieć krótko: ponieważ jest rozległa, ludzka i urzekająco piękna. Ponieważ poeta wydobyć z niej umiał niezwykłą czystość tonu. Ale przychodzi na myśl coś więcej: t a k a właśnie poezja była potrzebna. Nie na darmo mówi się w Polsce tak często o głodzie autorytetów. Zabłąkani w coraz bardziej chaotycznej współczesności, aż nazbyt nawykli do cynizmu i zobojętnienia, złaknieni jesteśmy prawd o wartości ostatecznej. Znajdujemy je w twórczości Herberta.

Dlaczego jednak tej właśnie poezji tylu czytelników ufa, mimo przyrodzonej, zwłaszcza młodości, niechęci do jakichkolwiek pouczeń, mimo podejrzliwości wobec przygodnych nauczycieli? Być może dzieje się tak dlatego, że za poezją Herberta stoi świadectwo życia. I to jest zapewne również tajemnica niepowtarzalności tej poezji, niemożliwej do podrobienia.

Julia HARTWIG

Christian Jelen

Pewnego dnia latem roku 1972 na moim biurku w redakcji *Le Soir* w Brukseli wylądowała niewielka jak na owe czasy (220 stron) książka. Tytuł nie ukrywał treści: „La purge. Chasse aux Juifs en Pologne" („Czystka. Polowanie na Żydów w Polsce"). „Przydział" był mechanicznie logiczny: Europa sowiecka to był mój rejon w redakcji. Zacząłem przeglądać „Czystkę" bez większych złudzeń. Cztery lata po marcu 68, zachodnie zainteresowanie „czystką" właściwie przeminęło, ja zaś straciłem już nadzieję, że obserwatorzy zachodni potrafią kiedyś dojść do sedna rzeczy i do nie tylko polsko-żydowskiej, ale także polsko-polskiej, naprawdę tragicznej w skutkach, kompromitującej treści i istoty tzw. wydarzeń marcowych.

Po kilku stronach „Czystki" zorientowałem się, że książka wychodzi poza ramy zarówno łzawych opowiadań, co i ślepych ataków. Na tle zalewu zachodniej, a także, *à rebours*, polskiej „literatury" tego okresu, książka Jelenia wyróżniała się zarówno jakością dokumentacji, spokojem języka, co i umiarkowaniem wniosków. Jelen odwiedził kilka krajów (Szwecja, Dania, Francja, Austria, Izrael etc.), gdzie polscy Żydzi znaleźli schronienie od Polski Moczara. Jelen miał też, dzięki tłumaczom, dostęp do właściwie całej prasy polskiej, bardzo skrupulatnie czytanej. „La Purge" była więc, co podkreśliłem w *Le Soir*, pierwszym właściwie, obiektywnym w granicach ówczesnych możliwości, montażem tego co wygnańcy przeżyli, co opowiedzieli i co o tym prasa polska napisała. Książka Jelenia, napisałem, demaskuje polityczny charakter operacji, oddaje sprawiedliwość ofiarom czystki, łamie spokój obojętnych i uniemożliwia milczenie winnych.

Christiana Jelenia nie znałem. Z notki wydawcy dowiedziałem się, że urodził się w Paryżu w 1938 roku, w rodzinie żydowskich emigrantów z Polski, skończył bardzo dobrą *grande école*, pracował w redakcji *Nouvel Observateur*. Na „Purge", pomyślałem, zainteresowanie autora tą tematyką zapewne się wyczerpie, nie warto szukać bliższego kontaktu.

Kontakt nawiązał się sam. Poznałem Jelenia bliżej trzy lata później, po ukazaniu się jego następnej książki „Les Normalisés". Tematyka ta sama, zakres jednak większy, sonda głębsza. Jeleń postanowił przebić się przez mur propagandy i zbadać, od wewnątrz, jak to się stało, że mogło dojść w Polsce do ostatniego exodusu Żydów w Europie, a w Czechosłowacji roku 1968 do „Biafry ducha". Tak jak w „Purge", Jelen znowu spokojnie badał świadectwa i prasę, przeprowadził „dojrzałe śledztwo, jak powiada wstęp, dla dojrzałych czytelników", dokonał raczej udanej, jak na zachodniego autora okresu propagandy współistnienia, analizy procesu normalizacji, pokazał w jaki sposób moralny i polityczny buldożer komunizmu, bez sięgania po gułag, zbrodnie i „psychuszki" stalinizmu, doprowadził wielkie i stare społeczeństwa do wstydu i schizofrenii narodowej i socjalnej.

Tym razem doszło już do naszego spotkania. Zaowocowało ono podwójnie. Po pierwsze, napisaliśmy razem dla wydawnictwa Albin Michel w Paryżu książkę „Le Grand Retour", o renesansie ruchu syjonistycznego w ZSSR i jego bohaterach. Był to właściwie długi reportaż z przeszłości, napisany po dziesiątkach rozmów w Izraelu i w Europie. Mimo, że przedmowę napisała Golda Meir, książka, choć miała świetną prasę, stanowiła całkowity „flop" handlowy i chyba w części nakładu poszła na złom.

Ale, po drugie, wspólna, ponad roczna, praca nad książką stała się zaczątkiem bardzo wiernej przyjaźni, która trwała aż do tragicznej, niepojętej śmierci Christiana 23 października w Paryżu.

Po „Znormalizowanych", Jelen przez dłuższy czas interesował się jeszcze tematyką wschodnioeuropejską i międzynarodową. Opublikował kilka książek historycznych poświęconych analizie powstania mitu sowieckiego na Zachodzie. Tytuły mówią same za siebie. W „Zaślepieniu", książce opartej o rewelacyjną dokumentację, Jelen wykazuje, że lewica francuska bardzo wcześnie poznała i zrozumiała, iż sowiecki socjalizm to brutalna... antysocjalistyczna dyktatura, ale, że – jak mówi autor – francuscy intelektualiści wykazali, w imię mitu, nadzwyczajną łatwość zapominania i siłę oporu wobec rzeczywistości. Potem Jelen zajął się międzywojennym pacyfizmem. Wydał książkę „Hitler czy Stalin", właściwie

drugi tom „Zaślepienia", wykazując jak wielką i... złudną cenę skłonne były zapłacić niektóre koła zachodniej lewicy za iluzje pokoju.

Z początkiem lat 90-tych, Jelen porzuca treści międzynarodowe i przenosi swe zainteresowania i swoje pióro na teren francuski. To prawdziwe wyzwanie, Jelen podejmuje bowiem najbardziej wrażliwą, drażliwą i... ryzykowną tematykę we Francji: imigracje i jej polityczne i społeczne skutki. Jego kolejne książki: „Będą z nich dobrzy Francuzi...", „Rodzina, tajemnica integracji", „Francja rozdarta" i najnowsza, niestety – jak się okaże – ostatnia: „Gwałt ulicy", łamały stereotypy, kazały podejść inaczej niż dotąd do problemu integracji. Jelen forsował ideę integracji prawdziwej, ostro krytykował władze republiki tolerującej w imię hasła „Francji plura-kulturalnej", tendencję do zamykania każdego obywatela w kręgu jego przynależności etnicznej czy religijnej, produkując w ten sposób prawdziwe getta, ułatwiając ofensywę rozmaitych integryzmów, torując drogę skrajnej prawicy i stwarzając zagrożenie dla pokoju cywilnego i republikańskiego. Z powodu swego niekonwencjonalnego podejścia do zjawiska imigracji i integracji, analizy Jelenia, chociaż potwierdzone przez fakty, wywoływały ataki zarówno z lewa co i z prawa. Co miało tę zaletę, że skłaniało Jelenia do kontynuowania i poszukiwania następnego tematu.

Równocześnie z działalnością pisarską, Christian Jelen prowadził normalną karierę dziennikarza. Specjalizował się w tzw. *grand reportage* dla tygodników. Zaczął od *Nouvel Observateur*, potem był w *Express*, a ostatnie lata w *Le Point*. Był wyjątkowo sumiennym a zarazem dociekliwym reporterem, bardzo oryginalnym i bezkompromisowym w poszukiwaniu tematów i świadków. Dla mnie, i jeszcze kilku osób, był przyjacielem wiernym i wrażliwym, skromnym i uczciwym.

Wśród tytułów bibliografii cytowanej na zakończenie jego książek o mitologii i nadużyciach komunizmu nigdy nie zabrakło *Kultury*, której dzieło znał i szanował, i dla której zachował wdzięczność za możność korzystania z jej źródeł.

Christian umarł za wcześnie. Szkoda pisarza. Żal człowieka. I pustka ogromna po przyjacielu.

Leopold UNGER

POLSKA – WSCHODNI SĄSIEDZI

5.10.98
Zmarł w Warszawie w wieku 80 lat Gustaw Gottesman, redaktor *Przeglądu Kulturalnego* i *Literatury*.

8.10.98
W Domu Literatury w Warszawie wręczono Bolesławowi Taborskiemu nagrodę Ośrodka Polskiego Stowarzyszenia Kultury Europejskiej SEC za zasługi położone dla dobra kultury polskiej poza granicami kraju. 19.10 odbyła się promocja książki Bolesława Taborskiego pt. „Moje Powstanie. Wtedy i teraz" wydanej przez PWN. Promocja odbyła się w Teatrze Stanisławowskim w warszawskich Łazienkach.

26.10.98
W Warszawie odbyła się Warszawska Jesień Poezji zorganizowana przez Oddział Warszawski Związku Literatów Polskich. W WJP wzięli udział poeci z Niemiec, Czech, Słowacji, Ukrainy, Białorusi, Serbii i Szwecji oraz grupa poetów polskich skupiona w Sekcji Literatów Polskich przy Związku Literatów Litwy.

5.11.98
Z okazji 80-lecia niepodległości w Bibliotece Narodowej w Warszawie otwarto wystawę „O polski dach i polską broń". Ukazuje ona wiele bezcennych materiałów dotyczących zmagań o niepodległość – od czasu powstania styczniowego, okresu formowania się niepodległości w 1918 r., wojny polsko-bolszewickiej, drugiej wojny światowej, także okresu powojennego po rok 1989. Lwią część eksponatów dostarczył Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, którego dyrektor Andrzej Cisek jest, wraz z Andrzejem Krzysztofem Kunertem, komisarzem wystawy. Obaj uczestniczyli też w promocji nowej trzytomowej edycji „Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego" Wacława Jędrzejewicza, uzupełnionej przez A. Ciska.

9.11.98
W Klubie Księgarza w Warszawie odbyła się promocja książki Wiesława Budzyńskiego „Testament Krzysztofa Kamila", na której o życiu i twórczości poległego w powstaniu warszawskim K.K. Baczyńskiego mówili – autor i Bolesław Taborski, a wiersze poety i fragmenty książki czytała Anna Nehrebecka.

11.11.98
W Połocku została otwarta konferencja naukowa poświęcona Janowi Barszczewskiemu (1794-1851) poecie, pisarzowi, twórcy literatury białoruskiej. Organizatorami konferencji były: Witebski Uniwersytet im. P.M. Maszerowa, Muzeum Historyczno-Kulturalne w Połocku i Witebskie Muzeum Krajoznawcze. W konferencji brało udział 52 naukowców z Polski, Rosji i Białorusi.

20.11.98
Zmarł w Warszawie w wieku 86 lat Marian Brandys, wybitny pisarz. Wspomnienie o nim będzie zamieszczone w najbliższej *Kulturze*.

22.11.98
Zmarł w Warszawie w wieku 75 lat prof. Mikołaj Kozakiewicz, socjolog, działacz ruchu ludowego i marszałek Sejmu kontraktowego.

ZACHÓD

16.10.98
Doroczny bankiet Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce odbył się tym razem w New York Athletic Clubie na Manhattanie zgromadzając liczne grono polonijnych i amerykańskich polityków i biznesmenów jak również dyplomatycznych przedstawicieli sąsiadów Polski. Głównym sponsorem Instytutu jest Citybank Corporation. Ponadto do Instytutu zgłosiło swój wkład 15 wielkich amerykańskich korporacji.

20.10.98
W Instytucie Kultury Polskiej w Londynie odbyła się promocja pierwszego angielskiego tłumaczenia wierszem „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego, z udziałem zawodowych aktorów brytyjskich, którzy odegrali 10 scen z trzech aktów dramatu. „Wesele" przetłumaczył Noel Clark, znany ze swych przekładów Fredry. Obszerną przedmowę napisał Jerzy Pietrkiewicz, który prowadził ten wieczór. „The Wedding" ukazał się nakładem firmy Oberon Books, Londyn w serii „Absolute Classics".

11.11.98
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu miał miejsce odczyt prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Mariana Zgórniaka, „L'armée polonaise en France entre 1917 et 1918".

12.11.98
W Strasburgu zaczęto nadawanie programu TV Polonia w sieci kablowej.

14.11.98
W Bibliotece Polskiej w Paryżu miała miejsce uroczystość nadania Jerzemu Giedroyciowi doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego.

18.11.98
Theatre National de la Colline wystawił sztukę Witolda Gombrowicza „Yvonne, Princesse de Bourgogne". ■ W Stowarzyszeniu Pont Neuf w Paryżu miał miejsce odczyt prof. Michała Masłowskiego „Adam Mickiewicz, identité individuelle, identité collective". Stowarzyszenie Pont Neuf zostało utworzone w lutym 1990 r. z inicjatywy pani Chirac. Rozwija ono współpracę z krajami Europy Środkowo-Wschodniej. Funduje stypendia i finansuje wymianę studentów we współpracy z uczelniami francuskimi, oraz finansuje imprezy artys-

tyczne mające na celu promocję młodych artystów. Organizuje ponadto konferencje na tematy związane z historią myśli politycznej w Europie Środkowej.

24.11.98
W Instytucie Polskim w Paryżu odbyła się prezentacja książki Krzysztofa Rutkowskiego „Passages parisiens. Chroniques d'un écrivain polonais".

29.11.98
W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego miał miejsce odczyt Jeana Mesneta „Wyspa św. Ludwika, centrum i symbol wieczności narodu polskiego od 1830 do 1920 r.".

2.12.98
W Institut d'Etudes Slaves w Paryżu miała miejsce konferencja na temat „L'identité nationale polonaise hier et aujourd'hui" z udziałem ambasadora RP w Paryżu Stefana Mellera i Michała Masłowskiego, profesora w Nancy II.

4.12.98
W Instytucie Polskim w Paryżu została otwarta wystawa prac Jana Lebensteina „Etapes".

15.12.98
W Institut d'Etudes Slaves w Paryżu będzie miał miejsce odczyt p. Alexandry Goujon: „L'identité nationale biélorusse hier et aujourd'hui".

17.12.98
W Ambasadzie Polskiej w Paryżu odbędzie się przekazanie pośmiertnych odznaczeń – Wielki Krzyż Orderu Odrodzenia Polski – rodzinom dwóch wybitnych polskich dyplomatów: Józefa Potockiego i Anatola Mühlsteina.

20.1.98
W Loyola Marymount University odbędzie się konferencja pt. „Rachunek sumienia: Kościół polski wobec antysemityzmu, 1989-99", z udziałem prof. Władysława Bartoszewskiego, prof. Andrzeja Korbońskiego, redaktora Adama Michnika, ks. bp. Tadeusza Pieronka oraz prof. Bohdana W. Oppenheima. Prof. Korboński wygłosi referat wstępny z wyliczeniem zarzutów stawianych Kościołowi w Polsce. Prof. Oppenheim będzie moderatorem konferencji.

Listy do Redakcji

CZY UTRACIMY WIESZCZA?

Problem ten zaniepokoił ostatnio *Tygodnik Solidarność*, który informuje, że – podobnie jak poprzednio Litwini i Białorusini – Adama Mickiewicza anektować chcą Żydzi. A nuż go utracimy? Niezależnie od tego, jakim wynikiem zakończy się spór o pochodzenie twórcy „Pana Tadeusza", jego pozycja w kulturze polskiej w niczym się nie zmieni. Natomiast „anektowanie" go przez inne narody oznaczałoby nadanie mu jeszcze wyższej rangi w kulturze światowej. Nie ma się więc przed czym bronić. Odwrotnie, można by się tylko cieszyć, gdyby wszystkie trzy ubiegające się o niego nacje uznały go również za swojego narodowego wieszcza. Polsko-litewsko-białorusko-żydowski poeta – taka przecież kiedyś była Polska. Myślę, że przyjąłby taką „aneksję" z największą satysfakcją. Już sam fakt takich sporów jest dla promocji polskiej kultury bardzo pozytywny pod warunkiem, że prowadzić one będą do wzajemnego zbliżenia, a nie przekształcą się w bezsensowną ksenofobiczną kłótnię. On chciał braterstwa ludów, nie był antysemitą ani nacjonalistą. Wszystkie cztery narody, które się z nim identyfikują, powinny o tym pamiętać.

Andrzej ALBRECHT

●

4 listopada 1998

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Janusza Mondrego pt. „NATO a bezpieczeństwo Polski" (*Kultura*, nr 10/1998) powołuje się na sceptyczne lub negatywne oceny procesu rozszerzenia Sojuszu, zamieszczone w kilku anglosaskich czasopismach wyspecjalizowanych. Takie opinie można znaleźć w wielu periodykach w różnych krajach. Zarazem istnieje bardzo obszerna literatura przedstawiająca przeciwny punkt widzenia.

Jako pierwszy Ambasador RP przy NATO (1992-1997) miałem przez 5 lat codzienną styczność z najwyższymi szczeblami hierarchicznymi NATO, tak cywilnymi jak wojskowymi, z ambasadorami 16-tu państw członkowskich i – dwa razy w roku – z ministrami ZS i ON tych państw. Wypowiedzi wszystkich tych czynników uważam za miarodajne w przeciwieństwie do poglądów wykształconych w wieży z kości słoniowej.

Najbardziej miarodajne są wreszcie dokumenty i to one powinny przekonać p. Mondrego o prawdziwości zapewnień naszych

sojuszników. Chociaż można by polemizować z prawie każdym zdaniem w jego artykule, ograniczę się do paru zasadniczych punktów:

1. Protokół akcesyjny, podpisany 16 grudnia 97 r. w Brukseli przez ministra B. Geremka, jest wyrazem przeświadczenia Aliantów, że Polska spełnia warunki członkostwa, opisane w „Studium o rozszerzeniu NATO" z września 1995 r. W studium tym czytamy w punkcie 68, że „Nowi członkowie otrzymają pełne członkostwo Sojuszu i wszystkie prawa i obowiązki wynikające z Traktatu Waszyngtońskiego. Nie może być drugorzędnych gwarancji bezpieczeństwa, czy też gorszych członków w ramach Sojuszu..." Oznacza to po prostu, że od wiosny przyszłego roku Polsce przysługiwać będzie w pełnej rozciągłości artykuł 5. Traktatu, zawierający gwarancje zbiorowej obrony opartej na zasadzie „wszyscy za jednego, jeden za wszystkich".

2. Przyjęcie Polski, Czech i Węgier do NATO wymaga poprawki do Traktatu Waszyngtońskiego, a zatem ratyfikacji przez parlamenty wszystkich państw-sygnatariuszy. Oznacza to, że akt przyjęcia nowych członków staje się częścią składową Traktatu i tym samym dokumentem prawnie obowiązującym. Inaczej jest z „Aktem stanowiącym" o stosunkach NATO–Rosja. Akt ten nie wymagał ratyfikacji (Rosja się tego początkowo stanowczo domagała) i ma zatem tylko rangę dokumentu politycznego, coś w rodzaju listu intencyjnego a nie formalnego kontraktu, aby zaczerpnąć porównania ze świata biznesu. Nie może być mowy o znaku równania między tymi dwoma dokumentami.

3. „Ustępstwa" na rzecz Rosji, które tak niepokoją p. Mondrego (nierozmieszczanie broni jądrowej i niestacjonowanie wojsk alianckich na terenie nowych państw członkowskich) mają charakter jednostronnej deklaracji ze strony państw NATO, która może być w razie potrzeby w każdej chwili odwołana. Nie wiem, kto w Polsce chce mieć broń nuklearną za miedzą, ale wszystkim chyba zależy na optymalnym ułożeniu stosunków z Rosją, która jest niezbędnym uczestnikiem każdego systemu bezpieczeństwa w Europie. „Akt stanowiący" jest dobrym początkiem na tej drodze, zarazem zaś Stała Rada NATO–Rosja nie ma żadnych kompetencji by zajmować się wewnętrznymi sprawami NATO. Podejrzewanie naszych Aliantów, że w jakiś sposób „wyprzedali" nasze interesy, jest jedynie przejawem naszych zadawnionych kompleksów. Pamiętajmy bowiem, że gdyby tak uczynili, to osłabiliby tym samym nie tylko nas ale cały Sojusz, do którego są słusznie głęboko przywiązani od 50 lat.

4. Pomyślmy wreszcie o tym, że od wiosny 1999 stali przedstawiciele Polski, Czech i Węgier będą zasiadać jako pełnoprawni członkowie nie tylko w Radzie NATO, ale też w Stałej Radzie NATO–Rosja. Jestem przekonany, że będą tam dobrze bronić interesów swoich krajów i całego Przymierza.

Łączę wyrazy szacunku

Andrzej KRZECZUNOWICZ

5 listopada 1998

Wielce Szanowny Panie Redaktorze

Od wielu lat pracuję nad weryfikacją biografii Leonida Teligi – autora i żeglarza. W związku z niniejszym zwracam się z uprzejmą prośbą do wszystkich mogących udzielić pomocy, w mozolnym poszukiwaniu prawdy. Szczególnie cennymi będą informacje na temat:

1. Incydentu pomiędzy Teligą a jego przełożonymi na statku „Maripoza" podczas ewakuacji Wojska Polskiego w ZSSR.

2. Służby wojskowej Teligi w Dywizjonie 300 na terenie Anglii. Istotne są wszelkie informacje.

3. Przyczyny porzucenia studiów i zamiaru pozostania na Zachodzie, na rzecz powrotu do Polski.

4. Działalności (rzeczywista funkcja i zakres obowiązków) w komisji rozjemczej w Korei i Laosie – lata pięćdziesiąte.

5. Przyczyny (zdarzenie bezprecedensowe w relacjach USA-Polska) odmówienia Telidze zgody na przepłynięcie jego jachtu „Opty" Kanału Panamskiego (1968). Przyczyny odmowy wiz na zawinięcie jachtu do Australii i Republiki Południowej Afryki (1969).

Istotna informacja: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych poinformowało mnie, iż teczka osobowa Loenida Teligi już nie istnieje.

Będę wdzięczny za każdą informację oraz każdą sugestię mogącą pomóc w mojej pracy.

Pozostaję z wyrazami szacunku

Dr Andrzej URBAŃCZYK

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów niezamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Stefan S.L. USA – Pana „wizja", choć dramatyczna, jest poetycko nieprzekonująca.

Wiesław J.M., Polska – Trudno coś dodać do naszych ocen wcześniejszych.

L.T.-C., Kanada – Pani utwory, świadczące o sporej kulturze literackiej, wydają się jednak raczej dokumentem osobistym niż propozycją nowego głosu w polskiej poezji.

Jerzy L., Niemcy – Te zapiski poetyckie, niepozbawione ciepła, są jednak zbyt nieporadne artystycznie.

Wanda i Teodor Müller, Bad Homburg (Niemcy) – zamiast kwiatów na grób serdecznej Przyjaciółki, Haliny Zielińskiej, zmarłej 25 lipca 1998 r. w Rapperswilu ..... F. 384,00

Lucjan Raubo, Hobart, Tasmania (Australia) – po raz 6-ty ..... F. 270,00

Pani Tadeuszowa Siemiątkowska, wdowa po jednym z najstarszych naszych prenumeratorów, przekazuje na nasz Fundusz niewykorzystaną część zapłaconych prenumerat *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* na rok 1998, to jest dol. can. 165,00 ..... F. 605,00

Stacja Naukowa PAN w Paryżu ..... F. 3.000,00

Stefania Bauer, San Francisco, CA (USA) – Przepraszamy Panią najserdeczniej. Naprawdę nie wiemy, jak to się stało, że mogliśmy popełnić taki błąd i od razu go nie naprawić. Jedynym wytłumaczeniem jest to, że ostatnie miesiące są dla naszej pracy wprost tragiczne na skutek złego funkcjonowania najlepszej kiedyś poczty francuskiej, o czym piszemy wcześniej. Pani dar na nasz Fundusz odnotowaliśmy jako dol. 100,00 a Pani przysłała nam dol. 1000,00. Czek został zainkasowany i otrzymaliśmy F. 5.921,00. Odnotowujemy więc obecnie różnicę, czyli ..... F. 5.321,00

DZIĘKUJEMY

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury" za rok 1998

Spis autorów

ABNER Stefan, ALBRECHT Andrzej. – BABEL Izaak, BAUMGARTEN Karol, BĄKOWSKI Adam Tadeusz, BERBERYUSZ Ewa, BIELECKI Czesław, BIENIECKI Kajetan, BIERNACKI Andrzej, BOJTÁR Endre, BOREJSZA Jerzy W., BORKOWSKI Andrzej Maria, BORODZIEJ Włodzimierz, BOROWICZ Bogusław (Bob), BRANDYS Kazimierz, BROMKE Adam, BROŃSKI M., BRZEZIŃSKI Zbigniew, BYRSKI Zbigniew. – CHABROWSKI Tadeusz, CHLEBOWSKI Władysław, CHRÓŚCICKI Juliusz A., COURTOIS Stèphane, CZAYKOWSKI Bogdan, CZERNIAWSKI Adam, CZĘSTOCHOWSKI Ryszard, CZYŻEWSKI Krzysztof, ĆWIAKOWSKA Anna. – DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DASZKIEWICZ Piotr, DĄBROWSKI Mieczysław, DELICK Anna, DŁUSKI Stanisław, DRUMMOND DE ANDRADE Carlos, DUŻYK Józef, DZIEŃ Mirosław, DZIEWANOWSKI Kazimierz. – EHRENKREUTZ Andrzej S. – FICOWSKI Stanisław. – GAŁKOWSKI Adam, GAWROŃSKI Andrzej, GIZELLA Jerzy, GOETHE Johann Wolfgang, GÓRSKI Bohan, GÖMÖRI George, GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy, GRUSZCZYŃSKI Lesław, GRZEŚCZAK Marian. – HALIKOWSKA-SMITH Teresa, HARTWIG Julia, HEINE Heinrich, HERBERT Zbigniew, HOLCMANOWIE Felicja i Władysław, HRYNACZ Tomasz, HRYNKIEWICZ Andrzej. – IWANIUK Wacław. – JANIK Jan, JASICKI Aleksander, JASIEWICZ Krzysztof, JASIŃSKI Kazimierz, JASTRUN Tomasz, JEDLICZKO Marta, JELEN Christian, JURAJSKI Ziemowit. – KACZMAREK Robert, KALININ Andrzej, KAPERA Jan Kazimierz, KARKOWSKI Czesław, KARSKI Jan, KAWIŃSKI Wojciech, KERSKI Basil, KLEJNOCKI Jarosław, KLESZCZYŃSKI Józef E., KORASZEWSKI Andrzej, KOSSOWSKA Stefania, KRASIŃSKI Józef de, KRÓTKI Karol J., KRZECZUNOWICZ Andrzej, KRZYŻANOWSKI

Jerzy R., KUKHAR Valery P., KUPPER Eugeniusz, KUROCZYCKI Józef, KURZAWA Eugeniusz, KUŚ Mira, KUŹNICKI Leszek, KWAŚNIEWSKI Aleksander. – LABUDA Gerard, LAUB Gabriel, LEBENSTEIN Jan, LIPSKI Leo, LISAK Agnieszka, LIZAKOWSKI Adam. – ŁĘTOWSKA Ewa, ŁOBODOWSKI Józef, ŁUKASIEWICZ Małgorzata. – (M. J.), MANC Joanna, MARTINOWA Halina, MARTON-DOMEYKO Agnieszka, MENCWEL Andrzej, MIANOWICZ Tomasz, MICEWSKI Andrzej, MICHEL Tadeusz, MICIŃSKA Anna, MILEWSKI Jerzy, MONDRY Janusz, MORAWSKI Dominik, MOSKALOWA Alicja H. – NOWAKOWSKI Marek, NOWOSIELSKI Napoleon. – ODOJEWSKI Włodzimierz, ORŁOWSCY Stanisław T. i Krystyna, OSADCZUK Bohdan, OSZELDA Władysław. – PACZKOWSKI Andrzej, PANEK Zbigniew, PASTERNAK Andrzej, PĘDZIWOL Aureliusz M., PĘKSA Stefan, PIEKAREC Kazimierz, PIEŃCZEWSKA Aldona, PIETRKIEWICZ Jerzy, PIGOŃ Stanisław, PIŁSUDSKI Rowmund, PIPES Richard, POMIAN Grażyna, POMIANOWSKI Jerzy, PUCHALSKA-HIBNER Bożena, PULWICKI Bonifacy. – RACZYŃSKA Aniela, RATAJCZAK Henryk, REDAKCJA, REDAKTOR, RILKE Reiner Maria, ROMER Andrzej T., ROSTRON Magdalena. – SAFUTA Jacek, SCHERER Olga, SIELSKI Mariusz, SIEWIERSKI Henryk, SIKORA Adam, SIKORA Wojciech, SIRENKO L., SKWARNICKI Marek, SŁAWIŃSKI Andrzej, SŁOWACKI Juliusz, SMECZ, SOCHA Ryszarda, STACH Andrzej, STAROSTECKI Zdzisław Julian, STĘPIEŃ Marian, STROŃSKA Anna, SUPRUNIUK Anna, SUPRUNIUK Mirosław Adam, SZARUGA Leszek, SZAWIR P., SZLOSAREK Artur, SZNARBACHOWSKI Włodzimierz, SZUBER Janusz, SZYŁEYKO J. Zdzisław. – TABORSKI Bolesław, TARNOWSKA Beata, TAYLOR Nina, TIMOSZEWICZ Jerzy, TISCHNER Józef ks., TOMASZEWSKI E. J., TUROWICZ Jerzy. – UNGER Leopold, URBAŃCZYK Andrzej. – VENULET Jan. – WANDYCZ Piotr, WERENICZ Wiaczesław, WESOŁOWSKI Dariusz, WIERZBICKI Zbigniew T., WILK Mariusz, WINECKA Christine, WIÓRKIEWICZ Joanna, WNUK Mieczysław, WODZICKI Kazimierz, WOLICKI Krzysztof, WRÓBLEWSKI Grzegorz, WYCZAŃSKI Andrzej. – ZIARKOWSKA Justyna. – ŻELEŃSKA Maria Adela, ŻELEŃSKI Władysław, ŻONGOŁŁOWICZ Bogumiła, ŻÓŁKIEWSKI Witold, ŻUREK Sławomir J.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

ABNER Stefan: *Efekt Pajęczyny* (5/608).
BAUMGARTEN Karol: *Nagroda Nobla dla lewicowego ekonomisty* (12/615).
FICOWSKI Stanisław: *U progu XXI stulecia: nędza i bogactwo* (11/614).
HRYNKIEWICZ Andrzej: *Smutna historia energetyki jądrowej w Polsce* (1/604-2/605).
GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska* (11/614).
JASTRUN Tomasz: *Tour d'horizon* (10/613).
KACZMAREK Robert: *Na święto pracy* (7/610-8/611).
– *Wychowanie do kapitalizmu* (11/614).
– *Wychowanie do kapitalizmu (2)* (12/615).
KARSKI Jan: *Oświadczenie* (9/612).
KORASZEWSKI Andrzej: *Inteligencja na drodze do kapitalizmu* (3/606).
– *Nie ma chleba bez igrzysk* (1/604-2/605).
– *Nowe wcielenie eurolewicy* (6/609).
– *Prakseologia* (10/613).
– *Spory o państwo* (9/612).
KUŹNICKI Leszek: *Rola edukacji w kształtowaniu przyszłości Polski* (9/612).
KWAŚNIEWSKI Aleksander: *Berlińskie przemówienie Prezydenta RP* (9/612).
LABUDA Gerard: *O naturze i strukturze kultury* (7/610-8/611).
ŁĘTOWSKA Ewa: *Być sędzią w trudnych czasach – Iskrzenia między judykatywą i politykami* (3/606).
MENCWEL Andrzej: *Czego Polacy potrzebują?* (1/604-2/605).
– *Wobec Rosji – splot czy gwałt?* (11/614).
OSADCZUK Bohdan: *Generał Lebied' żąda decentralizacji Rosji* (10/613).
PACZKOWSKI Andrzej: *Stół prostokątny, czyli Jachranka '97* (1/604-2/605).
PIPES Richard: *„Historia imperium rosyjskiego"* – przełożyła z angielskiego Olga Scherer (12/615).
POMIANOWSKI Jerzy: *Rozprawka o metodzie* (12/615).
SAFUTA Jacek: *Polska nie ma fachowego lobbingu w Unii Europejskiej* (12/615).
SCHERER Olga (tłumacz) zob. Pipes Richard (12/615).

STACH Andrzej: *Bałtyckie dylematy* (11/614).
– *Kronika niemiecka* (5/608, 10/613).
– *Powiew Weimaru?* (6/609).
STROŃSKA Anna: *Dopóki milczy Ukraina* (5/608).
WYCZAŃSKI Andrzej: *O kryzysie nauki w Polsce* (9/612).
Wydarzenia miesiąca (1/604-2/605, 3/606, 4/607, 5/608, 6/609, 7/610-8/611, 9/612, 10/613, 11/614, 12/615).
Z ostatniej chwili (9/612).

Archiwum polityczne

ABNER Stefan: *Czy Europę stać na własny przemysł zbrojeniowy?* (10/613).
– *Jelcyn w Szwecji* (1/604-2/605).
– *Trudna droga do Rygi* (4/607).
– *Z nordyckiej perspektywy* (9/612, 10/613).
– *Z nordyckiej perspektywy: Grożąca katastrofa komputerowa; Zagrożenie polskiego lotnictwa wojskowego* (12/615).
BAUMGARTEN Karol: *Równowaga strachu* (3/606).
MIANOWICZ Tomasz: *Szósty kanclerz* (11/614).
Notatki Redaktora (3/606, 4/607, 5/608, 6/609, 7/610-8/611, 9/612, 10/613, 12/615).
ROSTRON Magdalena: *Kłopoty nad Zatoką* (5/608).
TISCHNER Józef ks.: *Ewangelia – nadzieją czy wspomnieniem?* (9/612).
UNGER Leopold: *Imperialista bez kompleksów. (Widziane z Brukseli i Waszyngtonu)* (4/607).
– *Widziane z Brukseli: Księga czarna i ... czerwona* (1/604-2/605).
– *Widziane z Brukseli: Wielki brat: czerwony i czarny* (9/612).

Rok Mickiewiczowski

BOREJSZA Jerzy W.: *La Pologne Reconnaissante* (7/610-8/611).
CZYŻEWSKI Krzysztof: *Za trudny dla nas ten Mickiewicz?* (11/614).
NOWOSIELSKI Napoleon: *Reduta Ordona w legendzie i rzeczywistości* (7/610-8/611).

SŁOWACKI Juliusz: *Pan Tadeusz. (Fragmenty dalszego ciągu eposu)* (7/610-8/611).
TAYLOR Nina: *Mickiewicz w Londynie* (12/615).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

BABEL Izaak: *Dziewięciu ich było* – przełożył z rosyjskiego Jerzy Pomianowski (4/607).
BRANDYS Kazimierz: *Broussais* (10/613).
– *Ciało i pamięć* (5/608).
KALININ Andrzej: *Obrazki ze starych klisz* (1/604-2/605).
KORASZEWSKI Andrzej: *Notatki z podróży* (7/610-8/611).
MICIŃSKA Anna: *...Z wielką walizką rozpaczy* (4/607).
NOWAKOWSKI Marek: *Reda* (3/606).
ODOJEWSKI Włodzimierz: *W drodze* (6/609).
PIETRKIEWICZ Jerzy: *Okruch opłatka* (4/607).
POMIAN Grażyna: *Łódź – miasto nieznane* (4/607).
POMIANOWSKI Jerzy (tłumacz) zob. Babel Izaak (4/607).
SKWARNICKI Marek: *Kronika rodzinna* (7/610-8/611).
WILK Mariusz: *Zapiski sołowieckie (VIII)* (4/607).
– *Zapiski sołowieckie (IX)* (5/608).
– *Zapiski sołowieckie (X)* (6/609).
– *Zapiski sołowieckie (XI)* (7/610-8/611).
WINECKA Christine: *Mój Stanisławów (2)* (1/604-2/605).

Utwory poetyckie

BĄKOWSKI Adam Tadeusz: *Arrythmistół* (7/610-8/611).
– *Naczynie, natchnienie* (11/614).
CHABROWSKI Tadeusz: *Eremita* (7/610-8/611).
– *Oset* (11/614).
CZĘSTOCHOWSKI Ryszard: *Nigdy nas nie było* (7/610-8/611).
DŁUSKI Stanisław: *Psalm dla Franciszka Witko* (7/610-8/611).
DRUMMOND DE ANDRADE Carlos: *Złudzenia emigranta* – przełożył z portugalskiego Henryk Siewierski (4/607).
DZIEŃ Mirosław: *Anatomia dorastania: wierność* (11/614).
– *Powiedziałeś* (11/614).
GIZELLA Jerzy: *A co teraz z Nową Hutą* (10/613).
– *W dziwnym czasie* (10/613).

GOETHE Johann Wolfgang: *Wandrers Nachtlied („Über allen Gipfglen")* – przełożył z niemieckiego Jerzy Pietrkiewicz (1/604-2/605).
HEINE Heinrich: *Tousend Jahre schon und länger* – przełożył z niemieckiego Jerzy Pietrkiewicz (1/604-2/605).
HRYNACZ Tomasz: *Rebelie* (7/610-8/611).
– *Zakończenie* (7/610-8/611).
IWANIUK Wacław: *Sonet dla Markizy* (1/604-2/605).
JASICKI Aleksander: *Krupnicza 22 – Pożegnanie z legendą* (1/604-2/605).
JEDLICZKO Marta: *...ładnie nam w poezji* (4/607).
– *...my nie kochamy mężczyzn* (4/607).
KAWIŃSKI Wojciech: *Po długiej rozmowie* (11/614).
– *Syn marnotrawny (Chagall)* (3/606).
KLEJNOCKI Jarosław: *Epigramat pokorny* (4/607).
– *Łabędzia wyspa* (1/604-2/605).
KUŚ Mira: *O czym to...* (10/613).
– *Prawda* (4/607).
– *Trawa* (10/613).
LISAK Agnieszka: *Dla zwyczajnych* (10/613).
– *Żołnierzom kampanii wrześniowej* (10/613).
LIZAKOWSKI Adam: *Chicago* (6/609).
– *Chicago miasto nadziei* (6/609).
– *Dolny Śląsk* (10/613).
– *Maxwell Street* (6/609).
– *Powrót do Pieszyc* (10/613).
– *Prezes* (3/606).
– *Wydawca polonijnego pisma* (3/606).
ŁOBODOWSKI Józef: *Duma o Atamanie Petlurze* (5/608).
MANC Joanna: *...Czasem gdy pada pytanie* (4/607).
– *...Przed spotkaniem już* (4/607).
PĘKSA Stefan: *...Jeszcze wczoraj...* (1/604-2/605).
PIEŃCZEWSKA Aldona: *Czas czy zegar* (4/607).
PIETRKIEWICZ Jerzy (tłumacz) zob. Goethe Johann Wolfgang (1/604-2/605), Heine Heinrich (1/604-2/605), Rilke Reiner Maria (1/604-2/605).
RILKE Reiner Maria: *Was wirst du tun Gott, wenn ich sterbe?* – przełożył z niemieckiego Jerzy Pietrkiewicz (1/604-2/605).
SIEWIERSKI Henryk (tłumacz) zob. Drummond de Andreade Carlos (4/607).
SZARUGA Leszek: *Auschwitz 1998* (10/613).
– *Erotyk* (5/608).

– *Ostatnie tchnienie* (11/614).
– *Sonet z różą* (5/608).
SZLOSAREK Artur: *Kolęda* (4/607).
– *Kwietniowa opowieść* (1/604-2/605).
– *Wyciszenie* (4/607).
SZUBER Janusz: *Pierwszy wers* (7/610-8/611).
WRÓBLEWSKI Grzegorz: *Już niedługo się znów zobaczymy* (3/606).
– *Propozycja na czerwiec* (11/614).
– *Ptaki nadlatujące dzisiaj od strony morza* (11/614).
– *Wieloletnia znajomość* (11/614).
– *...Za chwilę stanie się coś niedobrego* (3/606).

Sprawy krajowe

BERBERYUSZ Ewa: *Kartki ze skażonej strefy* (3/606, 4/607, 5/608, 6/609, 7/610-8/611, 9/612, 10/613, 11/614, 12/615).
ŁĘTOWSKA Ewa: *Sytuacja sądownictwa w Polsce (listopad 1997 – luty 1998)* (5/608).
MICEWSKI Andrzej: *Osobliwości polskie* (9/612).
– *System dwupartyjny* (12/615).
Pomoc dla chorych w Polsce (7/610-8/611).
Porozumienie w obronie prawa do mieszkania (7/610-8/611).
SMECZ: *Z ukosa* (1/604-2/605, 3/606, 4/607, 5/608, 6/609, 7/610-8/611, 11/614, 12/615).
WNUK Mieczysław: *Wielkie miasto Białystok* (9/612).
WOLICKI Krzysztof: *Czy diabeł ma czarny ogon?* (1/604-2/605).
– *Destabilizacja sterów* (6/609).
– *Jak kłopoty to na wojnę* (7/610-8/611).
– *Głosy i pieniądze* (11/614).
– *O AWS, Balcerowiczu i politycznej poprawności* (9/612).
– *Rachunki i polityka* (12/615).
– *Rząd na kolizyjnym kursie* (5/608).

Sąsiedzi

Białoruska deklaracja wolności (1/604-2/605, 3/606 [dalsze podpisy], 5/608).

BORODZIEJ Włodzimierz: *List do Redaktora* (12/615).
CHLEBOWSKI Władysław: *Komitet konsultacyjny PSL do spraw ziem zachodnich i północnych* (12/615).
GÓRSKI Bohdan: *List do Redaktora* (12/615).
List do kardynała Angelo Sodano (9/612).
OSADCZUK Bohdan: *Impresje wyborcze* (5/608).
– *Polityka zagraniczna Ukrainy* (7/610-8/611).
– *Ukraina po wyborach* (6/609).
– *Ukraina w obliczu kryzysu rosyjskiego* (10/613).
– *Ukraina: kryzys władzy i gospodarki* (9/612).
– *Walka wyborcza po ukraińsku* (1/604-2/605).
– *Wewnętrzne konflikty ukraińskie* (4/607).
– *Wyborcza mapa Ukrainy* (3/606).
Polonika białoruskie (6/609).
SIELSKI Mariusz: *Notatki rosyjskie* (4/607).
SIRENKO L.: *Katastrofa czarnobylska – 10 lat później* (4/607).
Specjalistyczne studia wschodnie (7/610-8/611).
STACH Andrzej: *Monologi polsko-niemieckie* (12/615).
STROŃSKA Anna: *Pod tryzubem* (6/609).

O religii bez namaszczenia

MORAWSKI Dominik: *Wyboista droga w stosunkach Watykan – Moskwa* (7/610-8/611).

Wywiady „Kultury"

GAŁKOWSKI Adam: *Radio spełnionych nadziei. (Rozmowa z Kazimierzem Piekarcem, kierownikiem Sekcji Polskiej Radia France Internationale)* (6/609).
MONDRY Janusz: *Przeciwko biurokracji. (Rozmowa z red. Władysławem Oszeldą założycielem Klubu Propozycji w Cieszynie)* (7/610-8/611).
RATAJCZAK Henryk: *O sytuacji nauki na Ukrainie. Rozmowa z Akademikiem Valerym P. Kukharem* (10/613).
TARNOWSKA Beata: *Rozmowa z Adamem Czerniawskim* (10/613).

Polemiki – Wolna Trybuna

ABNER Stefan: *Inność rzeczywista czy imaginacyjna* (3/606).
MICEWSKI Andrzej: *„Kultura" coraz potrzebniejsza* (3/606).
MONDRY Janusz: *NATO a bezpieczeństwo Polski* (10/613).
ROSTRON Magdalena: *Próba zrozumienia* (6/609).
STACH Andrzej: *O Polakach w Niemczech* (11/614).
VENULET Jan: *O skutecznym rad sposobie* (7/610-8/611).

Sprawy i troski

BIELECKI Czesław: *Niedobre obyczaje* (6/609).
DELICK Anna: *Cyberkawiarnie w Polsce* (9/612).
GRZEŚCZAK Marian: *Oświadczenie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich* z komentarzem REDAKCJI (9/612).
Komitet Ratowania Białowieży (10/613).
PĘDZIWOL Aureliusz M.: *Na marginesie „skażonych kartek"* (3/606).
Polskie zabiegi o wejście do UE (4/607).
POMIAN Grażyna: *Cmentarz Powązkowski* (3/606).
STACH Andrzej: *Patriotyzm a pragmatyzm – O planach repatriacji Polaków z Kazachstanu* (3/606).
STROŃSKA Anna: *Pierwszy zajazd w Przemyślu* (11/614).

Ci, co odeszli

DASZKIEWICZ Piotr: *Kazimierz Wodzicki* (1/604-2/605).
Dr Józef de Krasiński (6/609).
HARTWIG Julia: *Wspominając Zbigniewa Herberta* (12/615).
KERSKI Basil: *Gabriel Laub - uczeń Leca* (4/607).
KOSSOWSKA Stefania: *Aniela* (11/614).
Maria Adela Żeleńska (1/604-2/605).
SOCHA Ryszarda: *Urzędnik Rzeczypospolitej* (10/613).
SUPRUNIUK Anna: *Kazimierz Jasiński* (1/604-2/605).
UNGER Leopold: *Christian Jelen* (12/615).
WANDYCZ Piotr: *Rowmund Piłsudski* (9/612).
Zbigniew Byrski (6/609).
ŻONGOŁŁOWICZ Bogumiła: *Leżeć wśród wrzosów...* (1/604-2/605).

Kronika kulturalna

BIERNACKI Andrzej: *Trzydziestolecie śmierci Stanisława Pigonia* (12/615).
CZAYKOWSKI Bogdan i CZERNIAWSKI Adam – rozmawiają (4/607).
DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *O Karolinie Lanckorońskiej w setną rocznicę urodzin – 1998* (9/612).
DASZKIEWICZ Piotr: *Dar polskiego króla dla gabinetu przyrodniczego Ludwika XVI* (5/608).
Festiwal Czesława Miłosza (5/608).
GÖMÖRI George: *Moi polscy poeci* (6/609).
JURAJSKI Ziemowit: *Z wizytą u „Bara"*(12/615).
KAPERA Jan Kazimierz: *Jan Lebenstein – kronika amerykańska* (11/614).
KARKOWSKI Czesław: *Koniec nagród Fundacji Jurzykowskiego* (10/613).
Komunikat Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej (3/606).
Komunikat o stypendiach Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga (Warszawa) i Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej (Paryż) (10/613).
KUPPER Eugeniusz: *Gdański zegar astronomiczny* (11/614).
– *Kronika gdańska* (5/608).
LIPSKI Leo: *Jak powstawał „Piotruś"* (9/612).
ŁUKASIEWICZ Małgorzata: *Poza miejscem i czasem* (5/608).
(M. J.): *Życie literackie Wilna 1831 – 1941* (1/604-2/605).
MENCWEL Andrzej: *Instytut Kultury Polskiej* (12/615).
Nagrody (3/606).
Nagrody „Kultury" za rok 1997: Mariusz WILK, Jerzy POMIANOWSKI, Wojciech SIKORA (1/604-2/605).
Nagrody „Przeglądu Wschodniego" 1997 (3/606).
OSADCZUK Bohdan: *Iwan Koszeliweć* (1/604-2/605).
PIGOŃ Stanisław: *Położenie materialne i samopomoc młodzieży akademickiej krakowskiej w okresie tajnego nauczania (1942-1945)* (12/615).
Pisma zebrane Witolda Gombrowicza (10/613).
Pomoc dla Biblioteki Polskiej w Londynie (5/608).
SUPRUNIUK Mirosław Adam: *Archiwa i kolekcje emigracyjne w Polsce* (7/610-8/611).
SZARUGA Leszek: *Polska poezja w Niemczech* (1/604-2/605).
– *Recycling – metamorfozy* (7/610-8/611).

SZAWIR P.: *Trialog: w poszukiwaniu Vinety* (7/610-8/611).
SZYŁEYKO J. Zdzisław: *Kryzys postępu* (3/606).
TABORSKI Bolesław: *Kontakt '98* (7/610-8/611).
TIMOSZEWICZ Jerzy: *Filosofow – Czapski – Stempowski w tym: – List Józefa Czapskiego do Jerzego Timoszewicza, – List Jerzego Stempowskiego do Wacława Lednickiego* (4/607).
WANDYCZ Piotr: *Ośrodek studiów w Lipsku* (1/604-2/605).
WERENICZ Wiaczesław: *Sztuka Aleksandra Zubryckiego z Mińska* (10/613).
ŻUREK Sławomir J.: *Głos odchodzącego pokolenia. (W 85-tą rocznicę urodzin Łucji Pinczewskiej-Gliksman)* (11/614).
IV Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapskiego (6/609).
VII Wschodnia Szkoła Letnia (1–31 lipca 1998) (5/608).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

BORKOWSKI Andrzej Maria: *„Kożuchy w chmurach" czyli smakowanie sztuki* (11/614).
BROŃSKI M.: *„Panorama" Karla Dedeciusa (9/612).* – *Sól ziemi* (3/606).
DASZKIEWICZ Piotr: *Revue d'Histoire de la Médecine Hébraique* (7/610-8/611).
HALIKOWSKA-SMITH Teresa: *„Nie masz już, nie masz w Polsce żydowskich miasteczek..."* (6/609).
KRZYŻANOWSKI Jerzy R.: *„Zły" lat dziewięćdziesiątych* (10/613).
MARTON-DOMEYKO Agnieszka: *PRL w „Le Monde" 1949 – 1957* (1/604-2/605).
MOSKALOWA Alicja H: *Autentyści w poezji* (5/608).
Nadesłane nowości wydawnicze (3/606, 4/607, 5/608, 9/612, 10/613).
OSADCZUK Bohdan: *Ważna książka Daniela Beauvois* (1/604-2/605).
PASTERNAK Andrzej: *Polskie patriotyzmy* (4/607).
Pisarze polscy na Litwie (7/610-8/611).
SIEWIERSKI Henryk: *Dialog ponad przestrzenią* (11/614).
SIKORA Adam: *Oświecenie i zło* (3/606).
STĘPIEŃ Marian: *Zakończenie sagi* (11/614).
SZARUGA Leszek: *Rondo dolnośląskie* (7/610-8/611).
– *Wiersze mniejszości niemieckiej* (10/613).
– *Wykorzenienie i powrót* (3/606).

SZNARBACHOWSKI Włodzimierz: *„Dzienniczek" błogosławionej Faustyny Kowalskiej* (1/604-2/605).
TISCHNER Józef ks.: *Ewangelia według Syna* (7/610-8/611).
WANDYCZ Piotr: *Lux et veritas* (3/606).
WIERZBICKI Zbigniew T.: *„Wypominki" do wypomnienia* (11/614).
WILK Mariusz: *Palimpsest* (1/604-2/605).
WIÓRKIEWICZ Joanna: *Czy zemsta ofiar?* (6/609).
ZIARKOWSKA Justyna: *Tłumacz prawdziwy. (O translatorskiej twórczości Floriana Śmiei)* (11/614).
ŻONGOŁŁOWICZ Bogumiła: *Antidotum na tęsknotę* (7/610-8/611).
ŻUREK Sławomir J.: *Żydzi i judaizm we współczesnych badaniach polskich* (1/604-2/605).

Obserwatorium

REDAKCJA: *Polska, Niemcy: co dalej?* (9/612).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

PIPES Richard: *„Historia imperium rosyjskiego"* przełożyła Olga Scherer (12/615).

Z języka niemieckiego

GOETHE Johann Wolfgang: *Wandrers Nachtlied („Über allen Gipfglen")* przełożył Jerzy Pietrkiewicz (1/604-2/605).
HEINE Heinrich: *Tousend Jahre schon und länger* przełożył Jerzy Pietrkiewicz (1/604-2/605).
RILKE Reiner Maria: *Was wirst du tun Gott, wenn ich sterbe?* przełożył Jerzy Pietrkiewicz (1/604-2/605).

Z języka portugalskiego

DRUMMOND DE ANDRADE Carlos: *Złudzenia emigranta* przełożył Henryk Siewierski (4/607).

Z języka rosyjskiego

BABEL Izaak: *Dziewięciu ich było* przełożył Jerzy Pomianowski (4/607).

Listy do Redakcji

ALBRECHT Andrzej (4/607, 7/610-8/611, 11/614, 12/615), BIENIECKI Kajetan (5/608), BOJTÁR Endre (1/604-2/605), BOROWICZ Bogusław (Bob) (11/614), BROMKE Adam (3/606), CHRÓŚCICKI Juliusz A. (5/608), ĆWIAKOWSKA Anna (9/612), DĄBROWSKI Mieczysław (1/604-2/605), DUŻYK Józef (10/613), DZIEWANOWSKI Kazimierz (3/606), EHRENKREUTZ Andrzej S. (9/612), GRUSZCZYŃSKI Lesław (1/604-2/605), HOLCMANOWIE Felicja i Władysław (9/612), JANIK Jan (3/606), JASIEWICZ Krzysztof (1/604-2/605), KRÓTKI Karol J. (3/606), KRZECZUNOWICZ Andrzej (12/615), KUROCZYCKI Józef (9/612), KURZAWA Eugeniusz (6/609), MARTINOWA Halina i SŁAWIŃSKI Andrzej (5/608), MICHEL Tadeusz (1/604-2/605), ORŁOWSCY Stanisław T. i Krystyna (3/606), PANEK Zbigniew (6/609), POMIANOWSKI Jerzy (3/606, 6/609), PUCHALSKA-HIBNER Bożena (11/614), PULWICKI Bonifacy (3/606), ROMER Andrzej T. (9/612), STAROSTECKI Zdzisław Julian (11/614), STROŃSKA Anna (9/612), SZARUGA Leszek (1/604-2/605), TOMASZEWSKI E. J. (9/612), TUROWICZ Jerzy (4/607), URBAŃCZYK Andrzej (12/615), WESOŁOWSKI Dariusz (1/604-2/605), WIERZBICKI Zbigniew T. (5/608), ŻÓŁKIEWSKI Witold (5/608).

●

Odpowiedzi Redakcji (1/604-2/605, 3/606, 4/607, 6/609, 7/610-8/611, 10/613, 12/615).

Różne

Apel w sprawie Schroniska dla Zwierząt w Celestynowie (5/608).
BRANDYS Kazimierz: *Sprostowanie* (6/609).
KLESZCZYŃSKI Józef E.: *Oświadczenie* (9/612).

Komunikat Komisji Stypendialnej Fundacji im. Jana i Suzanne Brzękowskich (7/610-8/611).
Komunikat Komisji Stypendialnej Fundacji im. Stanisława Lama (7/610-8/611).
Konkurs na pamiętniki młodego pokolenia wsi polskiej przełomu tysiąclecia – „Opis mego życia, prac, przemyśleń i dążeń" (7/610-8/611).
Krakowskie Forum Rozwoju (11/614).
Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim: – Komunikat nr 4 (1/604-2/605),
– Komunikat nr 5 (6/609).
REDAKCJA: *Do prenumeratorów „Kultury"* (4/607, 12/615).
STROŃSKA Anna: *Sprostowanie* (9/612).
Stypendia *Fundacji im. Marii i Zygmunta Zaleskich* (3/606).
Uniwersytet Letni Kultury Polskiej – Rzym 1998 (1/604-2/605).
Wpłaty na Fundusz „Kultury" (1/604-2/605, 3/606, 4/607, 5/608, 6/609. 7/610-8/611, 9/612, 10/613, 11/614, 12/615).
Wpłaty na pomoc Polakom na Białorusi (1/604-2/605).
Wpłaty na Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu (3/606).
Wyróżnienia POLCUL Foundation (4/607, 9/612).
ŻELEŃSKI Władysław: *Sprostowanie* (11/614).

Bibliografia

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury" za rok 1998 (12/615).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultury" w roku 1998

Tom 502 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 123). Str. 240.
Tom 503 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 124). Str. 240.
Tom 504 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 125). Str. 240.
Tom 505 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 126). Str. 240.

●

Numery *Kultury*: marcowy (3/606), wrześniowy (9/612) i grudniowy (12/615) miały po stron 176.

●

Dla orientacji czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 1998 roku:

ZESZYT 123: B. Nitschke: *Polacy wobec Niemców. – Odpowiedzialność Niemców za zbrodnie wojenne*; M. Radomski: *Sprawa pozbawienia prawa wykładu docenta UJ, dra Włodzimierza Kubijowicza w czerwcu 1939 roku*; K. Rutkowski: *W stronę poezji czynnej. Adam Mickiewicz w Collège de France*; Adam Mickiewicz: *Wykłady literatury słowiańskiej*; A. Grzywacz: *Relacja płk. dypl. Andrzeja Mareckiego dla Komisji Badawczej do spraw Przyczyn Klęski Wrześniowej*; J.J. Milewski: *Polsko-białoruskie komisje podręcznikowe*; A. Suchcitz: *Jeszcze o ochotniczce PWSK Ligii Żółkiewskiej*; J. Lewandowski: *Gen. Sikorski a Zagłada*; LISTY DO REDAKCJI.

ZESZYT 124: B. Baczko: *Niepokój historyka (François Furet i problemy Rewolucji Francuskiej)*; A. Kolańczuk: *Generałowie polscy w Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej 1917-1920; oraz Generałowie Ukraińskiej Republiki Ludowej internowani w Polsce*; B. Puchalska: *Było to tak... Rozmowy z Juliuszem Hibnerem* (Wspomnienia generała J. Hibnera są dokumentem jedynym w swoim rodzaju ze względu na osobę autora: uczestnika Brygad Międzynarodowych w czasie wojny domowej w Hiszpanii, oficera Pierwszego Korpusu gen. Berlinga, odznaczonego Orderem Bohatera ZSRR po bitwie pod Lenino, a po wojnie dowódcy wojsk wewnętrznych, który umiał wystąpić przeciwko Związkowi Sowieckiemu, gdy w październiku 1956 roku groziła Polsce interwencja zbrojna); J.R. Krzyżanowski: *Jak robiliśmy encyklopedię*; E. Halicz: *Polska w oczach Niemców*; T. Wyrwa: *Sandomierski pułk Armii Krajowej*; Z. Nicman: *Książka o Brześciu nad Bugiem*; A. Kamieniecki: *Pomnik Stanisława Mikołajczyka*; Z.S. Siemaszko: *Mieczysław Pruszyński o 1920 roku*; M. Siekierski: *Polskie zbiory Instytutu Hoovera*; A. Sehn: *Król Polski Abraham Prochownik*; P. Daszkiewicz: *Rzeczpospolita w korespondencji sir Josepha Banksa* oraz LISTY DO REDAKCJI.

ZESZYT 125: A. Pospieszalski: *Tło naszego dwutysiąclecia*; P. Mitzner: *Mój ojciec konspirator*; A. Grzywacz: *Funkcjonowanie Oddziału II Sztabu Głównego w 1939 roku*; I. Torbakow: *Swój czy obcy? Stereotyp Ukraińca w Rosji XVII-XVIII wieku*; F. Charwat: *Rok stosunków polsko-litewskich 1938-1939*; M. Siekierski: *Franciszek Charwat – nota biograficzna*; A. Dmuchowska: *Polska droga przez mękę*; P. Wandycz: *Nowe książki*;

P. Niwiński: *„Pany i rezuny"*; M.K. Dziewanowski: *Nowe spojrzenie na historię Europy*; T. Wyrwa: *Polacy o powojennej Europie na łamach La France Libre*; K. A. Kuczyński: *Rumuńskie lata płk. Józefa Becka*; A. Grzywacz: *„Studia Rzeszowskie"*; T. Włodek: *Krzyżacy*; A. Micewski: *Bolesław Piasecki w 1968 roku* oraz LISTY DO REDAKCJI.

ZESZYT 126: W. Jaruzelski: *O stanie wojennym raz jeszcze;* H. Świderska: *Z dziejów polskiej prasy w Anglii;* K.W. Studnicki-Gizbert: *Łotwa – wrażenia i statystyki;* A. Garlicki: *Zeznania Bolesława Piaseckiego;* G. Mazur: *Nieznany list gen. Pawło Szandruka;* J.Z. Szyłeyko: *Dziennik radiowy Rozgłośni Polskiej RWE 1952-1972;* A. Albrecht: *Noc jak czarna rozpacz;* B. Stachiewicz: *Wspomnienie o generale Stachiewiczu;* B. Osadczuk: *Mykoła Łebed' – od terrorysty do politycznego pragmatyka*; B. Berdychowska: *Burzliwe życie Nadii Surowcowej;* M. Pruszyński: *Wojna 1920 r. (Uzupełnienie relacji),* J. Lewandowski: *Rosja o wschodniej Europie i o Polsce;* E. Halicz: *Polska na zakrętach dziejów;* St. Gajdzica: *O internowaniu inaczej;* A. Balińska: *Choroba jako ideologia. Tyfus plamisty w okupowanej Polsce 1939-1944;* B. Bartnikowski: *„Batory" po wojnie*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4ème trimestre 1998.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obł.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
		Ceny na rok 1998	
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: **Barbara Malak-Minkiewicz**, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260,fax: (613) 789-1051; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	$ can.13,00	$ can.75,00	$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; **POLONIA Bookstore,** 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books**, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»**, 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru – F 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA" (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE" (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464 **Cena F. 200,00**

●

Tom 505 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT
STO DWUDZIESTY SZÓSTY

zawiera opracowania: W. Jaruzelski: ***O stanie wojennym raz jeszcze;*** **H. Świderska:** ***Z dziejów polskiej prasy w Anglii;*** **K.W. Studnicki-Gizbert:** ***Łotwa – wrażenia i statystyki;*** **A. Garlicki:** ***Zeznania Bolesława Piaseckiego;*** **G. Mazur:** ***Nieznany list gen. Pawło Szandruka;*** **J.Z. Szyłeyko:** ***Dziennik radiowy Rozgłośni Polskiej RWE 1952-1972;*** **A. Albrecht:** ***Noc jak czarna rozpacz;*** **B. Stachiewicz:** ***Wspomnienie o generale Stachiewiczu;*** **B. Osadczuk:** ***Mykoła Łebed' – od terrorysty do politycznego pragmatyka;*** **B. Berdychowska:** ***Burzliwe życie Nadii Surowcowej;*** **M. Pruszyński:** ***Wojna 1920 r. (Uzupełnienie relacji),*** **J. Lewandowski:** ***Rosja o wschodniej Europie i o Polsce;*** **E. Halicz:** ***Polska na zakrętach dziejów;*** **St. Gajdzica:** ***O internowaniu inaczej;*** **A. Balińska:** ***Choroba jako ideologia. Tyfus plamisty w okupowanej Polsce 1939-1944;*** **B. Bartnikowski:** ***„Batory" po wojnie;*** **OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240 **Cena F. 90,00**

I.N., 93400 St-Ouen – 3485 -1998

Cena 55 F